



STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU

ARTUR DOMOSŁAWSKI

ŚMIERĆ W AMAZONII

Nowe eldorado i jego ofiary



 WIELKA LITERA

ARTUR DOMOSŁAWSKI

ŚMIERĆ W AMAZONII

Nowe eldorado i jego ofiary



Dziewczynka z okładki

Dziewczynka na tle beczki po ropie porzuconej przez koncern Texaco w pobliżu jej domu w regionie Oriente w ekwadorskiej Amazonii.



ŚMIERĆ W AMAZONII

1. BOHATEROWIE Z LASU

Zbrodnia

1.

Zasadzkę zastawili przy małym moście nad potokiem. Zaszyli się wśród drzew wcześniej rano – i czekali. Wiedzieli, że José Cláudio i Maria muszą tu zwoźnić. Zapewne wtedy padł strzał.

Wystrzelona z myśliwskiego sztucera kula trafiła oboje naraz: przeszła przez rękę Marii i utkwiała w okolicy lewej ściany żołądka José Cláudia. Według innej hipotezy, pierwsza kula trafiła tylko Marię. Po upadku z motocykla oboje jeszcze żyli. Zabójcy dobili ich z bliska, ciała zwlekli z drogi i odjechali w stronę miasta.

José Cláudiowi odcięli prawe ucho.

2.

Laísa, siostra Marii, nauczycielka w szkole podstawowej, była o siódmej z minutami w klasie, przygotowywała się do lekcji. Siostra i szwagier na motocyklu marki Honda mignęli w oknie. Laísa wiedziała, że we wtorek rano wybierają się do miasta.

Niedługo potem sprzątaczką wpada z krzykiem: „Nie żyje, nie żyje!”. „Kto nie żyje?”. „José Cláudio. Straszny wypadek!”.

W drodze na miejsce zdarzenia Laísa próbuje znaleźć słowa pociechy dla siostry. Maria i José Cláudio byli jak jedna dusza w dwóch ciałach. „To nie mój mąż, to mój towarzysz – mówiła Maria. – A to dużo, dużo więcej”. Jakimi słowami ukoić ból siostry?

Na miejscu są już ludzie z sąsiedztwa, czekają na policję. Laísa dostrzega, że José Cláudio ma obcięte ucho. Popłynęły tłumione wcześniej łzy, zrozumiała, że to nie wypadek. Odcięte ucho to dowód dla zleceniodawcy, że zabójcy wykonali zadanie. Pogróżki, które José Cláudio dostawał od dawna, właśnie się spełniły.

Zaczęła odganiać muchy i osy lepiące się do zakrwawionych ust szwagra. Żeby jeszcze choć na chwilę odwlec rozmowę z Marią. Wciąż nie wiedziała, co powiedzieć siostrze, jak

ją pocieszyć.

Kilka metrów dalej stała grupka ludzi i wcześniej Laísa nie zauważyła, że leży tam ktoś jeszcze.

– Przeżyłam dwa szoki, jeden po drugim. Krzyczałam w myślach: „Siostró, dlaczego mnie opuściłaś?”.

3.

Około ósmej czterdzieści rano do Batisty, adwokata i towarzysza wspólnej sprawy, zadzwonił przyjaciel:

– Właśnie słuchałem radia. Mam dla ciebie smutną wiadomość...

Batiście przewinęły się przed oczami sceny z jego czternastoletniej przyjaźni z José Claudiem i Marią.

4.

Lokalna gazeta „Diário do Pará” dzień później, dwudziestego piątego maja dwa tysiące jedenastego:

Ekolodzy zabici w zasadzce

Dwoje ekologów – José Cláudio Ribeiro da Silva, lat pięćdziesiąt cztery, i Maria do Espírito Santo da Silva, lat pięćdziesiąt trzy – zostało zamordowanych wczoraj rano w miejscowości Nova Ipixuna. Zbrodni dokonano najprawdopodobniej na zlecenie. Według wstępnych ustaleń biegłego Augusta Barbosy de Andrade, do każdej z zabitych osób strzelano wielokrotnie, prawdopodobnie ze sztucera myśliwskiego i rewolweru kaliber 38. „Jednak dopiero ekspertyzy potwierdzą kaliber broni i ustalą liczbę oddanych strzałów”.

José Cláudio i Maria do Espírito Santo wpadli w zasadzkę przy moście nad potokiem Cupu, na terenie osady Praia Alta Piranheira, około czterdziestu kilometrów od Novej Ipixuny. Ich zwłoki, po przeprowadzeniu sekcji, mają być wystawione dziś w dzielnicy São Félix, a następnie pochowane w Marabie. Osierocili szesnastoletniego adoptowanego syna.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku należeli do pierwszych osadników w Praia Alta Piranheira, gdzie obecnie, na obszarze dwudziestu dwóch tysięcy hektarów – w większości ogołoconych z drzew – mieszka czterysta czterdzieści rodzin.

Prowadzili walkę przeciwko madeireiros^[1], którzy systematycznie dewastują region. W lipcu ubiegłego roku zgłaszali doniesienia do Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi^[2] o pogróżkach, jakie dostawali w związku ze swoją działalnością na rzecz ochrony środowiska. Według koordynatora Komisji, José Batisty Gonçalvesa Afonso, władze nie zajęły się nawet sprawdzeniem pogróżek. „W stanie Pará historia się powtarza, nasi towarzysze składają doniesienia, nikt ich nie słucha, a następnie giną”,

mówi oburzony.

Opinię tę potwierdził przewodniczący Związku Rolników i Rolniczek z Novej Ipixuny Edmundo Ribeira da Silva i dodał: „Nasza krew komuś służy. Ilu nas jeszcze musi umrzeć, żeby państwo podjęło kroki przeciwko wycinaniu puszczy w naszym regionie?”.

Radny João Batista Delmondes (Partia Pracujących^[3]), jeden z przyjaciół zamordowanych, uważa, że zabójstwo to skutek ich działalności na rzecz ochrony środowiska. „Byli autentycznymi obrońcami natury, a ci, którzy zlecili zabójstwo, z całą pewnością mają interes w wycinaniu drzew w regionie” – mówi.

Claudelize Silva dos Santos, siostra José Claudia, powiedziała, że będzie walczyć o sprawiedliwość i o to, żeby śmierć brata i szwagierki nie poszła w zapomnienie.

„W stanie Pará w ciągu ostatnich piętnastu lat zamordowano dwustu pięciu działaczy wiejskich, a w ciągu ostatnich czterech dekad – ponad ośmiuset^[4]. W więzieniach siedzi mniej niż pięciu zlecniodawców tych zbrodni” – mówi Batista.

5.

W dniu zabójstwa brazylijski Kongres debatował nad nowym kodeksem leśnym.

Kodeks określa nowe limity wycinki lasów Amazonii (czytaj: pozwala wycinać więcej) i wprowadza amnestię dla wszystkich, którzy wycinali dżunglę nielegalnie. Gdy do stolicy dotarła wiadomość o zamordowaniu dwójki ekologów z Novej Ipixuny, na mównicę wszedł deputowany z Partii Zielonych (Partido Verde – PV) Sarney Filho.

– Zabieram głos z tej trybuny, żeby powiedzieć o tragedii, do jakiej doszło właśnie dzisiaj. Najpierw jednak chcę przeczytać fragment wywiadu, jaki przeprowadził dziennikarz Felipe Milanez z zamordowanym José Cláudiem:

„Pojechałem zobaczyć Jej Wysokość – ogromne drzewo kasztanowe w gospodarstwie José Claudia Ribeiro da Silvy i Marii do Espírito Santo. To największy kasztanowiec, jaki widziałem w życiu, i największy, jaki widział w życiu także José Cláudio. Małżeństwo to żyje ze zbioru kasztanów i z tego, co zrodzi puszcza. Sprzeciwia się wycinaniu drzew przez handlarzy drewnem...

– Gdy ścina się drzewo takie jak to, czy nie kojarzy ci się to z przelewaniem krwi?

– Mój przyjacielu, ono, gdy się je ścina, wydziela zapach, który możesz poczuć. Gdy ma się zwalić, słyszysz jego jęk: skrzypienie pnia. I możesz zobaczyć opadające liście niczym gest pożegnania...

– I czujesz, jak gdyby ktoś umierał?

– Czuję, jak gdyby kogoś zabijano. Ono jest żywą istotą...”.

Panie Przewodniczący, ten człowiek został dziś rano zamordowany, oboje zostali

zamordowani...

Z sali dochodzą odgłosy niezadowolenia.

– Zachowajcie choć szacunek dla pamięci o tych bohaterach, których zamordowano! –

krzyczy deputowany Sarney Filho.

Na sali rozlega się głośne buczenie.

– Proszę deputowanych o spokój... – apeluje prowadzący obrady Kongresu.

Wzburzony Sarney Filho krzyczy:

– ...tak, których zamordowano! To nie żarty!

Oglądam nagranie z sesji Kongresu razem z Laisą w jej domku w nędznej dzielnicy Maraby.

Kto miał tyle buty i bezczelności, żeby wybuczeć wiadomość o czyjejś śmierci? Ktoś, komu zamordowani wchodzili w drogę? Narazili się?

6.

Pogrzeb. Kondukt żałobny – kilka tysięcy wieśniaków – maszeruje w zaduchu i spiekocie. Idą około dziesięciu kilometrów. Wychodzą z domu jednego z braci José Claudia i zmierzają w stronę Cmentarza Tęsknoty w Marabie. Po drodze przystają – na moście na rzece Tocantins, na szosie Ferro Carajás.

Niosą transparenty: „A FLORESTA CHORA” (Puszcza płacze).

Lider chłopski Charles Trocate wchodzi na dach fiata uno. Przemawia:

– Ten marsz to najlepsze, co możemy dzisiaj zrobić. Żądamy sprawiedliwości!

Mikrofon przejmuje kobieta. Mówi:

– Śmierć Marii i José Claudia nie pójdzie na marne. Na ich miejsce przyjdzie sto nowych Marii i stu nowych José Claudiów.

Na cmentarzu, nad trumnami zamordowanych ekologów mikrofon wrywają sobie lokalni politycy, oficjele, kongresmani, mundurowi. („Gdzie byli, gdy José Cláudio i Maria składali doniesienia o nielegalnym wycinaniu drzew i gdy prosili o ochronę?” – spyta potem jeden z przyjaciół).

Nad konduktem, a potem nad cmentarzem krąży policyjny helikopter.

Łzy przy grobie. Najgłośniej rozpacza Laísa. José Cláudio życzył sobie, żeby jego ciało spalić, a prochy rozsypać u stóp kasztanowca – Jej Wysokości. Rodziny nie stać na kremację, dlatego jest tradycyjny pochówek ciał.

Uwagę dziennikarza i przyjaciela zamordowanych Felipe Milaneza zwraca atmosfera strachu, niemal paniki wśród wieśniaków. Ludzie mówią między sobą, że w tłumie może być zabójca. Wyczuwa się napięcie, niepokój.

Nagle w tej wielkiej ludzkiej masie ktoś wypatruje właściciela ziemskiego, niejakiego Gilzão. Ten Gilzão groził kiedyś José Claudiowi, w oczach ludzi jest jednym z podejrzanych o zlecenie zabójstwa. Ktoś rzuca: „Bezczelność!”. Ktoś inny: „A to kutas!”. Felipe Milanez rozgląda się wokół i obmyśla, gdzie paść na ziemię, gdyby doszło do strzelaniny.

„Świat przemocy w tej części Amazonii ucieka się do strategii terroryzmu – napisze potem. – Nie uderza otwarcie, wprost. Działa z ukrycia, w okrutny sposób, penetruje wyobraźnię zastraszanym. Panika wśród wieśniaków dowodzi, że to skuteczna strategia”.

Okolo trzeciej po południu, dokładnie w trakcie trwania uroczystości pogrzebowych, nieznanymi sprawcy zabijają dwudziestopięcioletniego Heriveltona Pereirę. Ludzie spekulują, czy zginął dlatego, że wiedział coś o zabójcach José Claudia i Marii? Jego ciało znaleziono w nocy w gęstwinie krzaków – w tej samej osadzie, w której mieszkali zamordowani ekolodzy.

Prowadzący śledztwo oficer oznajmi nad jego zwłokami krótko:

– *Madereiros*.

Marabá

7.

O zabójstwie José Claudia i Marii dowiedziałem się z sieci. Napisały o nim duże gazety i strony internetowe, na które zaglądam.

W Marabie byłem siedem lat wcześniej, w podobnych okolicznościach: kilka dni po zamordowaniu amerykańskiej zakonnicy Dorothy Stang. Mieszkała w Brazylii od ponad trzech dekad. Razem z wieśniakami dobijała się o reformę rolną, opiekowała się tymi bez ziemi, domagała się dla nich i razem z nimi prawa do godnego życia na kawałku własnego pola. Tak jak José Cláudio i Maria angażowała się w kampanie obrony lasów deszczowych Amazonii przed wycinką. Lasy te dewastują handlarze drewnem, węglem drzewnym oraz hodowcy bydła. Ci ostatni – żeby posiać na ich miejscu trawę i zamienić puszcze w pastwiska. Co roku znikają w ten sposób tysiące kilometrów kwadratowych dżungli nazywanej „płucami Ziemi”.

Siostrze Dorothy grozili od dawna, ale nikt w Marabie nie wierzył, że można bezkarnie zamordować Amerykankę. W sobotę rano, dwunastego lutego dwa tysiące piątego roku, niedaleko miasteczka Anapu w stanie Pará, ktoś dowiedział, że można.

Zawrzało. Zabójstwo zakonniczki ekolożki przez dłuższy czas było główną wiadomością telewizyjnych programów informacyjnych, nie schodziło też z pierwszych, a potem dalszych stron gazet. Pisano o nim w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Prezydent Brazylii Lula wysłał do stanu Pará dwa tysiące żołnierzy. Wyglądało to jak konkwista części terytorium własnego kraju, cieszącej się niesławnymi imionami „ziemia bezprawia”, „ziemia niczyja”, „brazylijski Dzikie Zachód”.

W takich okolicznościach kupiłem bilet z Rio de Janeiro do Maraby, zostawiłem część rzeczy w mieszkaniu przyjaciela – tej części podróży w ogóle nie planowałem – i znalazłem się na „ziemi bezprawia”. Francisco da Costa, miejscowy działacz chłopski, którego spotkałem jako jednego z pierwszych, od razu powiedział, że z tym wojskiem to śmiertelny błąd.

– Jak tylko żołnierze wrócą do koszar, będzie gorzej niż przed interwencją.

– Dlaczego?

– Bo hodowcy bydła i handlarze drewnem zaczną się mścić i zabijać niewygodnych.

To był pierwszy raz w historii Brazylii, kiedy władza centralna wysłała wojsko, żeby powstrzymać zbrodnie potężnych właścicieli, hodowców, ludzi wielkiego pieniądza.

Wcześniej siły bezpieczeństwa pojawiały się w interiorze na zamówienie latyfundystów: żeby pacyfikować bezrolnych chłopów zajmujących ziemię. Albo w czasach dyktatury wojskowej: żeby wytepić czerwoną partyzantkę.

Wojsko nie wygra tej wojny, wtórowała Joelma, znana w regionie działaczka chłopska, której męża też zamordowano na zlecenie. Wojny? – dopytywałem. Tak, to, co się dzieje w stanie Pará, to cicha wojna domowa. Wysłanie armii to gest propagandowy, telewizyjny show. Przecież żeby „okupacja” odniosła jakikolwiek skutek – mówiła Joelma – żołnierze musieliby tu stacjonować przez lata. Rząd nie ma na to pieniędzy, a może i ochoty, mimo że przywdział szaty postępu i społecznej sprawiedliwości.

Wkrótce dowódcy armii zaczęli szemrać, bo zabrakło pieniędzy na paliwo do samochodów i wyżywienie dla oddziałów. Zleciodawcy zabójstwa siostry Dorothy musieli pękać ze śmiechu, pewnie wypili z tej okazji niejednego szampana.

Teraz przekonuję się, że Joelma miała sto procent racji. Wojsko tej wojny nie wygrało, niczego nie załatwiło. Historia w Amazonii się powtarza – tak jak mówił przyjaciel zamordowanych ekologów, adwokat Batista, którego również poznałem przed laty. Zawsze jest tak samo: ktoś zgłasza doniesienia o nielegalnym niszczeniu lasów

deszczowych, władze państwowe nie reagują, zaczynają się pogroźki. Na końcu zjawiają się najęci rewolwerowcy... Puszcza dewastowana jest dalej.

Joelma wieszczyła, że jeśli nic się w Amazonii nie zmieni, wkrótce wrócę napisać reportaż o jej śmierci.

Wróciłem siedem lat później napisać o śmierci jej towarzyszy.

8.

Padał deszcz. Na ulicach ni żywego ducha. W Marabie jak pada, to jakby leciała z nieba ściana wody. Jakby zbliżał się koniec świata, ostateczny potop. Niżej położone osiedla zalała już rzeka. Deszcz padał dalej.

Gdy następnego ranka w końcu się wypogodziło, Marabá nie stała się bardziej przyjazna. To miasto widmo, miasto upiór. W internecie można przeczytać: „Marabá – dwustutysięczne miasto, które składa się ze starówki i dwóch nowych części...”. Internet obiecuje dobre hotele, plaże nad rzeką Tocantins, cudowne tereny rekreacyjne. Ale gdzież te cuda? Owszem, w porze suchej, gdy opadną wody Tocantins, na pobliskiej wyspie, do której trzeba dopłynąć motorową lanczą, vis-à-vis starej części miasta ciągnie się piaszczysta plaża. Jest jeszcze druga, w innej części. Ale mamy porę deszczową i plaż nie widać. Muszę przyjąć na wiarę, że w Marabie bywa pięknie.

Na co dzień rozrywką snujących się bez celu chłopaków są skoki z barierki na promenadzie ciągnącej się wzdłuż rzeki. Można by rzec, że rzeka jest prawie tak szeroka jak morze, gdyby nie to, że w oddali majaczy drugi brzeg. Chłopcy skaczą do rzeki, wykonując imponujące salta. Mogą robić te akrobacje dzięki temu, że ciągle pada i woda wezbrała. Jak zaczną opadać, będą ryzykować uderzenie głową o dno.

Stara część Maraby wygląda tak jak prawie każde biedne miasteczko w interiorze dowolnego kraju Ameryki Łacińskiej. Niska zabudowa, wąskie uliczki, domy w intensywnych, jasnych kolorach. Dużo żółtego, pomarańczowego, jasnozielonego i białego, ale tynk odpada, więc i tak, mimo pogodnych barw, ma się wrażenie dekadencji, gnicia, rozkładu. Wzdłuż głównej ulicy sklepiki, stragany, jadłodajnie. Obskurne hostele zamieszkałe przez gigantyczne karaluchy. Życie nocne toczy się wokół knajp przy promenadzie. Mają tu dobre ryby i wołowinę. Jest dyskoteka i kilka barów, gdzie można się napić i potańczyć.

Nowe części miasta to slumsowate i półslumsowate osiedla, porozrzucane na bezkształtnej przestrzeni budynki, duże połączenie pustki. Trudno znaleźć tu jakąkolwiek logikę, dopatrzeć się planu. W wielu częściach miasta nie ma chodników. Oddzielone jedne od drugich skupiska domów i osiedli łączy sieć byle jakich, dziurawych dróg. Samochody, które po nich jeżdżą, są warte lepszego podłoża: drogie suburbany, mini-wany i wany.

Szpan i wypas. Rewia mody, bogactwa, luksusu.

Chyba najważniejsze odczucie: tymczasowość. Miasto robi wrażenie prowizorki, pomimo że jest tu jedna stara, to znaczy stuletnia, dzielnica. Jak gdyby mieszkającym tutaj ludziom nie opłacało się o nic zadbać, niczego odnawiać ani zbudować do końca, bo są tu tylko przejazdem. Zarobić, nachapać się i w nogi. Marabá jest miejscem megachaosu i brzydoty, a zarazem – według wskaźników ekonomicznych – jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się miast Brazylii.

Jakim cudem? Może niszczenie lasów deszczowych Amazonii ma tu coś do rzeczy?

Słońce nie jest jeszcze wysoko, a już męczy, rozleniwia. Ubranie klei się do ciała, skóra podrażniona. Wszystko paruje po wielodniowych ulewach. Potworny zaduch.

Prześladuje mnie fonetyczna zbitka Marabá – makabra. Chyba nie umiem myśleć inaczej o tym miejscu.

Trzy podboje Amazonii

9.

Pewien robotnik rolny, który wystrzelił z karabinu w drzewo niemające jeszcze wówczas nazwy, nie miał pojęcia, że przypadkowo dokonuje czynu dającego początek nowej epoce. Z „rany”, jaką zadał drzewu ów epokowy strzał, wyciekło obficie mleko, które następnie zastygło w twardą masę. Tak zaczęła się w ostatnich latach dziewiętnastego wieku gorączka kauczukowa. A dzięki niej powstała Marabá.

Powtarzana w ten sposób opowieść w zasadzie jest prawdziwa, choć zawiera drobiny legendy. Portugalczycy dotarli w te rejony trzysta lat przed gorączką kauczukową, ale ich nie skolonizowali. Niedostępna dżungla, często wylewające rzeki, jadowite zwierzęta, insekty, śmiertelne choroby. Także nieprzyjazne przybyszom, niepragnące kontaktu ze zdobywcami autochtoniczne ludy Gavionów i Kajapów.

Europejczycy znali kauczuk od czasów Kolumba, ale zaczęli robić z niego użytek dopiero trzy stulecia później. „Pod koniec osiemnastego wieku brytyjski naukowiec zauważył, że można nim wymazać ślady ołówka i dał substancji jej angielską nazwę – pisze amerykański historyk Adam Hochschild. – W tysiąc osiemset dwudziestym trzecim roku

Szkot Charles Macintosh zapisał się w historii, wynajdując metodę produkcji na masową skalę czegoś, co amerykańscy Indianie robili od dawna – czynienia materiałów wodoodpornymi poprzez pokrywanie ich gumą. Szesnaście lat później amerykański wynalazca Charles Goodyear przypadkiem wylał siarkę na gorący kauczuk. Zauważył, że powstała w ten sposób mikstura nie twardnieje po wystygnięciu, a gdy jest gorąca, nie śmierdzi i nie jest glutowata, co było podstawowym problemem, gdy chciano wytworzyć gumowe buty lub płaszcze przeciwdeszczowe. Światowy boom kauczukowy rozpoczął się jednak dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, pięć lat po tym, jak John Dunlop zamontował w trójkolorowym rowerze swojego syna gumowe opony na resorach. Światowy przemysł szybko nabrał apetytu nie tylko na gumowe opony, ale też na węże, rury, uszczelki i tym podobne sprzęty, a także gumowe izolacje telegrafów, telefonów i kabli elektrycznych, coraz szczelniej oplatających ziemię. Nagle zaczęło brakować owego magicznego surowca, a jego cena cały czas rosła...”

Anonimowy robotnik rolny, któremu przypisuje się wywołanie pierwszej spontanicznej kolonizacji południowo-wschodnich terenów stanu Pará, należał do świty niejakiego Carlosa Gomesa Leitão, politycznego zbiega z sąsiedniej prowincji. Ów Leitão o puścił w obieg wiadomość o przypadkowym odkryciu i zaczęło się. Do regionu przybywali ryzykanci upatrujący szansy na życiowy sukces w eksploatacji drzew kauczukowych. Nazwano ich *seringueiros*. Za nimi pojawili się myśliwi i rybacy, drobni i więksi handlarze, którzy założyli pierwsze osady.

Przybycie kolonistów było dla autochtonów tragedią. Tylko ci ostatni bowiem umieli przeżyć w nieprzyjaznych warunkach dżungli, a przez to doskonale nadawali się do roli siły roboczej eksploatującej drzewa kauczukowe. *Seringueiros* opanowali wioski i większe wspólnoty etniczne, a następnie zmuszali podbitych do niewolniczej pracy. Oporni ginęli. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku wielcy przedsiębiorcy kauczukowi urządzili zbuntowanym autochtonom masakrę. Niektóre źródła podają, że wymordowano wtedy tysiące ludzi.

Boom kauczukowy trwał zaledwie kilkanaście lat. Niedostępność drzew, piekielnie trudny transport po rzekach Tocantins i Araguaia, a przede wszystkim konkurencyjne ceny surowca do produkcji kauczuku z Azji i Afryki doprowadziły do upadku biznes w Amazonii. Głównym winowajcą był brytyjski poszukiwacz i myśliwy Henry A. Wickham, który w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku wywiózł stąd nasiona kauczukowca. Zasadzono je we wschodniej Azji. Trzydzieści lat później wydały owoce.

Boom pozostawił różnorakie dziedzictwo, a jednym z nich jest Marabá, oficjalnie uznana za miasto w tysiąc dziewięćset trzynastym. Jej nazwa oznacza w jednym z lokalnych języków „syn obcego”; innymi słowy – owoc związku białego mężczyzny

z indiańską dziewczyną. Drobnymi *seringueiros*, którzy wcześniej zniewalali i mordowali miejscowych, później wiązali się z autochtonkami, zakładali z nimi rodziny. Stawali się członkami amazońskich wspólnot, żyli razem w puszczy. Owoce związków białych mężczyzn z miejscowymi kobietami widać na każdym kroku na ulicach Maraby. Miasto jest etnicznym tygłem, szeroką paletą kolorów i odcieni skóry.

Szybko okazało się, że można tu zarabiać nie tylko na eksploatacji kauczuku. Niedaleko brzegów rzeki Tocantins znaleziono diamenty, a jakiś czas potem – złoto. Ale przede wszystkim są tutaj i były od zawsze ogromne kasztanowce.

Z kasztanowca, zwanego dziś brazylijskim (*castanha-do-Brasil*), żyły przez setki lat ludy autochtoniczne, zamieszkujące tę część Amazonii. Orzechy z tego drzewa są do dzisiaj przedmiotem handlu, można je kupić w każdym sklepie spożywczym – paczkowane lub na wagę. Wyciska się z nich olej andiroba, robi masło, mąkę, a miejscowi wieśniacy wytwarzają także naturalne kosmetyki. Przez setki lat orzechy stanowiły ważny składnik diety autochtonów. Od początku dziewiętnastego wieku, jeszcze zanim Brazylia uniezależniła się od Portugalii, aż do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku – czyli niemal przez dwa stulecia – kasztany były motorem, który napędzał miejscową gospodarkę. Najpierw tę rodzinną, później wielki biznes. W jakimś sensie kauczuk był zaledwie epizodem w długiej epoce kasztanowca.

Prawdziwy kasztanowy boom nastąpił w latach dwudziestych. Przybywający tu awanturnicy zagarniali ziemię publiczną siłą, korumpowali lokalne władze, uzyskiwali tytuły własności za bezcen. Powstawały kasztanowe latyfundia, wśród których największe należały do dwóch zwalczających się rodzin – Mendonça i Mutran. Kasztanowi latyfandyści za pomocą oszustw, poprzez zawłaszczenia, przemoc i zbrodnie zdominowali gospodarkę i politykę na kilka dziesięcioleci. To oni zaczęli wycinanie lasów pod pastwiska dla bydła, ale skala zniszczeń, jakich dokonali, była bladą zapowiedzią tego, co miało nadejść. Wciąż żyli przecież z kasztanowego biznesu, wiedzieli, że nie mogą podcinać gałęzi, na której siedzą.

Wpływy kasztanowych baronów skurczyły się po wojskowym zamachu stanu z roku sześćdziesiątego czwartego, a jeszcze bardziej w latach siedemdziesiątych, gdy generałowie zainstalowali tu mundurowego zarządcę. Uznali, że region ma strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Właśnie wtedy przywódcy junty wezwali Brazylijczyków do podboju Amazonii za pomocą „krowich kopyt”. Ruszyło na wielką skalę wycinanie lasów pod przyszłe pastwiska. Kasztanowiec i cała amazońska puszcza znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Generałowie mieli dwa powody polityczne, żeby dążyć do opanowania Amazonii. Obawiali się, że odległy, odizolowany od reszty kraju region, obejmujący aż siedem

stanów, może być przyczółkiem czerwonej partyzantki na wzór boliwijskiej guerrilli Che Guevary. Wprawdzie siły komunistycznych grup zbrojnych były w Brazylii mizerne, to jednak zasilone przez bojowników z sąsiednich krajów – Wenezueli i Peru – mogły, jak sądzili generałowie, a przynajmniej tak oficjalnie głosili, zamieszać w lokalnej polityce. Jeśli partyzanci opanowaliby tylko część obszaru, nad którym państwo brazylijskie i tak nie miało kontroli, byłaby to dla dyktatury prestiżowa porażka. Jak się okazało później, amazońska partyzantka liczyła... sześćdziesięciu dziewięciu bojowników, przeciwko którym generałowie wysłali ponad trzy tysiące żołnierzy piechoty, lotnictwa i marynarki. Przy życiu została dziesiątka partyzantów. Znaczna część zginęła nie w potyczkach z armią, lecz w wyniku tortur i egzekucji bez sądu.

Drugim motywem wezwania do „podboju” Amazonii były dyskusje na świecie, w szczególności w Stanach Zjednoczonych, o eksploataowaniu bogactw puszczy przez zagraniczne potęgi. Mówiło się o „umiędzynarodowieniu” regionu, wyłączeniu go z terytorium Brazylii i nadaniu statusu dobra całej ludzkości. Hudson Institute, jeden z amerykańskich think-tanków, propagował ideę zbudowania gigantycznej elektrowni wodnej, co doprowadziłoby do zalania ogromnych połaci Amazonii. Wielką powódź była częścią planu: rozlewiska miały ułatwić żeglugę i transport rzeczny w regionie. Krążyły plotki i najrozmaitsze teorie, jakoby rząd w Waszyngtonie miał plan zaludnienia Amazonii przez Afroamerykanów – a to w Brazylii odbierano jako preludium do aneksji „płuc Ziemi” przez USA. Pogłoski, w których prawda mieszała się z fikcją i spekulacjami, uderzały w czuły punkt dumy narodowej. Generałowie potrafili to zręcznie wykorzystać.

Rzucili hasło „Ziemia bez ludzi dla ludzi bez ziemi”. W odpowiedzi na to zawołanie do Amazonii przybyły dziesiątki, potem setki tysięcy bogatych, średniaków, biedaków, nędzarzy. Tylko ci pierwsi, mający pieniądze na zakup ziemi, mogli liczyć na ulgi podatkowe od rządu i kredyty. Tysiące ubogich migrantów z zapadłych wiosek i slumsów wielkich metropolii, którzy marzyli o własnym skrawku, odkrywało po przybyciu na miejsce, że zasiedlaną przez nich na dziko ziemię ktoś już kupił – albo przynajmniej tak twierdził – i żądał, żeby natychmiast się wynieśli.

Zaczęła się krwawa i zazwyczaj cicha wojna domowa o amazońską ziemię. Wojna ta trwa do dziś.

10.

Lista zapowiedzianych śmierci. Taki tytuł miał reportaż, który napisałem przed laty o misjonarce Dorothy Stang, o innych zamordowanych, a także tych, co dostawali pogróżki i czekali na wykonanie wyroku. Byli wśród nich ekologodzy, jak José Cláudio i Maria, i wieśniacy bez „ekologicznej agendy”, bezrolni chłopi, którzy wrywali Amazonii

kawałek ziemi, osiedlali się na nim i żyli z upraw manioku, ryżu, kukurydzy, a przede wszystkim tego, co daje puszcza. Przez samą obecność, nawet nie angażując się w walkę o większą sprawę, taką jak obrona „płuc Ziemi”, stawali się przeszkodą dla ludzi, którzy mieli wobec dżungli inne zamiary.

Przeglądam teraz reportaż sprzed lat: historię cichej wojny domowej o ziemię objaśnia w nim José Batista Gonçalves Afonso; będę go dalej nazywał Batistą, jak wszyscy tutaj. Batista jest adwokatem Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi, która oprócz udzielania pomocy prawnej bezrolnym chłopom zbiera dane o zabójstwach i wspiera rodziny zamordowanych. Wspomaga również ekologów sprzeciwiających się wycince w Amazonii. Batista – lekko łysiejący, w drucianych okularach, średniego wzrostu, szczupły. Ubrany na sportowo: koszulka typu polo, dżinsy, adidas. Miał wtedy czterdziestkę i robił wrażenie człowieka wewnętrznym spokojnym, przekonanego o słuszności tego, co robi. Na każde pytanie miał precyzyjną odpowiedź, wspartą liczbami, datami, paragrafami – i w ogóle klarowną wizję tego, co się tu dzieje. Syn chłopów bez ziemi, niedoszły ksiądz. Studiował w seminarium duchownym, ale gdy okazało się, że papież z Polski wysyła na emeryturę biskupów walczących z wyzyskiem i zastępuje ich kościelną konserwą, Batista postanowił, że będzie przybliżał nadejście Królestwa Bożego na tym świecie jako człowiek świecki.

Na początku był nieufny. Musiałem dokładnie opowiedzieć, kim jestem, jak i dlaczego tu trafiłem, kto dał mi kontakt do niego. To norma, tak tu trzeba ze wszystkimi, którzy dostają pogroźki i zawsze muszą być czujni. Każdy niespodziewany gość, fałszywy wysłannik, udawany przyjaciel – czemu by nie „zagraniczny dziennikarz” – może być płatnym zabójcą i wykonać egzekucję.

Batista też był wówczas na tak zwanej liście śmierci. Dowiedział się o tym od znajomej prawniczki, która w samolocie z Brazylii do Maraby podsłuchiwała rozmowę dwóch przedsiębiorców rolnych. Jej sens był mniej więcej taki: „Batista wtyka nos we wszystko. Trzeba z nim skończyć, będzie spokój na jakiś czas”.

W stanie Pará nie lekceważy się takich pogroźek. Dwaj poprzednicy Batisty, adwokaci broniący ludzi bez ziemi i środowiska naturalnego, zginęli naprawdę. W roku osiemdziesiątym zamordowano mecenasa Raimunda Ferreirę Limeę, w osiemdziesiątym siódmym ofiarą *sicarios*, wynajętych zabójców, padł adwokat Paulo Fontelles.

Fragment rozmowy z Batistą – tamtej sprzed lat:

Cała ta historia, opowiada, ma korzenie w szesnastym wieku. Kiedy Portugalczycy podbili tereny dzisiejszej Brazylii, podzielili je na sześć prowincji. Od tamtej pory ziemia należała do króla portugalskiego i jego

przyjaciół. Po uzyskaniu niepodległości przez Brazylię w tysiąc osiemset dwudziestym drugim roku na porządku debaty politycznej stanęła sprawa własności: czyja ma być ziemia, skoro nie należy już do króla? Brazylię ogłoszono cesarstwem i cesarz ustanowił, że ziemia należy do rządu, a jedyną drogą dostępu do niej jest kupno. Kto miał pieniądze? Tylko kolonialna oligarchia.

To było sprytne posunięcie – bo choć czarni niewolnicy nie mieli jeszcze praw, coraz częściej mówiło się o abolicji. A gdy dostali wolność, nie mieli prawa do ziemi, na której pracowali, a nie mieli za co jej kupić. Z kolei biali imigranci z Europy, którzy przybywali tu od drugiej połowy XIX wieku za pracą i chlebem, byli zbyt biedni, żeby móc kupić ziemię. Wprawdzie część z nich, zapraszanych przez rząd Brazylii w XX wieku, dostawała po dwadzieścia-trzydzieści hektarów, jednak ziemię tę dzielono między dzieci przez następne pokolenia – a rodziny miały po sześcioro, siedmioro dzieci. Po kilku dekadach nie było czego dzielić. Tak powstała ogromna rzesza ludzi bez ziemi. Inną grupę stanowią byli robotnicy rolni, którzy wskutek modernizacji rolnictwa przestali być potrzebni na plantacjach; a jeszcze inną – ludzie, którzy zostali „wypluci” przez metropolie, nie znaleźli sobie miejsca – są to często urodzeni w slumsach potomkowie chłopów, którzy jedno lub dwa pokolenia temu po utracie pracy na wsi poszli za pracą do miast. Ich dzieci i wnuki wracają teraz na wieś i chcą żyć z ziemi.

– I walczą o nią z latyfundystami, tak?

– Przede wszystkim domagają się reformy rolnej. Brazyliia ma wystarczająco ziemi dla wszystkich. Niestety, jej dzisiejszy podział wywodzi się wprost z czasów kolonialnych. Niektóre rodziny są właścicielami całych stanów, większych od niejednego państwa w Europie. Magellanowie w Bahii, Sarneyowie w Maranhão i Amapie.

– Reforma rolna jednak się toczy?

– Ale jak wolno! Zrozpaczone rodziny, ludzie przymierający głodem zajmują bądź to nieużytki latyfundiów, bądź to ziemię niczyją i próbują z niej żyć.

– Jak to ziemię niczyją?

– Bo często nie wiadomo, do kogo należy. Zwłaszcza stan Pará to chaos, anarchia pod każdym względem, także prawnym. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy na świecie zaczęto mówić o „internacjonalizacji” Amazonii, to znaczy faktycznym wyłączeniu jej spod władzy rządu Brazylii, rządzący wówczas wojskowi przestraszyli się utraty ponad połowy terytorium kraju i wezwali naród do kolonizowania regionu. Ustalono, że ziemia w promieniu stu kilometrów od dróg federalnych należy w siedemdziesięciu procentach do państwa, a w trzydziestu procentach do stanu. Nigdy jednak nie wyznaczono granic, która ziemia jest czyja. Kto był silniejszy – czyli faktycznie dotychczasowi wielcy właściciele bądź wielcy przedsiębiorcy, którzy zapragnęli zbić majątek na rolnictwie i hodowli – zajmował ile mógł, także ziemię należącą teoretycznie do stanu i państwa. Własność *fazendeiros*^[5] powiększyła się, chłopci bez ziemi zajęli stosunkowo

niewiele. A potem wprowadzono prawo pozwalające legalizować własność samowolnie zajętej ziemi, jeśli zamieszkiwało się ją przez pięć lat i zarazem nikt nie zgłaszał do niej roszczeń.

- Czyli ludzie bez ziemi mogli legalizować samowolki?

- Tak, ale tak naprawdę zyskali silni i bogaci. Biedacy, którzy zajęli jakąś ziemię, nie byli świadomi swoich praw. To często analfabeci niemający pojęcia, gdzie i do jakiego urzędu trzeba pójść. Nawet gdyby trafili do urzędu, nikt by z nimi nie rozmawiał, nie wpuściliby ich do budynku. To jest Brazylia! Więksi *fazendeiros* zaczęli ich wypychać nawet z tych skrawków ziemi, które biedacy zdołali zająć, bo chcieli mieć jeszcze więcej i więcej terenów pod uprawy, i jeszcze większe pastwiska. Nieposłusznych mordowali, zwykle liderów, żeby zastraszyć resztę.

- Teraz ludzie bez ziemi są już świadomi swoich praw i walczą o nie?

- Pod tym względem żyjemy dzisiaj w innych czasach. Reforma rolna, przynajmniej oficjalnie, jest polityką państwa. Istnieją ruchy polityczne i związkowe ludzi bez ziemi.

- Więc skąd zabójstwa?

- Bo *fazendeiros*, hodowcy, handlarze drewnem gwiżdżą na państwo i wymiar sprawiedliwości. Mają absolutne poczucie bezkarności, dlatego zabili siostrę Dorothy Stang z Ameryki - ale przeszarżowali, bo zrobiła się wielka afera. Często dla pozorów legalności kupują od państwa wąski skrawek ziemi, powiedzmy, sam obwód prostokąta. Żeby dostać się do ziemi wewnątrz prostokąta, trzeba by przejechać przez prywatną ziemię właściciela, na co ów nigdy nie pozwoli. Faktycznie więc kradnie ziemię wewnątrz prostokąta, ma tam uprawy, pastwiska, wycina drzewa i nielegalnie nimi handluje. Często jednak *fazendeiros* kradną ziemię bez żadnych trików, po prostu zajmują i robią, co chcą. Państwo jest bezczynne. Chłopi bez ziemi - bez szans w walce, bo duzi właściciele mają prywatne armie.

- A co to jest osławiona lista śmierci?

- To nazwa umowna, bo list śmierci jest wiele, w różnych miastach, regionach znajdują się na nich różne osoby. Zazwyczaj lokalni liderzy chłopski, ludzie, którzy im pomagają: księża, działacze pozarządowi...

- ...adwokaci, „z którymi trzeba skończyć”.

- Na południu i południowym wschodzie stanu Pará, w okolicach Maraby, na liście śmierci jest obecnie sześćdziesiąt osób.

- A skąd wiadomo o jej istnieniu i o tym, kto się na niej znajduje?

- Na podstawie powtarzających się pogroźek. Jeszcze niedawno hodowcy bydła, handlarze drewnem czuli się na tyle bezkarni, że spotykali się w barze czy klubie w mieście i otwarci, pijąc cachaçę^[6], wrzeszcząc, dyskutowali, kogo i kiedy trzeba zabić oraz kogo wynająć do mokrej roboty. Potem rozchodziły się plotki, o kim była mowa, ostrzeżenia. Teraz bardziej się pilnują i o tym, kogo chcą zabić, wiemy tylko z anonimowych pogroźek. Nie rzucają słów na wiatr.

- Na ilu ludziach wykonali wyroki?

- W stanie Pará w ciągu ostatnich dwudziestu lat zamordowali siedmiuset siedemdziesięciu dwóch liderów. W Minas Gerais, Rio de Janeiro i São Paulo - ponad sześciuset. Nie wliczam w to masakr na bezimiennych rodzinach, o których czasem nawet nie wiemy. O reszcie kraju nie mam danych, ale to pokazuje skalę. Dokładnie tak samo zabijają w stanach Mato Grosso, Tocantins, Maranhão, Rondônii, Roraimie. Wszędzie.

Ktoś z komisji pokazał mi wtedy statystykę zabójstw działaczy chłopskich w stanie Pará.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty rok - trzydziestu sześciu zamordowanych, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty - trzydziestu dziewięciu, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty - czterdziestu sześciu, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy - dwudziestu dziewięciu, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy - trzydziestu ośmiu, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty - dwudziestu siedmiu, dwutysięczny - dwudziestu, dwa tysiące pierwszy - dwudziestu dziewięciu, dwa tysiące drugi - czterdziestu trzech, dwa tysiące trzeci - siedemdziesięciu trzech...

Spytałem też wtedy Batistę, czy się boi. Tak, odpowiedział, boi się. Ale robi swoje.

11.

W trakcie przygotowań do podróży, przeglądając stary tekst, odkrywam, że na „Liście zapowiedzianych śmierci” była... Maria do Espírito Santo.

Nie spotkałem jej, zapewne Batista podał mi jej nazwisko, obok kilkudziesięciu innych, którzy systematycznie dostawali pogróżki.

Dlaczego jednak na „mojej” liście nie znalazł się José Cláudio, któremu *madereiros* od wielu lat grozili śmiercią?

Batista, którego spotkam ponownie w Marabie, podpowie, że zapewne podał jedynie nazwisko Marii, bo wówczas to ona była przewodniczącą lokalnego stowarzyszenia drobnych rolników i obrońców Amazonii. W tamtym czasie to ona, bardziej niż José Cláudio, była wystawiona na strzał. Jej towarzysz, jak o nim mówiła, otrzymywał pogróżki nieco wcześniej i nieco później.

Oboje żyli z nimi do samego końca.

José Cláudio i Maria

12.

W tej fotografii jest piękno i siła: José Cláudio na tle gigantycznego kasztanowca rozpościera szeroko ramiona jak Chrystus na wzgórzu Corcovado w Rio de Janeiro. To Jej Wysokość – *Sua Majestade* – jak ją nazywał.

Zdjęcie José Claudia i Jej Wysokości zrobił dziennikarz z São Paulo Felipe Milanez. Zaprzyjaźnili się. Felipe stał się współnikiem sprawy José Claudia i Marii. Udzielał im głosu w wywiadach, pisał o zmaganiach z niszczycielami „płuc Ziemi”.

José Cláudio mówił o Jej Wysokości i o innych drzewach jak o żywych istotach – dokładnie tak jak w wywiadzie cytowanym w czasie sesji Kongresu przez deputowanego Partii Zielonych (tego, którego wybuczano). Również o dżungli mówił tak, jakby miała osobowość, potrzeby i wymagania, radości i cierpienia, a także życie w cudownej wewnętrznej harmonii.

„Tym, co obrodzi drzewo, muszę się dzielić z ptakami i zwierzętami. Papugi i ary żywią się górną częścią. Część tego, co spada na ziemię, należy do mnie, a część do jeleni, pekari, gryzoni paka. W sumie, jedna trzecia tego, co rodzi kasztanowiec, idzie na moje potrzeby.

Czyż nie byłoby draństwem, gdybym sprzedał takie drzewo? Ile mogą mi za nie zapłacić? Dwieście reali? Przez cały rok mogę zarobić na kasztanach tyle samo, nie niszcząc drzewa. Jak w ogóle ktoś, kto nie posadził drzewa, nie doglądał go, nie wydał na jego utrzymanie nawet centa, ma czelność ściąć je i sprzedać? Coś, co natura tworzyła przez długie lata, ludzie myślący tylko o zysku są w stanie zniszczyć w niespełna godzinę”.

13.

Pierwszym bohaterem puszczy był ćwierć wieku wcześniej Chico Mendes – jego portret wisi na werandzie domu Marii i José Claudia w Praia Alta Piranheira. Chico Mendes był potomkiem białych *seringueiros*, którzy po zakończeniu boomu kauczukowego osiedlili się w dżungli na stałe. Te dzieci i wnuki drobnych zbieraczy kauczuku, nie kauczukowych latyfundystów, lecz tysiący biedaków, którzy przyjechali do Amazonii szukać życiowej szansy zamiast tułaczki albo powrotu do slumsów dużych miast, wybrały sielskie życie w harmonii z naturą. Uczyły się go od autochtonów, których wcześniej podbijano, zamieniano w niewolników, zabijano – a właściwie od autochtonek, które stały się towarzyszkami życia, żonami, matkami ich dzieci. *Seringueiros* mieli teraz poletka manioku. Według indiańskich przykazań – tylko tyle, żeby przeżyć i nie dewastować puszczy. Ich egzystencji zaczęła zagrażać inwazja hodowców bydła, którzy ruszyli z intensywną wycinką drzew.

Zorganizowali się w związek. Zaczęli nagłaśniać – w Brazylii i na świecie –

przestępstwa przeciwko środowisku naturalnemu. Chico Mendes został ich liderem.

Rodzący się w dużych miastach ruch ekologiczny był dla amazońskich wieśniaków wymarzoną sojusznikiem: potrafił uczynić z ich losu, sprawy, interesu kwestię międzynarodową. Uniwersalną. Z kolei Chico Mendes, człowiek z dżungli, autentyczny przywódca chłopski z Amazonii, nie mieszcuch z bogatego domu z Rio de Janeiro, był dla ekologów skarbem. Jako rzecznik jednych i drugich jeździł do Stanów Zjednoczonych, gdzie opowiadał kongresmanom, senatorom, oficjelom Banku Światowego o niszczeniu puszczy, o wymieraniu gatunków, o zagrożeniu dla wszystkich, którzy – jak on sam – nauczyli się żyć w harmonii z naturą.

Chico Mendes stał się ikoną za życia. Zaczął zbierać laury, dostał nagrodę ONZ za obronę lasów Amazonii. Sława uczyniła go niebezpiecznym dla interesów *fazendeiros* i hodowców, którzy wkraczali coraz brutalniej do dżungli i zamieniali lasy na pastwiska. Zaczął dostawać pogróżki. W trakcie fiesty z okazji czterdziestych czwartych urodzin powiedział przyjaciołom i towarzyszom, że prawdopodobnie nie dożyje Bożego Narodzenia. Tydzień później, w czwartek dwudziestego drugiego grudnia osiemdziesiątego ósmego roku wieczorem, zastrzelono go w domu, w wiosce Xapuri, w stanie Acre.

Zbrodnia odbiła się echem na świecie. Znani artyści pisali o nim pieśni, kręcili filmy. Wielki gwiazdor muzyki popularnej Sting nagrał po portugalsku swój hit *Fragile*. O tym, że zbrodnia może unicestwić jedno życie, ale nie zniszczy idei. Że głos takich jak Chico nie umilknie nigdy. *Jamais a nossa voz vai calar...*

Zabójcami Chico Mendesa byli miejscowi *fazendeiros*, Darly Alves, jego syn Darcy i ich pracownik. Zostali skazani na dziewiętnaście lat więzienia. Darly uciekł z krat. Stugębna plotka głosi, że ucieczkę ułatwili mu wysoko postawieni przyjaciele. W brazylijskim interiorze takie przysługi to norma. Prowincją trzęsą *fazendeiros* i hodowcy. Politycy, biurokraci i lokalna elita gospodarcza to zazwyczaj jeden kartel. Już po tej cudownej ucieczce w lud poszła wieść, że Alvesowie cieszyli się w więzieniu niecodziennymi przywilejami: mieli kolorowy telewizor, lodówkę, przyjmowali wizyty młodych kobiet.

Darly'ego Alvesa schwytano ponownie w dziewięćdziesiątym szóstym. Dostał dodatkowo wyrok za fałszowanie dokumentów: dwa lata i osiem miesięcy. Schorowany, odsiedział karę w domu. W jednym z wywiadów powiedział o sobie: „Jestem męczennikiem”. W innym – że Chico Mendes sam się zabił.

14.

Mówią dziś o nich: bohaterowie puszczy, męczennicy Amazonii.

Tak się pisze historię ex post. Order, tablica ku czci, pomnik.

A jacy byli w realnym życiu ci amazońscy wieśniacy? Skąd się wzięli? Jak żyli?
Dlaczego ryzykowali życie?

15.

– Ty masz mszę codziennie, dzisiaj oglądamy mecz!

José Cláudio i Maria od zawsze kłócili się o władzę nad pilotem do telewizora. On, zapalony kibic futbolu, gdy tylko była transmisja meczu, który go interesował, wyklócał się o swoje. Ona, wierząca, na pograniczu dewocji, systematycznie oglądała msze i religijne talk-show, których w brazylijskiej telewizji wiele. Gdy mu się sprzeciwiała, mówił:

– Modlić się możesz wszędzie, nie musisz przed telewizorem.

On: wieczny chłopczyk, zgrywus. Imprezowicz i brat łata. Lekkoduch. Poważny tylko w sprawie naprawdę poważnej: walce przeciwko niszczeniu dżungli. W podejściu do niej miał coś z misjonarza. Ta misja ukradła mu masę towarzyskich przyjemności. Dawniej kochał przesiadywać w barze z kumplami, gawędzić godzinami przy piwie czy cachasie, ale od kiedy dał się we znaki hodowcom bydła i handlarzom drewna, nie mógł wałęsać się po barach. Zbyt ryzykowne.

Ona była jego przeciwieństwem: skryta, zamknięta w sobie, zawsze serio – w pracy i w domu. Przy nim zmieniała się trochę, częściej się uśmiechała, a nawet śmiała. Zobaczyła, że życie może być radością, fiestą, nie tylko ciężkim zadaniem, nieustającym sprawdzianem. Tak opowiada o siostrze Laísa. Łączyła ich rodzina, dla obojga rzecz naj, adoptowany syn Cláudio Ramón i sprawa, o którą walczyli. Dwa życia, jedna historia – tak mówiła o nich obojgu Maria.

Jej rodzina – rodzice i siedmioro dzieci – przyjechała do stanu Pará z wysuniętego jeszcze bardziej na północ Maranhão, który jest synonimem bezbrzeżnej nędzy. Wieśniacy tyrali tam w latyfundiach za grosze albo za samo tylko jedzenie i dach nad głową. Stracili i to, gdy po zmodernizowaniu rolnictwa nie potrzeba było tylu rąk. Wegetowali na obrzeżach posiadłości, żyjąc z tego, co urodzi dżungla; zasilali slumsy miasta São Luis do Maranhão. Gdy w latach siedemdziesiątych rządzący krajem wojskowi wzywali do „podbijania” Amazonii, gdy mówiło się, że dużo tam ziemi, a mało ludzi, rodzice Marii i Laisy ruszyli do stanu Pará. Osiedlili się w São João do Araguaia, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Maraby. Ojciec zbierał kasztany, wyciskał z nich olej; część tego urobku sprzedawał na targu.

Laísa opowiada, że już wtedy niektórzy biedni rolnicy, jak rodzice jej i Marii, rozwijali inną kulturę eksploatacji Amazonii niż wielcy hodowcy bydła. Wycinali niewiele drzew, niezbędne minimum, i siali kukurydzę, ryż, maniok. Tylko tyle, ile potrzebowali do życia.

Maria, gdy dorosła, dzieliła czas między pracę w małym gospodarstwie rodziców i studia pedagogiczne na Uniwersytecie Stanu Pará w Marabie. Potem – między wychowywaniem piątki dzieci, pracą w domu i wolontariatem – uczyła niepiśmiennych chłopów czytać i pisać. Od pewnego momentu uświadamiała ich także, na czym polega życie w zgodzie z dżunglą. Ten moment przyszedł wraz ze spotkaniem z José Cláudiem. Był rok osiemdziesiąty szósty.

José Cláudio, najstarszy z rodzeństwa sześciu siostr i pięciu braci, od dziecka dorastał w puszczy. Przodkowie pochodzili z autochtonicznych ludów Gavionów i Kajapów, co wyraźnie sugerowały rysy jego twarzy. Wychował go dziadek, zbieracz kasztanów. Od małego José Cláudio pomagał dziadkowi zbierać je i ładować do worków. Razem jeździli po sąsiadach i zabierali również ich plony na targ w Marabie. Objuczali nimi osiołki i tak wieźli do miasta.

Oboje, José Cláudio i Maria, mieli za sobą nieudane związki i sporą gromadkę dzieci: Maria – piątkę, José Cláudio – dwójkę. Oboje dobijali trzydziestki, gdy się spotkali i uznali, że nie potrafią bez siebie żyć.

16.

Nie byli wtedy „zawodowymi” działaczami. Nie było ich w grupie chłopów bez ziemi, którzy od końca lat osiemdziesiątych domagali się od władz osiedlenia kilkuset rodzin niedaleko miasteczka Nova Ipixuna, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Maraby. Wieśniacy zanosili do urzędu do spraw reformy rolnej (Instituto Nacional de Colonização e Reforma Agrária – INCRA) wnioski i projekty zagospodarowania terenu. Gdy nie było odzewu, organizowali manifestacje i pikiety przed urzędem. Te pikiety przeradzały się nieraz w wielomiesięczne koczowiska.

Widziałem takie koczowisko, kiedy przyjechałem tu pierwszy raz. Nazwa szalasowego miasteczka brzmiała jak ponury żart: Nova Esperança, to znaczy Nowa Nadzieja. Smród Nowej Nadziei czuć było na kilometr. W nieruchomym powietrzu zastygły odór fekaliiów. Wszystko tonęło w śmieciach. Między szalasami snuły się wychudzone psiaki, zwykle bez sierści, pokryte paprzącymi się ranami. Ludzie wyglądali trochę lepiej. Znudzeni, a może zmęczeni upałem mężczyźni grali w karty. Kobiety niańczyły niemowlęta, starsze dzieci zajmowały się sobą. Wszyscy na zewnątrz, bo w skleconych byle jak budach z kartonów, desek i foliowych płacht panował nieznośny zaduch.

Koczowało około trzystu rodzin. Chcieli wymusić na urzędzie nadanie kawałka ziemi, z której dałoby się wyżyć. Większość to wygnańcy ze stanowego interioru, gdzie rządzą prywatne armie hodowców bydła. Chłopi ci zajmowali samowolnie nieużytki wielkich posiadłości albo ziemię państwową, stanową, nie wiadomo czyją, na którą akurat któryś

z lokalnych ranczerów miał apetyt. Mieli do wyboru: walkę z paramilitarnymi – bez szans – albo wyniesienie się i ocalenie skóry. Większość koczowała od miesiący, rekordziści – od dwóch lat.

Koczowisko miało nawet dociągnięty na dziko prąd. Na osłoniętych byle jaką izolacją drutach elektrycznych wisiało mokre pranie, między nimi biegały beztrosko dzieci. Śmierć na wyciągnięcie ręki – dosłownie, bez metafor.

Gdy zdesperowani chłopci bez ziemi koczowali przed urzędem, wielcy hodowcy robili im czarny piar. Donosili, że buntownicy są komunistami manipulowanymi przez wrogie siły zewnętrzne. To się działo ledwie kilka lat po upadku dyktatury wojskowej, która wymachiwała hasłami walki z komunizmem. Dla miejscowego establishmentu „komunistą” był każdy, kto domagał się reformy rolnej albo sprzeciwiał wycinaniu lasów. W urzędach na prowincji niewiele się jeszcze wtedy zmieniło, lokalna elita była ta sama. Do dziś zresztą są tu miejsca, w których wydaje się, że zegar stoi od dziesięcioleci, a może dłużej. Donos czy publiczny zarzut o komunizowanie to gorzej niż oskarżenie o kradzież, gwałt, morderstwo.

17.

W Eldorado do Carajás, miejscowości na południe od Maraby, tysiąc pięciuset chłopów bez ziemi straciło cierpliwość i siedemnastego kwietnia dziewięćdziesiątego szóstego roku zorganizowało marsz protestu. Nie mogli doczekać się wywłaszczenia pobliskiego latyfundium Macaxeira, którego obrzeża okupowali. Domagali się od władz natychmiastowego działania: osiedlenia na podzielonym latyfundium swoich rodzin.

Zablokowali szosę BR-155, która łączy południe stanu Pará z jego stolicą na północy – Belém. Policjanci otworzyli ogień. Zginęło dziewiętnastu wieśniaków, kilkudziesięciu zostało rannych. Masakrę zlecił *fazendeiro* Ricardo Marcondes de Oliveira. Zapłacił dwóm komendantom policji, żeby uciszyli intruzów raz na zawsze.

Lata temu pisałem do gazety relację o procesie policjantów uczestniczących w masakrze. Tłum wściekłych wieśniaków skandował przed sądem w Belém: „Mordercy! Mordercy!”, kiedy sąd uniewinnił trzech policjantów odpowiedzialnych za strzelanie do ludzi...

Fragment korespondencji:

Sędziowie przysięgli uznali w czwartek, że dowody przedstawione przez prokuratora są niewystarczające, żeby skazać pierwszych trzech ze stu pięćdziesięciu policjantów oskarżonych w największym procesie w historii Brazylii. Opinia publiczna jest zszokowana. Politycy, Kościół katolicki, obrońcy praw człowieka, prasa i telewizja pełne są komentarzy w jednym tonie: „To skandal”.

Od początku kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku około półtora tysiąca bezrolnych chłopów rozpoczęło okupację wielkiej posiadłości ziemskiej Macaxeira w Curionópolis, w stanie Pará na północy kraju. Ósmego kwietnia rozpoczęli marsz na stolicę stanu Belém. Był to protest przeciw opieszalej reformie rolnej. Tydzień później czterdzieści kilometrów dalej, w okolicach Eldorado do Carajás, głodni i zmęczeni chłopcy zablokowali szosę, domagając się jedzenia i transportu do Belém. Szesnastego kwietnia gubernator stanu Pará Almir Gabriel (należący do partii prezydenta) rozkazał odblokować drogę. Gdy na drodze pojawili się policjanci, posypały się wyzwiska, a potem kamienie. Zastrzelono dziewiętnastu chłopów, ponad setka była ranna. Oględziny komisji praw człowieka wykazały, że co najmniej na siedmiu chłopach dokonano maczetami egzekucji z zimną krwią, już po zakończeniu walk.

Przysięgli uznali wczoraj, że nie ma wystarczających dowodów, żeby skazać trzech oficerów policji militarnej, dowodzących operacją. Poparł ich sędzia Ronaldo Valle.

Głównym dowodem była kasetka z nagraniem wideo, ukazująca fragment walk między chłopami a policją. Tuż przed ogłoszeniem wyroku jeden z przysięgłych poprosił o pokazanie raz jeszcze nagrania. Wskazał długopisem dym unoszący się między maszerującymi chłopami. „Teraz mamy dowód na to, że od początku konfliktu chłopcy byli uzbrojeni” – powiedział. Zgodnie z brazylijskim prawem przysięgły nie może wydawać publicznie opinii w czasie procesu, a jedynie wyrazić swój pogląd w tajnym głosowaniu. Prokurator zarzucił przysięgłemu przekroczenie kompetencji.

– Jesteśmy rozczarowani, oczekiwaliśmy, że przynajmniej tych trzech policjantów dowodzących operacją zostanie skazanych – powiedział „Gazecie” Jim Cavallaro, szef brazylijskiego Helsinki Human Watch. – Policja i prokuratura mało zrobiły, żeby zebrać mocne dowody. Może nagranie nie jest najlepszym dowodem, żeby z całą pewnością stwierdzić, kto kogo zabił, ale ci trzej oficerowie kierowali masakrą i na to, żeby skazać ich jako odpowiedzialnych, dowody były wystarczające. Są z pewnością słabsze, gdy chodzi o następnych stu czterdziestu siedmiu oskarżonych – zauważył Cavallaro.

– Ten wyrok – mówi „Gazecie” oburzony Nilton Viana, rzecznik Ruchu bez Ziemi^[7] – dowodzi tylko tego, że władza sądownicza służy władzy wykonawczej i bogatym. Na taśmie widać wyraźnie: policjanci strzelali do chłopów. Chłopcy byli bez broni. Decyzja sędziów gwarantuje elitom w naszym kraju pełną bezkarność. Ale my będziemy walczyć dalej.

Tuż po ogłoszeniu wyroku przed budynkiem Uniwersytetu Amazońskiego w Belém policjanci strzegący gmachu pokazali pazury. Do protestujących chłopów z Ruchu bez Ziemi zaczęli pokrzykiwać z satysfakcją: „Do roboty, przybłędny!”, „Nic tu po was!”. Doszło do gwałtownej przepychanki i bójek. Według relacji obrońców praw człowieka, policjanci grozili chłopom śmiercią i kolejnymi masakrami. – Nie mogłam spać w nocy, bałam się, że nas pozabijają – opowiadała wdowa po jednym z zabitych w Eldorado do

Carajás.

Uniewinnienie dowódców masakry spowodowało komentarze najwyższych władz kraju. Wprawdzie minister sprawiedliwości odmówił, ale za to odezwał się sam prezydent Fernando Henrique Cardoso. – Oczekiwałem jakiejś kary – wyznał publicznie Cardoso. – Takich rzeczy jak masakra w Eldorado do Carajás nie wolno tolerować. Jako obywatel żałuję, że Brazylia wciąż nie ma świadomości, że bezkarność zagraża naszej demokracji.

Pułkownika i majora policji, odpowiedzialnych za masakrę, skazano dopiero w maju dwa tysiące dwunastego – odpowiednio na dwieście dwadzieścia osiem i sto pięćdziesiąt osiem lat więzienia. *Fazendeiro*, którego majątek częściowo wywłaszczono – na jego obszarze mieszka dziś około sześciu tysięcy ludzi – pozostał nietykalny.

18.

Osada Praia Alta Piranheira to rozrzucone na obszarze dwudziestu pięciu tysięcy hektarów puszczy małe gospodarstwa ponad czterystu rodzin. Jedno od drugiego dzieli czasem pół godziny jazdy samochodem. Wrzucony tu człowiek ma wrażenie, że znalazł się nie w ludzkiej osadzie, lecz w sercu dżungli. Z Maraby dojeżdża się tu pikapem z napędem na cztery koła po wyboistych, błotnistych drogach. Gdy po ulewnych deszczach drogi są nieprzejezdne, trzeba płynąć około trzech godzin łódką motorową po rzece Tocantins.

W dziewięćdziesiątym siódmym, po dekadzie protestów i dobijania się o prawo do kawałka ziemi, chłopci z okolic Maraby, wśród nich byli już wtedy Maria i José Cláudio, dopięli swego. Mieli więcej szczęścia niż desperaci z Eldorado do Carajás – coś się w Brazylii zmieniało. Urząd wywłaszczył trzy wielkie, zagarnięte nielegalnie posiadłości ziemskie i wyraził zgodę na założenie osady rolniczej Praia Alta Piranheira. Wydawało się, że nadchodzi koniec historii, jak głoszone w tym samym czasie w innej Ameryce. Albo choć początek nowej. Lepszej.

Na swoim kawałku ziemi José Cláudio i Maria zbudowali drewniany, parterowy dom z rozległą werandą. Niczego nie sadzili – żyli z tego, co daje puszcza. W obejściu rosły drzewa – *acai* i *cupuacu*, z owoców których robi się pyszne i w naturalny sposób energetyczne soki. I oczywiście kasztanowce, w tym Jej Wysokość.

Wśród sąsiadów mieli swoich najbliższych: Maria – siostrę Laisę z mężem i gromadą dzieci, José Cláudio – brata Claudionora, siostrę Claudelice – też ze swoimi rodzinami; i przede wszystkim matkę Raimundinhę. Wymarzony świat.

Od rana zbieranie kasztanów, ich „obróbka”, wyciskanie oleju. Zbieranie owoców. Potem działalność we wspólnocie Praia Alta Piranheira: José Cláudio i Maria pełnili tu rolę społecznych nauczycieli. Przekonywali, jak korzystać z dobrodziejstw puszczy,

chroniąc ją. Większość rodzin żyje tu ze zbierania kasztanów, innych owoców dżungli i czasem też uprawiania na małych przydomowych poletkach manioku i kukurydzy. Z orzechów kasztanowca wyciska się mechaniczną wyciskarką olej. Za litr oleju można dostać na targu sto pięćdziesiąt reali, czasem więcej. Z resztek rozgniecionych orzechów robi się mączkę, a z niej farofę, jeden z przysmaków brazylijskiej kuchni. Olej ma jeszcze jedno przeznaczenie: kosmetyki. Z inicjatywy Marii kobiety z osady założyły manufakturę, która produkowała kosmetyki naturalne, mydła, szampony – na własny użytek i na sprzedaż.

Dopiero w kolejnych rozmowach z przyjaciółmi i najbliższymi zamordowanych wychodzi na jaw, że nie wszyscy wieśniacy z Praia Alta Piranheira słuchali ekologicznych nauk José Claudia i Marii. Osada jest wielką zdobyczą i dumą oddolnych ruchów chłopskich. Utopijną krainą. Trzeba czasu, cierpliwości, wielu spotkań, żeby usłyszeć, że nie wszyscy mieszkańcy osady brali sobie do serca ideał życia w zgodzie z naturą. To znaczy – wydzierania dżungli tylko tyle, ile konieczne, żeby żyć, dzielenia się jej owocami z resztą fauny, ochrony „płuc planety”. Może to najtrudniejsze wyznanie bliskich i przyjaciół José Claudia i Marii: wspólnota biednych to nie wspólnota aniołów.

– Niestety, niektórzy naśladowali i nadal naśladowują hodowców bydła i handlarzy drewnem – mówi Laísa z nutą rezygnacji. – Wycinają drzewa, sprzedają je, sieją trawę na pastwiska.

Przeglądając stare numery lokalnych gazet, natrafiam na jeszcze bardziej dramatyczne słowa Laisy, która w dniu pogrzebu powiedziała w rozpacz, że większość mieszkańców osady odwróciła się od Marii i José Claudia; że sąsiedzi po cichu życzyli im, żeby pogróżki śmierci się spełniły.

Jakiś czas później spotkałem jednego z nich. Skarżył się, że teraz on dostaje pogróżki; drży o życie swoje i rodziny. Krewna José Claudia powiedziała z nieukrywaną złością, że to on wpuścił *madereiros* na teren osady Praia Alta Piranheira, a teraz wisi nad nim groźba egzekucji, bo prawdopodobnie za dużo wie o nielegalnych praktykach handlarzy drewnem.

Pokusa wpuszczenia na swoją ziemię *madereiros* była zawsze ogromna. Żeby wyprodukować litr oleju i zarobić na nim sto pięćdziesiąt reali, trzeba zebrać kasztany, wyłuskać je ręcznie ze skorupki, przemielić. Sporo czasu i wysiłku. A można bez pracy, bez inwestycji, bez poświęcania nawet chwili zarobić setki reali. Jakby pieniądze spadły z deszczem. Wystarczy wpuścić *madereiros*, dać im wolną rękę, wziąć swoją dolę.

Trzeba silnej wiary w ideał życia zgodnego z otaczającą naturą, żeby oprzeć się pokusie. Splunąć na forszę – największy heroizm naszego czasu.

Ludzie mieszkający w osadach takich jak Praia Alta Piranheira stoją niekiedy przed

wyborami trudniejszymi niż dylemat „pieniądze czy ideały”. Chłopskie osady w Amazonii są zazwyczaj odcięte od świata. Mają czasem jedną czy dwie wąskie na szerokość samochodu drogi, którymi nie da się przejechać, gdy tylko spadnie większy deszcz. Handlarze drewnem zjawiają się niczym dobrodziejce, złote rybki z bajki: dajcie nam swoje drzewa, a zbudujemy wam porządną drogę. Niszczyciele dżungli wypełniają w ten sposób rolę państwa. Robią to w swoim interesie, bo potrzebują dróg, żeby przewozić ścięte drzewa. Rodzi się nieoczekiwana wspólnota interesów: dla odciętych od świata osad i wiosek oferta „drzewa za drogę” to jak ratunek niebios.

19.

Najpotężniejszą bronią w zmaganiach z niszczycielami lasów był aparat fotograficzny.

Gdy ciężarówki handlarzy drewnem wjeżdżały na teren osady bogatej w cenne na rynku drzewa – *jatoba*, mahoń, orzech brazylijski – i gdy udało się te ciężarówki namierzyć, José Cláudio i Maria dokumentowali przestępstwa. José Cláudio zatrzymywał ogromne auto z wielkimi pociętymi balami, ryzykując, że może dostać kulkę, i wyklócał się z kierowcą. Ale awantura to mało skuteczna metoda, raczej upust wściekłości, czasem szybki wykład kierowany do głuchego o potrzebie przestrzegania prawa i chronienia bogactwa natury. Gdy José Cláudio wyklócał się z kierowcą, Maria z ukrycia robiła zdjęcia, dokumentując przestępstwo. Następnie razem składali doniesienie w Brazylijskim Instytucie Środowiska Naturalnego i Zasobów Naturalnych (Instituto Brasileiro de Meio Ambiente e Dos Recursos Naturais Renováveis – IBAMA) w nadziei, że urząd namierzy dane samochodu, a przez to firmę, która zleciła nielegalną wycinkę.

W ten sposób José Cláudio i Maria napsuli krwi niejednemu handlarzowi. Funkcjonariusze IBAMA, mający do dyspozycji specjalne oddziały policji federalnej, wielokrotnie robili naloty na firmy handlujące drewnem, nakładali surowe grzywny, zawieszali okresowo ich działalność.

José Cláudio i Maria kursowali po okolicznych osadach i miasteczkach, skrzykiwali zebrania, pogadanki, w czasie których oskarżali niszczących Amazonię o egoizm, chciwość, zbrodnie – na przyrodzie i na ludziach. Ich ekologiczna pasja i misja kosztowała niejednego właściciela tartaku duże pieniądze. Te stracone lub te niezarobione – co wychodziło na jedno.

20.

– Pogrożki zaczęły się krótko po założeniu osady – opowiada Batista. – José Cláudio i Maria, jako liderzy wspólnoty Praia Alta Piranheira, wybrani przez mieszkańców, powiedzieli twardo NIE handlarzom drewna.

Pomalowany na zielono parterowy budynek w centrum starej Maraby, wciśnięty między dwa większe, nie ma żadnej tabliczki. Względy bezpieczeństwa. Ażurowe drzwi z metalowej kraty są zamknięte na kłódkę i każdemu, kto wchodzi, trzeba je osobno otwierać – względy bezpieczeństwa raz jeszcze. To siedziba Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi; w środku, przy samym wejściu, duży portret uśmiechniętego Chico Mendesa z puszczą w tle. Tutaj po siedmiu latach spotykam Batistę.

Z wyglądu niewiele się zmienił, jedyna różnica – posrebrzone włosy. Z człowieka skazanego na dwa i pół roku więzienia za udział w blokadzie jednego z urzędów w Marabie stał się kimś w rodzaju bohatera, wzorem walki o zrównoważony rozwój i ochronę środowiska. Jeszcze parę lat temu, szczególnie na prowincji, brazylijskie sądy uznawały protesty społeczne za przestępstwa. Batista udzielał pikietującym chłopom porad prawnych, a ponieważ zatrzymano go razem z nimi, został oskarżony i skazany na więzienie. Szczęśliwie odpowiadał z wolnej stopy, a wyrok upadł w apelacji. Popularny magazyn „GQ” wybrał go Człowiekiem Roku 2011, ale na gratulacje Batista odpowiada gorzkim, pełnym zadumy uśmiechem.

– To nagroda dla José Claudia i Marii – mówi po chwili. – Bez tej zbrodni nie byłoby nagrody, nikt by nie dostrzegł, co się tutaj dzieje ani co robimy.

Pastoralna Komisja do spraw Ziemi gromadzi dokumentację zabójstw działaczy chłopskich. W papierach znajduję relację Marii o pogróżkach, jakie dostawała jako przewodnicząca stowarzyszenia mieszkańców Praia Alta Piranheira. Stylistyka tekstu wskazuje, że to relacja mówiona, spisana prawdopodobnie z nagrania.

„...jak już mówiłam, pogróżki, że mnie zabiją, dostawałam ciągle, ale ani przez chwilę nie pomyślałam o porzuceniu stowarzyszenia, prosiłam, żeby Bóg dał mi siłę do dalszej walki. Byłoby największym tchórzostwem, gdybym w momencie najtrudniejszym zostawiła same sobie rodziny, które potrzebowały i wciąż potrzebują wsparcia...

Któregoś dnia siedzieliśmy w domu jednego z towarzyszy, było nas tam co najmniej trzydzieści osób, gdy usłyszeliśmy odgłos samochodu. To był *fazendeiro*, który uważał się za właściciela terenu.

Po chwili wszyscy się rozeszli, zostałam tylko z trzema towarzyszami. On podszedł i spytał, kto jest przewodniczącym stowarzyszenia. To była kpina, bo oczywiście mnie znał. Sądzę, że odegrał tę scenę tylko po to, żeby *pistoleiro*^[8] wiedział, jak wyglądam. Nigdy tego nie zapomnę...

Mój mąż był w podobnych sytuacjach... To z powodu zaangażowania w bardziej sprawiedliwą reformę rolną zdecydowałam się stanąć na czele stowarzyszenia, a pogróżki tylko dodawały mi odwagi.

Ale były momenty, w których nie wytrzymałam. Na przykład, gdy widziałam rodziny

wygnane z domów i *pistoleiros*, którzy puszczały je z dymem. Palili wszystko, co te rodziny miały. Byłam wtedy na uniwersytecie i gdy dostałam wiadomość, od razu pojechałam do Praia Alta. Na miejscu zastałam popioły. Jeszcze dziś, gdy to wspominam, coś mnie dławi. Spalili jedenaście domów... Nigdy nie zapomnę widoku dzieci bez ubrań, bez butów, bez dachu nad głową...”.

José Cláudio i Maria prowadzili dwie batalie: o prawo do ziemi i o ochronę lasów Amazonii. Relacja Marii o pogróżkach dotyczy tej pierwszej. Wielcy właściciele ziemscy, hodowcy bydła prowadzili ekspansję terytorialną i zastraszali drobnych rolników, żeby ci wynieśli się i żeby mogli zająć ich ziemię.

Pogróżki przychodziły falami. Na przykład przez dwa lata systematycznie, potem spokój przez kilka miesięcy i od nowa.

Prześladowcy zostawiali kartkę na drzwiach: „Szykuj się na śmierć” albo „Zapłacisz drogo, kurwo”.

Częściej jednak ktoś znajomy zaczepiał Marię lub José Cláudia w miasteczku i mówił: „Oj, lepiej dziś nie wychodź z domu. Słyszałem, że...”.

Tak to tutaj wygląda. Ktoś znajomy z widzenia, niby jako przyjaciel, opowiada, że słyszał, jak ktoś inny mówił, że podobno *fazendeiros* wynajęli kogoś do mokrej roboty. Albo że krąży po mieście wieść jakoby... itp. Zagrożony nigdy nie wie, czy to prawda, czy nie. Czy zabójcą nie będzie ktoś z sąsiedztwa, z miasteczka, kogo dobrze zna z widzenia. Albo czy przypadkiem ów „przyjaciel” przekazujący plotkę lub dobrą radę, żeby nie wychodzić z domu, nie został wynajęty jako zabójca.

Laísa opowiada, jak kiedyś przed dom Marii zajechało dwóch typów na motocyklach.

– Czy to pani wysyła donosy na *madereiros*?

– Tak, składam doniesienia o każdej nielegalnej działalności.

– To lepiej pomyśl, kurwo, co robisz, zanim ktoś ci obetnie język.

I odjechali.

Kiedy indziej przyjechało dwóch i rozpytywali o José Cláudia. Chcieli, żeby pomógł im naprawić motocykl, ale gdy okazało się, że nie ma go w domu, od razu odjechali. Motocykl nie wymagał natychmiastowej naprawy.

Jeszcze innym razem ktoś postrzelił ich psa.

Maria płakała w ramionach siostry. Mówiła, że w końcu ich kiedyś pozabijają.

– Nikt cię nie zabije, kochana, chcą cię tylko nastraszyć – pocieszała ją Laísa.

Maria postanowiła napisać list do Mariny Silvy, ikony ruchu zielonych w Brazylii. Marina Silva była wtedy ministrami ochrony środowiska w rządzie prezydenta Luli, bohatera ludu. Ale długo nie zagrzała tam miejsca i złożyła dymisję, bo nie umiała

pogodzić się z projektami rządu, które zagrażały środowisku naturalnemu, przede wszystkim w Amazonii. Wszyscy wiedzieli, że w latach osiemdziesiątych Marina była towarzyszką walki Chico Mendesa. Między innymi dlatego Maria liczyła na pomoc siostrzanej duszy, która dostała się na szczyty władzy.

„Pragniemy poinformować, że grozi nam śmierć, ponieważ nie zgadzamy się z tym, co się tu dzieje. Wrogowie przyrody pracują dzień i noc... Prosimy jedynie o pomoc, byśmy mogli kontynuować naszą misję chronienia lasów... Chciwość i kapitalizm były zawsze zaślepione...”.

List ów Maria nazwała „S.O.S.”.

Kilka tygodni później kolejny list. „Nie możemy tu zostać, bo nas zabijają...”.

Ratunek ani odpowiedź nigdy nie nadeszły.

W cieniu pogrózek. Poprzednicy

21.

Jak się żyje w cieniu pogrózek, nasłuchiwałem się tutaj przed laty. Batista przywiózł mnie na półkonspiracyjny zlot ludzi bez ziemi i obrońców lasów Amazonii. Zlot nie był zakazany czy nielegalny, ale odbywał się poza miastem, na zatopionym w dżungli terenie należącym do miejscowej parafii katolickiej, z dala od oczu lokalnych bonzów, *madereiros*, hodowców, miejscowych polityków, policji, środków przekazu. Dopiero po wysłuchaniu historii ludzi, którzy się tu zbrali, pomyślałem, że polana wypełniona zbuntowanymi była wymarzoną tarczą strzelniczą dla *pistoleiros*. Przyjechali chyba wszyscy z list śmierci – z południa i wschodu stanu Pará.

Ich historie cechuje okrutna powtarzalność. Wokół każdego spalona ziemia: zamordowani towarzysze walki, przyjaciele, krewni.

Antônio Gomes zwany Pipirą (pipira to gatunek ptaka), syn bezrolnych chłopów ze stanu Maranhão, opowiadał, jak w snach był na własnym pogrzebie. Widział trumnę z ciałem, zapalone wokół świece, orszak żałobny. Pipira był w tamtym czasie liderem związku ludzi bez ziemi w miejscowości Tracua, dwieście czterdzieści kilometrów od Maraby. W dwa tysiące pierwszym pochował swojego poprzednika José Pinheirę Limeę,

jego żonę Cleonice i syna Samuela.

Na los wywrotowca skazał Pipirę ksiądz Josino, katecheta, od którego nauczył się, że należy myśleć nie tylko o sobie, że trzeba pomagać innym, walczyć o sprawiedliwość. Pipira wcześniej stracił ojca, przerwał naukę, musiał pomagać matce, która miała dwanaścioro dzieci.

Potem drżał o życie własnych – trzech synów i dwóch córek.

Latyfundiści, opowiadał, mszczą się za osiedlanie na ich ziemi przymierających głodem rodzin i protesty przeciwko niszczeniu puszczy. Zabili syna poprzedniego szefa związku. Krótco przed naszym spotkaniem Pipira i jego towarzysze doprowadzili do tego, że władze federalne przejęły latyfundiów, na terenie którego wycinano drzewa i uzyskane z nich drewno sprzedawano nielegalnie za granicę. Pipira bał się, że *madeiros* nie darują im tego – bo to przez nich, chłopskich działaczy, nie zarobili milionów.

Gdy Pipira wychodzi z domu, nigdy nie wie, czy wróci. Nie umawia się w barach, nie pije, nie chodzi na tańce, żeby nie być łatwym celem; żeby – na przykład – nie zginąć w „przypadkowej” bójce. Gdy jedzie taksówką, wysiada kilka ulic od domu, a potem kluczy, żeby zorientować się, czy ktoś na niego nie poluje, czy za nim nie idzie. W razie czego miałby czas zmylić tropy, zgubić prześladowcę, a najważniejsze – nie przyprowadzić go przed drzwi swojego domu.

Nie ma ochrony, bo nie ufa policji. Policja, mówi, służy tu latyfandyście, wielkim interesom. Boi się umrzeć, kocha gromadkę swoich dzieci. Mógłby wieść spokojne życie, ma spory kawałek własnej ziemi, trzydzieści sztuk bydła, uprawy owoców. Ale gdyby wycofał się, to tak jakby zdradził tych, którzy zginęli, i tych, którzy wybrali go na swojego przywódcę. Dlatego mówi, że będzie walczył i że będzie z biedniejszymi od siebie do końca.

Na tym osobliwym, półkonspiracyjnym zlocie spotkałem Joelmę, już wtedy wdowę po działaczu chłopskim José Dutrze da Coście, nazywanym przez wszystkich Dezinhem. Dezinho był jednym z tych, którzy żyli przez lata w cieniu pogroźek.

Morderca zapukał o wpół do ósmej wieczorem, dwudziestego pierwszego listopada dwutysięcznego roku. Dezinho, od dawna dostawał anonimowe telefony i listy. Prześladowcy roznosili po mieście plotki-ostrzeżenia, że marnie skończy. Był szefem związku pracowników rolnych w miasteczku Rondon do Pará. Zabiegał u władz o zgodę na osiedlanie chłopów bez ziemi na nieużytkach latyfundiów, terenach należących do stanu, państwa, często – jak to tutaj – nie wiadomo do kogo. Gdy władze milczały, a było to wtedy normą, Dezinho pomagał chłopom organizować się do samowolnego zajmowania ziemi.

Zabójca przedstawił się Joelmie jako pracownik rolny, powiedział, że musi porozmawiać

z Dezinhem o kłopotach, chodziło – jak mówił – o sprawy emerytalne babki. Nalegał, że nie może czekać do następnego dnia, że musi go widzieć natychmiast. Dezinha nie było w domu, poszedł w odwiedziny do sąsiadów. Jedna z córek pobiegła go zawołać. Zabójca wyszedł przed dom na papierosa.

Gdy Dezinho wrócił od sąsiadów, Joelma słyszała początek rozmowy z niespodziewanym gościem. Ów, tak jak mówił wcześniej, prosił o wsparcie w sprawie babki. Joelma weszła do domu, po chwili usłyszała strzał. Wybiegła i zobaczyła, jak się szarpią. Splecione ciała wpadły do dołu przed domem. Zaczęła krzyczeć: „Pomocy!”. Zbiegli się sąsiedzi. Postrzelony Dezinho umierał, ale nie puścił mordercy. Gdy wpadali do dołu, przygniótł go ciałem i tamten nie zdołał się już wydostać. Pojmali go sąsiedzi.

Dezinho i Joelma z dwójką dzieci przyjechali do stanu Pará z Maranhão w latach osiemdziesiątych. Rodzice obojga byli rolnikami – podobne losy do losów rodziny Marii. Dezinho znał się na mapach, oznaczaniu topografii, pracował przez pewien czas w państwowym koncernie Vale do Rio Doce. Gdy stracił pracę, przyłączył się do walczących o ziemię bezrolnych wieśniaków i stał się jednym z ich liderów. Trafił na listę śmierci – ludzi przeznaczonych przez wielkich właścicieli ziemskich do zgładzenia.

Zabójcę Dezinha, Wellingtona Jesusa da Silve, skazano na zaledwie pięć lat. Zleceniodawca zbrodni – *fazendeiro* José Décio Barroso Nunes – uniknął kary. Zatrzymano go, ale po dwóch tygodniach wypuszczono, bo brakowało dowodów.

– Sędziowie i władze tutaj zawsze byli po stronie bogatych – mówiła Joelma. – To jedna klika.

Krótko potem w dziwnych okolicznościach został zamordowany główny świadek zbrodni, sąsiad Magno Fernandes do Nascimento, który pojmał zabójcę Dezinha.

Przez dwa lata od śmierci Dezinha Joelma nie była w stanie opowiadać o tym, co się stało, ani nawet o tym myśleć. Gdy się spotkaliśmy, postanowiła mówić. Niech świat się dowie o toczącej się tutaj cichej wojnie.

Joelma zajęła miejsce męża, jest szefową związku i tak jak kiedyś Dezinho teraz ona dostaje pogróżki. Krótko przed naszym spotkaniem jej syn odebrał telefon, rzekomo od firmy ubezpieczeniowej: oferowali ubezpieczenie od śmierci Joelmy. Po zamordowaniu skarbnika związku, współpracownika Dezinha, Joelma była – jak mówiono – numerem jeden na liście śmierci miejscowych *fazendeiros*.

– Boję się o dzieci, mam syna i trzy córki.

To właśnie wtedy Joelma powiedziała, że jeśli nic się nie zmieni, wkrótce wrócę napisać reportaż o jej śmierci.

Joelma żyje, a pogróżki przychodzą i odchodzą, jak fale.

Joelma poznała mnie z panią Ribeiro dos Santos, wdową po zamordowanym rok wcześniej skarbniku związku Ribamarze. To była najtrudniejsza rozmowa: wdowie załamywał się głos, przerywała. Jej opowieść składam z okruchów zdań.

– Ribamar potrafił wszystko, był złotą rączką. Pracował na budowach, w banku. Jak trzeba było, uprawiał ziemię, którą okupowaliśmy na nieużytkach latyfundium. Znał się na ciesiołce i budował chłopom domy na zasiedlanych terenach.

Od śmierci Dezinha pani Ribeiro dos Santos zaczęła się bać o męża. Był najbliższym towarzyszem zamordowanego, potem prawą ręką Joelmy, gdy ta zastąpiła Dezinha na czele związku drobnych rolników. Zajmował się finansami i księgowością, a kiedy Joelma wyjeżdżała, pilnował wszystkiego; był faktycznie szefem.

Mówił, że chcą go zabić, ale nigdy nie powiedział kto. Żeby żona nie bała się jeszcze bardziej. Pytała, czy wyrządził komuś krzywdę, czy zrobił coś złego. Nigdy. Pomagał tylko ludziom, takim jak on sam.

Przed Bożym Narodzeniem Ribamar wyznał jednej z córek – miał dwie, dwadzieścia cztery i dwadzieścia trzy lata, oraz syna, dwadzieścia lat – że wykonają na nim wyrok w święta. Nigdy nie wyjawiał, gdzie i od kogo się o tym dowiedział. Ale święta przeszły spokojnie, nic się nie wydarzyło. Wszyscy w domu odetchnęli. Trochę ponad miesiąc później, siódmego lutego – była sobota – przed ósmą wieczorem jedna z córek Ribamara usłyszała strzały. Wybiegła z domu i zobaczyła ojca siedzącego na ulicy. Już nie żył. Zastrzeliło go podobno dwóch, którzy podjechali na motocyklach i zaraz szybko uciekli.

Sąsiedzi bali się zeznawać; nikt nie potrafił ich opisać, mimo że wszędzie kręcili się ludzie.

Najdłuższa i stanowiąca swego rodzaju klamrę jest historia Orlanda Soliny, weterana wojny domowej o ziemię. Gdy teraz, po latach, wspominam o nim Batiście, dowiaduję się, że Solina nie żyje. Też zamordowany? Nie, miał wiele szczęścia: zmarł śmiercią naturalną, dobijając siedemdziesiątki.

Działalność polityczną zaczynał w latach sześćdziesiątych, za dyktatury wojskowej, współpracował wtedy z księżmi społecznikami z ruchu teologii wyzwolenia. Wojskowi pojмали go, w czasie przesłuchań miażdżyli jądra i torturowali prądem. Rany opatrywała mu potem młoda wówczas zakonnica, która przyjechała na misje ze Stanów Zjednoczonych. Dorothy Stang.

– Siostrę Dorothy w końcu dopadli, a ja wciąż żyję – zamyślił się Solina, a za chwilę, jak gdyby lekceważąc zagrożenie, powiedział z uśmiechem, niemal na wesoło: – Podążam jej drogą, zaprzyjaźniłem się już ze śmiercią.

Trudno zliczyć, ile razy posyłali do niego płatnych zabójców. Gdy żyje się

w nieustającym zagrożeniu, nie wiadomo nawet, jak owe razy liczyć. Zawsze udawało mu się umknąć i wyjechać potem na dłużej – aż syndykat zbrodni na jakiś czas zapomniał.

Raz ostrzegł go pewien latyfundysta: *pistoleiros* mieli przyjść w nocy i – jak się mówiło w mieście – wykastrować go.

Innym razem wynajęty zabójca imieniem Cravilho usiadł obok Soliny w barze. Solina był z kolegą i tego tknęło przeczucie. Zwrócił się do Soliny: „Słuchaj Pedro...”, a Solina błyskawicznie zorientował się, w czym rzecz i czmychnął z baru. Skrył się w dżungli, a następnie wyjechał na południe, ponad dwa tysiące kilometrów od Maraby, na dłuższy czas.

Ktoś potem zabił niedoszłego zabójcę z baru. Słyszałem, że zrobili to towarzysze Soliny, chcąc odstraszyć następnych *pistoleiros*, ale czy tak było, chyba nie sposób ustalić. Jeśli rzeczywiście prześladowani wieśniacy postanowili wtedy dokonać prewencyjnego zabójstwa na najemniku, przykład nie zadziałał. Ludzie bez ziemi i obrońcy lasów Amazonii mieli ginąć dalej.

Ostatni etap

22.

– Jestem przygotowany na śmierć. Nie przyszedłem na świat, żeby być jak ten kamień.

Sześć miesięcy przed zabójstwem José Claudia dziennikarz i przyjaciel Felipe Milanez załatwił mu zaproszenie na konferencję na temat ochrony środowiska. Konferencja odbywała się w Manaus, stolicy stanu Amazonas. José Cláudio wygłosił tam przemówienie do ekspertów, badaczy i działaczy ekologicznych, w którym przepowiedział swoją śmierć. Dokładnie tak samo, jak dwadzieścia trzy lata wcześniej własną śmierć przepowiedział Chico Mendes.

– Gdy zakładaliśmy osadę Praia Alta Piranheira – mówił José Cláudio w czasie konferencji – mieliśmy naturalną roślinność na osiemdziesięciu pięciu procentach jej powierzchni. Dzisiaj, w wyniku działalności firm handlujących drewnem, roślinność pozostała na niewiele ponad dwudziestu procentach. Dla kogoś, kto żyje z dżungli, tak jak ja od siódmego roku życia, to absolutna katastrofa. Żyję z dżungli, chronię ją za wszelką

cenę. Dlatego mam wyrok, który może zostać wykonany w każdej chwili. Składam doniesienia na handlarzy drewnem i węglem drzewnym, którzy uważają, że z tego powodu nie mam prawa żyć. Chcą ze mną zrobić to samo, co zrobili z Chico Mendesem i siostrą Dorothy. Dziś jestem tu z wami, rozmawiamy, ale za miesiąc możecie dostać wiadomość, że mnie już nie ma. Czy się boję? Oczywiście, że się boję. Jestem człowiekiem. Ale mój strach nie sprawi, że zamilknę...

José Cláudio zwrócił się do słuchaczy, żeby nie kupowali produktów z drewna niewiadomego pochodzenia i żeby prowadzili kampanię w tej sprawie. Jeśli wszyscy zaczną mówić „nie”, firmy drzewne zamkną swoją działalność albo będą musiały działać zgodnie z prawem. Jeśli ich nie powstrzymamy wspólnie, któregoś dnia i tak skończą, ale dopiero wtedy, gdy skończy się dżungla.

– Ja też korzystam z drewna, ale tylko tego, które dżungla mi daje. Gdy drzewo przewraca się, sadzę na jego miejscu nowe. Komuś, kto ścina drzewo, służy ono tylko jeden raz. Ktoś, kto drzewa sadzi, zapewnia sobie korzyści na zawsze.

Kończąc przemówienie, José Cláudio wskazał na wielki ekran ze zdjęciem zdewastowanych lasów.

– Czy to ma być przyszłość Amazonii? Czy to ma być przyszłość planety? Myślę, że nie chcemy tego ani my, ani ci, którzy przyjdą po nas. Wszystko jest w naszych rękach, przyszłość jest w naszych rękach. Musimy zdecydować. Dziękuję bardzo.

Oklaski.

Felipe Milanez liczył, że zapraszając José Cláudia na konferencję, nagłośni sprawę, a przez to stworzy przyjacielowi parasol ochronny, przynajmniej na jakiś czas. Liczył, że środki przekazu zaczną pisać o kolejnym działaczu ekologicznym z Amazonii, którego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Jednak redakcje uznały, że temat nie zasługuje na miejsce na łamach ani czas na antenie.

Już po zabójstwie Milanez miał trudności z umieszczeniem w prasie dłuższego reportażu o przyjaciółach. Po odmowach głównych czasopism w kraju artykuł zamieściła brazylijska edycja hipsterskiego magazynu „VICE” oraz jedno niszowe pismo. Nastawienie prasy zmieniło się po publikacji artykułów o zbrodni w kilku dużych gazetach na świecie.

23.

Ostatni raz Laísa rozmawiała z Marią w sobotę.

Dzień wcześniej José Cláudio miał powiedzieć studentce z uniwersytetu w Marabie, która przyjechała robić z nim wywiad:

– Wiem, że wynajęto kogoś, żeby mnie zabił.

– To wyjedź czym prędzej – miała powiedzieć dziewczyna.

Tamtego dnia José Cláudio płakał. Mówił, że się boi.

Dlaczego więc nie wyjechał?

– Zawsze powtarzał, że nie może poddać się strachowi. Jego odwaga była większa od jego strachu.

Tak mówi Laísa.

Clara, bratanica José Claudia, jest przekonana, że w ostatnim czasie było inaczej: stryj i ciotka Maria doszli do granic wytrzymałości. Mieli dość życia w strachu i planowali wyjechać. O tym wyjeździe rozmawiali od marca, czyli przez ostatnie dwa miesiące przed śmiercią. Nie wiedzieli jeszcze dokąd, nie mieli planu. Na pewno gdzieś poza stan Pará. Chociaż na jakiś czas.

24.

Rok wcześniej do Praia Alta Piranheira sprowadził się niejaki José Rodrigues. Twierdził, że kupił tu sto czterdzieści cztery hektary ziemi. Wbrew ekologicznym założeniom osady planował powycinać drzewa i zamienić las na pastwisko. Sprowadził już nawet sto trzydzieści krów.

Na części terenu, do którego Rodrigues rościł sobie prawo, mieszkały trzy rodziny drobnych rolników. Osiedliły się w porozumieniu ze wspólnotą mieszkańców Praia Alta Piranheira i zgłosiły prośbę do urzędu do spraw reformy rolnej o zalegalizowanie osiedlenia i użytkowania ziemi. Procedura wymaga czasu, więc czekali. Pielęgowali małe poletka upraw. Żyli.

Rodrigues zaczął się domagać, żeby wieśniacy wynieśli się natychmiast; utrzymywał, że zamieszkują teren bezprawnie. Wspólnie z zaprzyjaźnionymi *fazendeiros* i zblatowanymi policjantami rozpoczął przeciwko nim wojnę podjazdową. Niszczył uprawy, wypasając na nich swoje krowy. Nasłał zbirów, którzy pobili opornych. Wreszcie, wraz z bandą oprychów, podpalił jeden z domów.

W czasie któregoś z takich nalotów Rodrigues przy pomocy policjantów uprowadził jednego wieśniaka i ów na komisariacie w Novej Ipixunie podpisał przyrzeczenie niezwłocznego opuszczenia domu i ziemi. Krótco potem policja eksmitowała siłą wszystkie trzy rodziny.

Gdy wydawało się, że Rodrigues wygrał batalię, wypędzonym przyszli z odsieczą José Cláudio i Maria. Złożyli skargi na policji i w urzędzie do spraw reformy rolnej. Skardze, która trafiła do urzędu, towarzyszyła prośba o pozwolenie na powrót eksmitowanych do domów. (Urząd przychylił się do niej i zalegalizował pobyt wygnanych trzech rodzin dopiero po zabójstwie José Claudia i Marii).

Tymczasem Rodrigues zaczął opowiadać w miasteczku, że José Cláudio i Maria zapłacą

za swoją działalność wysoką cenę.

Nie pierwszy raz oczekiwali, że otrzymają w końcu jakąś ochronę. Oni sami, a także Pastoralna Komisja do spraw Ziemi zasypywali od blisko dekady instytucje państwowe doniesieniami o zastraszaniu, groźbach śmierci. Wiedziały o tym policja dochodzeniowa stanu Pará, policja federalna, prokuratura generalna, INCRA...

Bez odzewu. Jak gdyby wszyscy się zmówili.

25.

Zabójcy wyruszyli wcześniej rano, około czwartej trzydzieści. Było jeszcze ciemno. Ich czerwony motocykl minął Wiraz Śmierci – niebezpieczne skrzyżowanie na terenie osady Praia Alta Piranheira – i zmierzał z dużą szybkością w stronę upatrzonego zawczasu miejsca zasadzki. Chcieli zdążyć, zanim na wiejskiej drodze zacznie się poranny ruch.

Zasadzkę zastawili przy małym moście nad potokiem. Ten mostek to faktycznie kilka bali wbitych w ziemię i szerokie dechy. Każdy, kto przejeżdża, powinien tu zachować najwyższą ostrożność. Zaszyli się wśród drzew – i czekali. Wiedzieli, że José Cláudio i Maria muszą tu zwolnić...

Maria zwykle wstawała wcześniej. Jak tylko pierwsze promienie słońca przebiły się przez gęstwinę drzew, zrywała się i budziła męża. Razem przygotowywali śniadanie, a potem zaczynali nowy dzień. We wtorek dwudziestego czwartego maja mieli jechać do Maraby, żeby pożyczyć pieniądze dla chorej siostry José Claudia, która mieszka w stanie Tocantins. Zebrali już siedemset reali, przyjaciółka z miasta miała dorzucić tysiąc trzysta.

José Cláudio włożył dzinsy i niebieską dzinsową koszulę. Maria na zielony T-shirt zarzuciła też niebieską koszulę, nie zapinając jej, i jak zwykle chustkę na głowę. Chwilę po siódmej ruszyli w drogę.

26.

Wystrzelona z myśliwskiego sztucera kula trafiła oboje naraz...

Teraz gdy jestem na miejscu zbrodni z młodszą siostrą José Claudia, Claudeci, i jego bratanicą Clarą, gdy słucham po raz kolejny rekonstrukcji zdarzeń, poddaję się emocjom bliskich. W opowieści dwóch kobiet pojawia się szczegół, którego nie znałem: około siedmiu kilometrów od miejsca zbrodni, na rozwidleniu dróg, zabójcy, którzy odjechali na motocyklu, pytali sąsiada José Claudia i Marii o drogę.

– Do Barroso to tędy?

Claudeci zatrzymuje się w gąszczu krzaków i drzew, w którym skryli się *pistoleiros*, potem przechodzi na miejsce w którym brata i bratową dosięgła pierwsza kula (prawdopodobnie oboje naraz), i kilkanaście metrów dalej – gdzie spadli z motocykla. Tam

zostali dobici wieloma strzałami.

Dokładnie w tym miejscu stoi teraz kamienna tablica pamiątkowa z wrytymi proroczymi słowami José Claudia: „To samo, co zrobili z Chico Mendesem w Acre i z siostrą Doroty w Anapu, chcą zrobić z nami...”. Po cudzysłowie puenta: „I NAPRAWDĘ ZROBILI... ALE WALKA I WZÓR OBRONY ŻYCIA W HARMONII Z PUSZCZĄ POZOSTAŁY”. Na końcu nazwiska: „José Cláudio Ribeiro da Silva i Maria do Espírito Santo da Silva, 24 maja 2011”.

Jakiś czas temu nieznan sprawca zniszczył tablicę. Odłupał górną część z fragmentem napisu, ale tak niewielkim, że łatwo domyślić się brakujących kilku liter.

27.

Zabójstwo pary ekologów odbiło się echem w Brazylii i na świecie. Napisały o nim duże gazety anglo- i hiszpańskojęzyczne: „New York Times”, „Guardian”, „New Yorker”, „El País”... Kilka tygodni później Al-Dżazira przysłała ekipę i nakręciła godzinny film dokumentalny o morderstwie.

Prezydenta Brazylii Dilma Rousseff zarządziła śledztwo federalne.

Głównym podejrzanym był od początku José Rodrigues.

28.

– Czuli się opuszczeni, porzuceni – mówi Batista.

– Przez kogo? – dopytuję.

– Przez władze publiczne.

Dwa lata wcześniej ministerstwo sprawiedliwości otrzymało od Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi listę działaczy zagrożonych zabójstwami na zlecenie. Byli na niej Maria i José Cláudio (teraz lepiej rozumiem, dlaczego w relacji Batisty od początku wyczuwało się bezsilną złość). Po zabójstwie przedstawiciel ogólnokrajowych władz komisji oskarżył rząd federalny o współodpowiedzialność za śmierć ekologów. Brasilia wiedziała o pogroźkach od dawna, zresztą José Cláudio i Maria nie byli pierwsi. Rząd nie kiwnął palcem.

Batista wyciąga z segregatorów dokumenty, ilustruje opowieść dowodami na papierze. Mówi między innymi, że gdy policja ustaliła, kim byli zabójcy i zleceniodawca mordu, miejscowy sędzia kilkakrotnie odmawiał wydania nakazu ich zatrzymania.

– O czym to świadczy? – pyta retorycznie.

– Że sędzia był opieszale? – prowokuję.

– Nie. Instytucje władzy publicznej działają tu w interesie hodowców, handlarzy drewnem, wszystkich tych, którzy zyskują na wycinaniu lasów Amazonii. Przecież

podejrzani mogli uciec i nigdy by ich nie schwytano. Mówimy o podwójnym zabójstwie, nie o wykroczeniu drogowym czy kradzieży paru reali.

Podejrzani przez pewien czas ukrywali się. W końcu zatrzymano ich, sprawa była zbyt głośna, by ją wyciszyć, prokuratura postawiła zarzuty. O zlecenie zabójstwa oskarżono José Rodriguesa. Egzekucję wykonali jego brat Lindonjonson Silva Rocha i niejaki Alberto Lopes do Nascimento.

I tutaj można by skończyć opowieść: jest zbrodnia, jest motyw, są sprawcy.

Ale Batista przypuszcza, że to nie wszyscy zamieszani w zabójstwo, że schwytani nie działali sami.

– Co to znaczy?

– Że ci trzej to tylko czubek góry lodowej.

Czy jest sposób, żeby zobaczyć coś więcej?

Batista poleca spotkać się z kimś, kto ma najlepszy punkt widokowy na całą „góre”.

[1] *Madereiros* (port.) – handlarze drewnem.

[2] Comissão Pastoral da Terra – CPT; organizacja społeczna związana z Kościołem katolickim.

[3] Partido dos Trabalhadores – PT.

[4] Według organizacji monitorujących łamanie praw człowieka, przemoc polityczną i zabójstwa liczba zamordowanych jest wyższa.

[5] *Fazendeiros* (port.) – wielcy właściciele ziemscy.

[6] *Cachaça* (port.) – miejscowa wódka.

[7] Movimento Sem Terra – MST.

[8] *Pistoleiro* (port.) – bandyta, wynajęty zabójca.

2. ZWYCZAJNY BIZNES

1.

Roberto Scarpari urzęduje w dzielnicy Maraby, która nosi nazwę Belo Horizonte (Piękny Horyzont). Niski budynek, przypominający raczej *lodge* w tropikach niż urząd państwowy, otacza wysoki biały mur. Brama zaryglowana, z ulicy nie widać ani budynku, ani podwórza. Po dłuższej chwili uchyla ją policjant w rynsztunku bojowym, w kamizelce kuloodpornej i z karabinem automatycznym. To siedziba lokalnego przedstawicielstwa IBAMA – Brazylijskiego Instytutu Środowiska Naturalnego i Zasobów Naturalnych.

Scarpari, czterdziestoletni *paulista*, to znaczy Brazylijczyk pochodzący z São Paulo, szef oddziału IBAMA w Marabie, ma do dyspozycji policjantów federalnych, samochody, helikoptery, broń. Jest kimś łączącym po trochu role oficera dochodzeniowego, sędziego śledczego i komornika. Ma dużą władzę i chęć korzystania z niej. Do jego zadań należy monitorowanie i kontrola tego, czy zasiedlanie Amazonii, tworzenie tu nowych pastwisk dla bydła, wycinanie drzew odbywają się zgodnie z prawem. Scarpari robi naloty na tartaki, sprawdza pozwolenia, ilość wyciętych drzew, miejsca wyřębu. Pyta, podejrzewa, tropi. Gdy znajduje dowody łamania prawa, pisze wnioski do prokuratury, zawiesza działalność firm podejrzanych o niezgodne z prawem działania, nakłada grzywny. To rutyna, jednak są chwile, w których nabiera ona tempa, wigoru, odpowiada na zapotrzebowanie chwili. Tak było, gdy kilka dni po zabójstwie José Claudia i Marii agenci IBAMA przeprowadzili niezapowiedzianą masową kontrolę okolicznych tartaków i zamknęli na jakiś czas kilkadziesiąt z nich.

Cóż mają tartaki do zabójstwa ekologów? Czy ich właściciele zmówili się i wydali samowolny wyrok na parę wiejskich działaczy z osady Praia Alta Piranheira? Jeśli tak, to czy nie należy udowodnić zaplanowania zbrodni i postawić winnych przed sądem?

Tu tkwi kłopot. Akcja IBAMA stwarza wrażenie, jakby wszyscy wiedzieli, kto stoi za zabójstwem, lecz nie było sposobu udowodnienia winnym zbrodni. Ta wiedza, czy raczej przypuszczenia graniczące z pewnością, ma charakter ogólny: „wie się”, że to wielki biznes czerpiący zyski z wycinania lasów; nie wiadomo, kto konkretnie, znany z imienia i nazwiska. Nie sposób postawić przed sądem „wielkiego biznesu”, „brudnych interesów” czy „kontekstu” – prawo umożliwia sądenie konkretnych ludzi. Jedyne, co daje się w takiej sytuacji zrobić, to mocniej przycisnąć wielkich przedsiębiorców, zwłaszcza że

i tak duża ich część nagminnie łamie prawo. Niech dostaną po kieszeni, niech zawyją. To nie akt sprawiedliwości, lecz rozpacz. Manifestacja bezsilności władzy publicznej.

Scarpari wychodzi na podwórko i pokazuje przechwyconą przez IBAMA ciężarówkę wypełnioną węglem. To węgiel drzewny – również produkt nielegalnego wycinania drzew. Spala się je w także nielegalnie zbudowanych piecach, zazwyczaj w środku dżungli, żeby trudno było je dostrzec z patrolujących teren helikopterów. Uzyskany w ten sposób węgiel drzewny sprzedaje się okolicznym hutom, które potrzebują go do wytopu surówki i produkcji stali.

– Amazonię niszczą trzy sektory wielkiego biznesu, mające wspólne interesy – objaśnia Scarpari. – Przemysł drzewny, hutnictwo i hodowla bydła. Przemysł drzewny potrzebuje surowca do produkcji mebli, podłóg, pokładów i wielu innych rzeczy. Hutnictwo zgłasza zapotrzebowanie na węgiel drzewny, który dostarczają węglarze (*carvoeiros*), zazwyczaj ubodzy wieśniacy, wypalający resztki drewna niezużytego przez handlarzy drewnem. Ale sami też wycinają lasy. Działalność obu biznesów sprzyja hodowcom, którzy na wielkich terenach ogołoconych z drzew sieją trawę i zamieniają je w pastwiska dla bydła. Wycinanie lasów leży w interesie ich wszystkich.

2.

Firmy handlujące drewnem poszukują określonych gatunków drzew, zgodnie z zapotrzebowaniem przemysłu, tak w Brazylii, jak i poza nią. W Amazonii rosną najbardziej poszukiwane i najdroższe na rynkach światowych gatunki, między innymi *jatoba*, orzech brazylijski (*ipe*) i mahoń. A także *tatajuba*, *angelim*, *sucupira*, *muiracatiara*. Robi się z nich belki, deski, krokwie, listwy i inne elementy wykończeniowe. Amazońskiego drewna używa się do produkcji podłóg i pokładów, luksusowych mebli, sprzętu sportowego, przedmiotów dekoracyjnych, wyrobów rzemiosła artystycznego i biżuterii.

3.

Według różnych organizacji, instytucji i grup, które monitorują wycinanie drzew w Amazonii, tylko jedna trzecia wywożonego stąd drewna pochodzi z legalnego wyrębu. Tartaki handlują drewnem z terenów chronionych bądź należących do wspólnot autochtonicznych. Proceder zachowuje pozory legalności.

Na przykład zakłada się lipną firmę drzewną z fałszywym adresem. Firma zwraca się do władz publicznych, konkretnie do stanowego sekretariatu do spraw ochrony środowiska, o pozwolenie na wycinkę lasu. Władze – zgodnie z planami zagospodarowania – wydają pozwolenie na wycięcie ściśle określonej ilości drzew na konkretnym obszarze.

Pozwolenie dostaje się stosunkowo łatwo, mimo że IBAMA ujawnia co roku mnóstwo lipnych firm.

Urzednicy stanowi, przekupieni, pozostający w zмовie z firmami drzewnymi, nagminnie udzielają pozwoleń niezgodnie z prawem. Różne śledztwa prokuratorskie i dziennikarskie dowodzą, że częstą praktyką jest fałszowanie danych w taki sposób, żeby pozwolenie na wycięcie lasu wyglądało prawidłowo. Sposobów jest wiele, inwencja oszustów nie zna granic. Na przykład, fałszuje się oznaczenia terenu: las na papierze okazuje się dużo większy niż w rzeczywistości; w opisie nie pojawiają się chronione gatunki zwierząt, coby uniemożliwiało wycinkę w zgodzie z prawem. Albo odwrotnie: wydaje się pozwolenie na wyrąb drzew tam, gdzie już ich nie ma. Dzięki temu firmy mają „podkładkę” na drzewo wycięte nielegalnie na innym obszarze puszczy.

Fałszerstwa sprawiają, że tartaki wycinają więcej lasów, niż pozwala prawo, a formalnie wszystko zachowuje pozory legalnego działania. Jeśli wykonawcy zlecenia nie zostaną schwytani na gorącym uczynku – na przykład w trakcie wycinania drzew bądź wywożenia ich z terenów chronionych – nie sposób dowieść firmie przestępstwa. Później, w trakcie kontroli wywożonego bądź sprzedawanego na eksport drzewa, jego ilość zgadza się z tym, co na papierze.

Częstą praktyką jest handel pozwoleniami. Na przykład, firma X kupuje od firmy Y sto ciężarówek drewna. W istocie przedmiotem transakcji jest tylko dokument, na którym widnieją dane dotyczące pozwolenia na wycinkę oraz ilości drewna i jego wartości. Dzięki zakupowi cennego dokumentu firma X może z zachowaniem pozorów legalności wyeksportować drewno z nielegalnego wyrębu. Jednego pozwolenia używa się wielokrotnie – jeszcze jeden trik.

Kilka lat temu działacze brazylijskiego Greenpeace’ u wpadli na trop niezrozumiałych decyzji jednej z agend urzędu do spraw reformy rolnej. Urząd nadawał ziemię bezrolnym wieśniakom na terenach całkowicie zalesionych zamiast na częściowo ogołoconych z drzew, których w Amazonii nie brakuje. Decyzje te otwierały drogę do eksploatacji obszarów obfitych w najdroższe na rynku gatunki drewna.

4.

Lumber Liquidators, amerykańska firma produkująca podłogi drewniane, szczyci się na stronie internetowej tym, że jej flagowe produkty zdołały i nadal zdobią domy celebrytów, między innymi Jacqueline Kennedy Onassis, Donalda Trumpa, Angeliny Jolie, Kim Basinger. Lumber Liquidators kupuje drewno od brazylijskiej firmy Vitória Regia ze stanu Pará. Żeby to ustalić, nie trzeba specjalistycznej aparatury ani zespołu śledczych, wystarczy wyszukiwarka Google.

Vitória Régia eksportuje drewno do kilkunastu krajów, w tym do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Francji, Niemiec, Portugalii, Szwecji i Włoch. Na przykład w dwa tysiące ósmym roku wyeksportowała drewno wartości dziewięciu milionów dolarów. Firma posiada certyfikat Rady Zarządzania Lasami (Conselho do Manejo Florestal) – uznanej na świecie instytucji, która monitoruje wycinę lasów i handel drewnem na kilku kontynentach.

Dochodzenie przeprowadzone przez ekośledczych z brazylijskiego think-tanku Obserwatorium Społeczne (Instituto Observatório Social) wykazało, że Vitória Régia skupuje drewno między innymi z tartaków Madeballu – firmy wielokrotnie karanej grzywnami i pozbawianej okresowo licencji na działalność za nielegalne wycinanie drzew. Madeball ma siedzibę w miejscowości Anapu – tam, gdzie w dwa tysiące piątym zamordowano siostrę Dorothy Stang. Współwłaściciel Madeballu tłumaczył się w wywiadzie udzielonym brazylijskiemu reporterowi, że „skupywanie od okolicznych wieśniaków nielegalnie wyciętego drzewa to powszechna praktyka w całym regionie”.

W firmie Vitória Régia wiedzą o nielegalnych działaniach tartaków Madeballu. Kilka lat temu przyznał to nawet ówczesny wicedyrektor Sandro Bracchi. Powiedział też, że po zawieszeniu na jakiś czas wspólnych interesów jego firma zaczęła ponownie skupować drewno od Madeballu.

Niektóre firmy uwikłane w handel nielegalnie wyciętym drewnem posługują się certyfikatem fair play, który Rada Zarządzania Lasami przyznaje przedsiębiorstwom prowadzącym biznes zgodnie z zasadami ochrony środowiska i poszanowaniem praw pracowniczych. W radzie uważają, że wiele firm podpira się certyfikatem dla poprawienia wizerunku i popełnia nadużycie, gdy na przykład jeden ich produkt ma aprobatę rady, a pozostałe nie. Certyfikat pełni rolę pralki.

5.

Firmy Vitória Régia, Madeball i kilka innych przeświecił Marques Casara, reporter śledczy z São Paulo. Teraz, gdy rozmawiamy w „Café Raiz” niedaleko uniwersytetu, w spokojnej dzielnicy miasta, brodaty i potężnej postury Marques ma czterdzieści pięć lat i za sobą głęboką przemianę światopoglądową. Zaczynał w środkach przekazu należących do głównego nurtu, między innymi w największej gazecie „O Globo”, która przedstawia punkt widzenia starej oligarchii, niechętniej przemianom ostatnich lat w Brazylii. Zetknięcie z dramatem Amazonii i lokalnymi wspólnotami wywróciło, jak mówi, jego świat. Od mniej więcej dekady Marques pracuje jak dziennikarz niezależny – dla alternatywnych środków przekazu i organizacji pozarządowych. Ostatnio prowadził śledztwo dziennikarskie na zamówienie znanej brytyjskiej organizacji Oxfam, zajmującej

się między innymi rozwojem w krajach Południa, obroną praw człowieka i środowiska.

Tropienie nielegalnych praktyk wielkiego biznesu bywa tu niebezpieczne niczym praca korespondenta wojennego, choć inaczej. Marques przekonał się o tym kilka razy – trzeba jednak nalegać, by o tym opowiedział; sam nie spieszy z epatowaniem odwagą. Raz, niedaleko miejscowości Castelo dos Sonhos w stanie Pará, uciekał samochodem przed „nieznanymi sprawcami”, którzy zorganizowali za nim pościg. Ocalił głowę najprawdopodobniej dzięki robotom drogowym, które zatrzymały prześladowców.

W Anapu, gdzie zamordowano siostrę Dorothy Stang, jadł w restauracji kolację z kolegą, gdy przed knajpę zajechały trzy pikapy. Nie było szans na ucieczkę. Postanowił zagrać *va banque*. Wstał od stołu, wyszedł z knajpy i zbliżył się do jednego z samochodów.

– Wiem, po co tu jesteście – powiedział. – Możecie mnie zabić teraz, ale jeśli to zrobicie, na moje miejsce przyjedzie pięćdziesięciu dziennikarzy.

Po dłuższej chwili prześladowcy odjechali.

„W Brazylii ciągle łatwiej zabić zbuntowanego chłopca bez ziemi albo wieśniaków z zadupia, jak José Cláudio i Maria, niż faceta z klasy średniej, dziennikarza z São Paulo – powiedział pewien eksrewolucjonista, a w ostatnich latach doradca prezydenta Luli, gdy opowiedziałem mu tę historię. – Śmierć człowieka, takiego jak twój znajomy reporter, narobiłaby szumu i mogła wzbudzić odruch solidarności wśród wpływowych ludzi z tej samej warstwy społecznej. Ci, którzy nasłali *pistoleiros* na dziennikarza, dobrze o tym wiedzą”.

– Zobacz, jaka bezczelna autopromocja. – Marques pokazuje folder firmy Pampex, która, tak jak Vitória Régia, eksportuje produkty z amazońskiego drewna.

W tekście promocyjnym piarowcy przedsiębiorstwa piszą: Pampex „produkuje podłogi i komponenty z drewna zgodnie z zasadami ochrony środowiska; między innymi używa odpadów przemysłowych do wytwarzania energii elektrycznej, zalesia zdegradowane tereny i ma doskonale rezultaty”. Firma należy do Stowarzyszenia Kupców Produktów Leśnych z Certyfikatem, które – według deklaracji członków – łączy przedsiębiorców przestrzegających standardów ekologicznych.

W trakcie śledztwa dziennikarskiego Marques zdobył dowody, że Pampex skupywał drewno od uwikłanego w nielegalne wycinki Madeballu oraz od innej firmy – Rio Pardo Indústria Comércio de Madeiras Ltda. Menadżerowie Pampexu zapewniali, że mają specjalnego wysłannika, który systematycznie wizytuje tartaki należące do Rio Pardo. Tymczasem, jak ustalił Marques, przedsiębiorstwo Rio Pardo formalnie nie istniało. Miało adres i należało do związku handlowców stanu Pará, ale nie figurowało w najważniejszym z prawnego punktu widzenia wykazie: Narodowym Rejestrze Osób Prawnych (Cadastro

Nacional de Pessoa Jurudica). Bez wpisu w tym rejestrze nie wolno handlować drewnem ani przewozić go z miejsca na miejsce.

Jeden z menadżerów Pampexu, indagowany przez reportera, zaprzeczył związkowi między jego firmą a Rio Pardo. Jednak Roberto Scarpari z IBAMA widział w tartaku należącym do Rio Pardo partię drewna, na której widniała nazwa odbiorcy: Pampex. W Pampexie odpowiadają na to, że ktoś użył ich nazwy bezprawnie, być może jako „przykrywkę” w nielegalnym procederze. Scarpari, który ma do czynienia na co dzień z przekrętami i oszustwami firm handlujących drewnem, powątpiewa w takie wyjaśnienia.

W przeszłości szefowie Pampexu przyznawali, że firma skupywała drewno od karanego wielokrotnie Madeballu. Tłumaczyli się, że w dostępnych im oficjalnych rejestrach nie było informacji o zarzutach, jakie ciążą na dostawcy. Przerzucali oskarżenia na państwowe instytucje ochrony środowiska: że te zaniedbują obowiązek przekazywania informacji firmom eksportowym z branży drzewnej. Pewien menadżer z Pampexu oświadczył, że często po fakcie, czyli po zakupie drewna, dowiaduje się, że pochodzi ono z nielegalnych źródeł. Właściciel tej firmy, dopytywany przez Marquesa o współodpowiedzialność za niszczenie lasów Amazonii, obwinił władze publiczne przede wszystkim o niesprawiedliwe karanie kolejnych ogniw łańcucha produkcji i handlu, takich jak Pampex.

– To tak, jakby puścić wolno handlarza narkotyków i karać konsumentów. Czy to cokolwiek rozwiązuje?

Fałszywa analogia. Konsument narkotyków nie zarabia na ich spożywaniu, natomiast Pampex – owszem – zarabia na skupywaniu nielegalnie wyciętych drzew. Krocie. W dwa tysiące ósmym firma sprzedała za granicę drewno i produkty z drewna za ponad dwadzieścia milionów dolarów. Najwięcej podłóg i różnego typu desek tarasowych z firmy trafiło do Stanów Zjednoczonych i Francji, a także Belgii, Niemiec, Rosji, Japonii i Chin.

„Nie mam władzy takiej jak policja i nie zamierzam jeździć w każde miejsce, z którego kupuję drewno, żeby je osobiście sprawdzać” – zżymał się właściciel firmy Lacex Timber, eksportującej drewno. Skoro dostawca znajduje się w oficjalnych rejestrach, czyli nie ma zakazu prowadzenia działalności, to znaczy, że prowadzenie z nim interesów nie grozi konsekwencjami prawnymi – tak zwykle bronią się handlarze drewnem.

– Wytłumaczenie brzmi logicznie – mówi Roberto Scarpari. – Czy nie ma jednak sprzeczności między deklaracjami właściciela a autopromocyjnymi publikacjami firmy? Na stronie internetowej firma deklaruje, że „wybiera swoich dostawców z najwyższą uwagą, co gwarantuje całkowitą legalność pochodzenia surowca”. Jak więc w końcu działa ta firma: najłatwiejszą drogą, zerkając do spisu w komputerze czy „z najwyższą uwagą”?

Firmy zawsze tłumaczą się tym, że dokumentacja dostawców jest w porządku – wyjaśnia Scarpari. – Nawet jeśli wiedzą lub przypuszczają, że sfałszowano plan zagospodarowania, nie mają oporów przed skupywaniem nielegalnie pozyskanego drewna, dopóki wszystko zgadza się na papierze. Czy przedsiębiorstwa, które kupuje drewno za ćwierć czy pół miliona dolarów, nie stać na to, żeby wysłać kogoś na miejsce działalności kontrahenta i sprawdzić, czy naprawdę wszystko odbywa się legalnie?

6.

Katalog dwudziestu sposobów prania nielegalnie wyciętych drzew i uzyskanego z nich drewna sporządził Interpol przy współpracy Programu Ochrony Środowiska ONZ.

Niektóre z nich:

- mieszanie drewna wyciętego legalnie z wyciętym nielegalnie poprzez samowolne powiększanie obszaru wycinki;
- przewożenie drewna wyciętego nielegalnie na teren, gdzie wycina się je legalnie – tam mieszanie nielegalnego z legalnym;
- posługiwanie się pozwoleniami na wycinkę drzew na danym obszarze, żeby zalegalizować drewno wycięte na terenach chronionych;
- posługiwanie się pozwoleniami na wycinkę drzew pod budowę dróg i wycinanie większych „korytarzy”, niż przewidują pozwolenia i plany budowy;
- hakowanie stron urzędów w celu zdobycia pozwoleń na wycinkę i eksport;
- fałszowanie dokumentów zaświadczających o pochodzeniu drewna;
- przekupywanie urzędników i celników;
- nielegalne wywożenie za granicę, a następnie, legalne już, reimportowanie tego samego drewna;
- wielokrotne używanie tego samego pozwolenia na eksport. Na granicach celnicy sprawdzają niewielki odsetek ładunków i rejestrują jedynie te pozwolenia, które poddano kontroli.

7.

Marques Casara:

- Niektóre firmy nawet nie próbują tłumaczyć się z nielegalnych praktyk czy zasłaniać niewiedzą. Otwarcie ignorują prawo, standardy ochrony środowiska, pisane i niepisane normy. Skrajnie negatywnym przykładem takiego działania jest pewna francuska grupa biznesowa mająca brazylijską odnogę. Powstała w latach osiemdziesiątych, działa na rynku drewna i jego produktów na kilku kontynentach. Od dwa tysiące czwartego eksportowała amazońskie drewno między innymi do Stanów Zjednoczonych, Chin,

Francji, Portugalii, Norwegii, Grecji i Belgii.

Stan Pará wytoczył firmie proces o przestępstwa przeciwko środowisku naturalnemu i fałszowanie dokumentów. Na liście dostawców drewna dla firmy było między innymi przedsiębiorstwo Comabil Indústria e Comércio de Madeiras Biancarde Ltda. Już wtedy było wiadomo, że właściciela przedsiębiorstwa, niejakiego José Biancarde'a, oskarżano o wycinanie lasów na terenach zamieszkałych przez autochtonów, bezprawne zajmowanie ziemi publicznej, fałszowanie dokumentów i wykorzystywanie pracy niewolniczej. Postawiono mu zarzuty – o czym pisała szeroko lokalna prasa – fizycznego znęcania się nad robotnikami, grożenia śmiercią im i ich rodzinom. Firmie to nie przeszkadza, a jej przedstawiciele, zarówno na miejscu, jak i we Francji, odmawiają komentarzy na ten temat.

8.

W wyniku wielomiesięcznego śledztwa Marques sporządził listę firm ze Stanów Zjednoczonych, Europy i Australii, które importują amazońskie drewno i jego produkty pochodzące z nielegalnego wyrębu (zwykle wymieszane z drewnem i produktami wytworzonymi legalnie). W Brazylii nie ma obowiązku ujawniania, od kogo kupuje się drewno ani komu się je sprzedaje, chyba że domaga się tego wymiar sprawiedliwości. Marques przekonał szeregowych pracowników firm drzewnych, którzy mają dostęp do dokumentów, żeby zrobili przeciek. Na liście Obserwatorium Społecznego z dwa tysiące dziewiątego roku znalazły się marki, które znają klienci sieciowych supermarketów i sklepów z meblami w Ameryce Północnej i Europie, w tym także w Polsce; między innymi: DLH Nordisk, Lumber Liquidators, Brico Depot, Nova USA Wood Products, Thompson Mahogany Company, Redwood Empire, Cecco Trading, Bois Aisé de Montréal, Great Atlantic International, Robinson Lumber Company, Moxon Timbers, Advantage Trim & Lumber Co, J. Gibson McIlvain Company, Aljoma Lumber Inc., Brazilian Wood Depot, Appalachian Flooring, BRBR, TW Wood Products.

Prawo Stanów Zjednoczonych, które sprowadzają jedną czwartą wycinanego w Amazonii drewna, zakazuje importu, eksportu, a nawet transportowania drewna pochodzącego z nielegalnych źródeł. Zakaz obejmuje między innymi obrót drewnem, które wycięto z pogwałceniem prawa innego kraju. Firmy importujące drewno do USA muszą informować odpowiednie władze, skąd i od kogo je kupiły.

W ostatnich latach na celowniku amerykańskich władz znalazła się firma Gibson produkująca gitary. Wiadomości o zatrzymaniu transportu drewna z nielegalnie wyciętych lasów i o grzywnie, jaką musiał zapłacić Gibson, obiegła internet. Polski portal branżowy drewno.pl zamieścił taką notę (fragmenty):

W sierpniu dwa tysiące jedenastego roku do biur i fabryki Gibsona wkroczyli uzbrojeni agenci federalni, którzy skonfiskowali m.in. ładunek hebanu dostarczony z Madagaskaru. Zarzuty wobec firmy objęły również zakupy palisandru i hebanu realizowane w Indiach. Łącznie w dwóch fabrykach zarekwirowano drewno o wartości ponad dwieście sześćdziesiąt tys. USD.

Działania Departamentu Sprawiedliwości związane były z potencjalnym naruszeniem przez firmę Gibson tzw. Lacey Act, amerykańskiego prawa ustanowionego w dwa tysiące ósmym roku, które chroni m.in. zagrożone gatunki drzew m.in. poprzez zakaz handlu drewnem egzotycznym nieposiadającym odpowiednich certyfikatów, co oznacza, że może pochodzić z nielegalnego wyrębu.

- Zdaniem federalnego Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie, wykorzystanie drewna pochodzącego z Indii, które nie zostało przerobione przez indyjskich pracowników, jest niezgodne z prawem. Gdyby to samo drewno, z tego samego drzewa, zostało przetworzone przez indyjskich pracowników, materiał, według urzędników, byłby legalny - mówił w ubiegłym roku Henry Juskiewicz, prezes Gibson Guitar Corp.

Według oświadczenia wydanego przez Departament Sprawiedliwości, firma Gibson przyznała, że nie zachowała odpowiedniej staranności przy zawieraniu transakcji handlowych, przez co mogła naruszyć przepisy mające na celu ograniczenie nadmiernego wyrębu lasów i zachowanie cennych gatunków drzew.

W ramach ugody Gibson zgodził się zapłacić trzysta tysięcy dolarów grzywny oraz wpłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów na rzecz fundacji National Fish and Wildlife Foundation, zajmującej się ochroną dzikiej przyrody.

Z kolei według wypowiedzi Henry'ego Juskiewicza, firma Gibson nie czuje się winna i zdecydowała się na ugodę ze względu na fakt, że udowodnienie przed sądem swoich racji „kosztowałoby miliony dolarów i trwało bardzo długo”. Jak dodaje dalej Juskiewicz, ważnym elementem ugody jest zwrot zarekwirowanego drewna i formalne potwierdzenie, że firma może w dalszym ciągu produkować gryfy i podstrunniki gitar z palisandru i hebanu kupowanego w Indiach, tak jak robiła to od wielu dziesięcioleci.

Gibson Guitar Corp. to amerykańska firma produkująca instrumenty muzyczne. Jej specjalnością są gitary elektryczne, których niektóre modele wśród muzyków cieszą się mianem kultowych. W produkcji gitar Gibson używa wielu gatunków drewna pochodzącego zarówno z lasów krajowych, jak i tropikalnych - m.in. hebanu i palisandru. Firma od dawna dba o to, by jej produkty nie wykorzystywały drewna pochodzącego z lasów zagrożonych nielegalną wycinką. Około czterdziestu lat temu, gdy zaczęto mówić o wylesianiu dżungli dorzecza Amazonki, Gibson zrezygnował z tradycyjnych brazylijskich dostawców drewna palisandru i znalazł nowych dostawców w Indiach. Indyjscy dostawcy drewna nigdy nie spotkali się

z zarzutem nielegalnego pozyskania drewna.

Głośna sprawa Gibsona stwarza mylne wrażenie, że kontrola importu drewna w USA działa skutecznie. Uświadomił mi to John Hontelez, szef międzynarodowej Rady Zarządzania Lasami (ang. nazwa: Forest Stewardship Council; port.: Conselho do Manejo Florestal), w czasie konferencji w Warszawie w listopadzie dwa tysiące dwunastego z okazji wprowadzania nowych przepisów Unii Europejskiej. Informacje o nielegalnych praktykach producenta gitar, jak i dwóch innych importerów drewna, dotarły do władz amerykańskich „spoza systemu”, to znaczy z Agencji Śledczej do spraw Środowiska Naturalnego (Environmental Investigation Agency – EIA). „To organizacja pozarządowa. Gdyby nie EIA, państwowy aparat kontroli w Stanach Zjednoczonych prawdopodobnie nie wpadłby na ślad importu nielegalnie wyciętego drewna” – powiedział Hontelez z nutą pesymizmu w głosie.

Sprawa Gibsona ukazała luki w prawie i w systemie kontroli. Jak czytamy w nocie z branżowego portalu, to samo drewno z Indii, wycięte nielegalnie, lecz przetworzone przez miejscowe przedsiębiorstwa, byłoby w Stanach Zjednoczonych legalne, czyste, wyprane.

Unia Europejska od lat tworzy normy, zalecenia, rozporządzenia, które obligują do prowadzenia biznesu w sposób legalny, z poszanowaniem zasad ochrony środowiska. Za pogwałcenie tych wytycznych nie grożą żadne sankcje. W marcu dwa tysiące trzynastego weszło w życie nowe rozporządzenie, które nakłada obowiązki na importerów drewna spoza Wspólnoty Europejskiej. Jego celem jest wyeliminowanie z rynku nielegalnie wyciętego drewna i pochodzących z niego produktów. W czasie konferencji w Warszawie mówiono, że aż połowa drewna i wytworzonych z niego produktów z Afryki pochodzi z nielegalnych źródeł; z Ameryki Łacińskiej – co najmniej jedna trzecia; niemal w całości z brazylijskiej części Amazonii.

Chiny, również wielki importer amazońskiego drewna, nie mają prawa, które zmuszałoby nabywców do przestrzegania zasad chroniących środowisko naturalne w dalekich krajach.

9.

Wyroby z drewna to nie wszystko. Komu przyszłoby do głowy, że kupując samochód, lodówkę, pralkę, odkurzacz – w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Brazylii, Polsce, Japonii i wielu innych krajach – finansuje pośrednio i nieświadomie nielegalne wycinanie lasów Amazonii?

Mnóstwo produktów wykonanych w całości lub w części ze stali zawiera skrawek zniszczonej dżungli. Hutnictwo, wytapianie stali i dalsze jej przetwarzanie

w najróżniejsze sprzęty, urządzenia, przedmioty codziennego użytku to drugi sektor gospodarki zamieszany w niszczenie „płuc Ziemi”.

Łańcuch produkcyjny wygląda tak: wycinka drzew – spalanie w specjalnych piecach pociętego drewna na węgiel drzewny – sprzedaż węgla drzewnego hutom – wytapianie rud żelaza przy użyciu tegoż węgla; w wyniku wytapiania powstaje surówka hutnicza, podstawowy surowiec do produkcji stali – produkcja stali (na miejscu w Brazylii lub w kraju przedsiębiorstwa kupującego surówkę) – dalsza produkcja maszyn, sprzętu, rozmaitych części przy użyciu stali.

Żeby wyprodukować tonę surówki hutniczej, potrzeba około ośmiuset siedemdziesięciu kilogramów węgla drzewnego. Żeby uzyskać taką ilość węgla, potrzeba ponad dwie i pół tony suchego drewna, to jest wyrębu około sześciuset metrów kwadratowych lasu.

Każdy etap przestępczego procederu można rozpisać na kroki, małe i większe działania, czasem zaniechania, które czynią ów nielegalny biznes możliwym i lukratywnym. Nielegalna produkcja idzie ręką w rękę z legalną, obie się przenikają, zazwyczaj są dziełem tych samych firm. Marques Casara opowiada, że wygląda to tak (streszczam): **PIERWSZY KROK:** uzyskiwanie węgla drzewnego. Drzewa na użytek produkcji węgla wycinają często niewolnicy. Są to biedacy z różnych regionów Brazylii, z nędznych miasteczek i wiosek, zazwyczaj analfabeci, zwerbowani przez oszustów obietnicą dobrej pracy. Wrzuceni w środek dżungli, skąd bez własnego samochodu nie ma ucieczki, są zmuszani do odpracowania rzekomego długu za podróż z innego stanu. Pracują nieraz latami bez grosza zapłaty. Żywią się tym, co daje dżungla. Za odmowę pracy grozi im śmierć. Wycinkę prowadzą nieraz na terenach chronionych. Często biorą udział w wypalaniu drewna w nielegalnie zbudowanych w dżungli piecach.

Nie wystarczy wyciąć drzewa, a następnie spalić je na węgiel. Biznes kręci się naprawdę dobrze dopiero wtedy, gdy zachowane są pozory legalności. Przestępcy, którzy w społeczeństwie uchodzą za szanowanych przedsiębiorców, potrafią przekonać urzędników w sekretariacie stanowym do spraw ochrony środowiska, żeby za dotknięciem czarodziejskiej – a ściśle: urzędniczej – różdżki w dokumentach firm wszystko się zgadzało; na przykład: żeby nielegalnie wycięte drzewa zaklasyfikowano w papierach jako wycięte z poszanowaniem prawa. Korupcja to smar, dzięki któremu produkcyjna machina działa sprawnie.

DRUGI KROK: zarządzający nielegalną produkcją węgla drzewnego sprzedają go okolicznym hutom. Kontrole przeprowadzane przez IBAMA dowodzą, że huty kupują nielegalnie pozyskany węgiel drzewny – to nie wyjątek, lecz norma. Przykład: huta COSIPAR (Companhia Siderúrgica do Pará) w Marabie deklaruje wyprodukowanie 2,2 miliona ton surówki hutniczej i zużycie do tej produkcji 1,7 miliona metrów sześciennych

węgla drzewnego. Tymczasem funkcjonariuszom IBAMA wychodzi z wyliczeń, że do uzyskania takiej ilości surówki potrzeba aż 4,4 miliona metrów sześciennych węgla. Oznacza to, że ponad połowę zużytego węgla huta kupiła nielegalnie.

IBAMA nakłada więc na hutę grzywnę. Nie jest to jednak kara na tyle wysoka, żeby następnym razem hucie nie opłacało się kupować nielegalnie pozyskanego węgla. Od początku stulecia ceny surówki hutniczej na rynkach światowych wzrosły kilkakrotnie. Rachunek ekonomiczny jest prosty.

TRZECI KROK: dostarczanie rudy żelaza hutom. Dostawcą jest wielkie konsorcjum górnicze Vale, największy na świecie wydobywca rudy żelaza. Oskarżenia stawiane wielu hutom, że finansują niszczenie lasów Amazonii, sprawiły, że Vale zawiesiło współpracę z niektórymi z nich. Konsorcjum podpisało nawet pakt z ministerstwem ochrony środowiska, w którym zobowiązało się do sprzedawania rudy żelaza tylko tym hutom, które nie korzystają z nielegalnie pozyskanego węgla. Ale pakty sobie, a realne życie sobie: niejednokrotnie potem Vale dostarczało rudę hutom, które wytapiają żelazo z użyciem nielegalnie wyprodukowanego węgla. (Marques uważa, że Vale jest faktycznie głównym sponsorem nielegalnej produkcji węgla drzewnego).

CZWARTY KROK: wytapianie surówki hutniczej. Szacuje się, że w całej Brazylii mniej więcej połowa węgla drzewnego używanego w procesie wytapiania surówki pochodzi z nielegalnie wyciętych lasów. Dziewięćdziesiąt procent surówki produkowanej w stanie Pará eksportuje się do Stanów Zjednoczonych.

PIĄTY KROK: eksport. Surówka hutnicza uzyskana przy udziale pracy niewolniczej i nielegalnej wycince lasów Amazonii staje się podstawowym składnikiem produkcji stali, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, a następnie samochodów, sprzętu AGD, uzbrojenia i wielu innych towarów.

Dwa największe przedsiębiorstwa amerykańskie, które importują brazylijską surówkę hutniczą, to National Material Trading i Nucor Corporation. Głównym dostawcą surówki dla National Material Trading jest COSIPAR, huta nagminnie łamiąca prawo, uwikłana w produkcję z udziałem nielegalnie wytworzonego węgla, czyli z pogwałceniem praw chroniących środowisko i pracowników (niewolnictwo).

Co się produkuje z importowanej surówki oraz wytworzonej w Stanach Zjednoczonych stali? Kilka przykładów z listy Obserwatorium Społecznego:

Firma Kohler, nabywca surówki od National Material Trading, produkuje wanny, części hydrauliczne, generatory prądu i maszyny używane w różnych branżach.

Intermet, przedsiębiorstwo z siedzibą w Fort Worth w Teksasie, też nabywca surówki od National Material Trading, produkuje części samochodowe, między innymi podwozia, zawieszania, układy hamulcowe, skrzynie biegów, pompy paliwowe. Elementy te kupują

producenci aut w wielu krajach.

Części samochodowe produkuje także firma ThyssenKrupp, a nabywcami są między innymi Ford, General Motors, Nissan, Toyota, DaimlerChrysler.

Whirlpool Corp., największy producent sprzętu gospodarstwa domowego na świecie, produkuje lodówki, pralki, suszarki, zmywarki, odkurzacze, kuchenki mikrofalowe, urządzenia klimatyzacyjne. Produkty firmy pojawiają się na rynkach obu Ameryk, Europy, Azji i Afryki, czasem ze znakami innych marek wchłoniętych przez Whirlpool – między innymi KitchenAid, Bauknecht, Roper, Maytag, Magic Chef, Amana.

10.

Gdzie się zaczyna odpowiedzialność za nielegalny proceder? Ile nielegalnego tkwi w legalnym? – bo przecież duża część biznesu kręci się zgodnie z regułami prawa. Oświadczenia i tłumaczenia, potwierdzenia i zaprzeczenia ukazują jasno – tak jasno, że jaśniej nie można – że kolejni współsprawcy niszczenia lasów Amazonii umywają ręce, względnie przerzucają winę na innych.

Brazylijskie ministerstwo ochrony środowiska zdaje się wołać: To nie my! Spójrzcie, podpisaliśmy umowy z hutami, w których te zobowiązują się do używania wyłącznie węgla uzyskanego drogą legalną! (Minimum wypełnione, tłumaczenie na konferencje prasowe pod ręką).

Huty, mimo podpisanych zobowiązań, robią to, co robiły, i wołają płacić grzywny niż zmienić sposób działania. *Business is business.*

Konsorcjum Vale powołuje się na pakt podpisany z ministerstwem, jak gdyby sama umowa była tożsama z praktyką. Przyciśnięci do ściany zarzutem o współpracę z hutami łamiącymi prawo menadżerowie konsorcjum tłumaczą się tym, że nie mają własnej policji, która mogłaby kontrolować praktyki biznesowe kontrahentów.

Marques Casara, który przeprowadzał również śledztwo w sprawie nielegalnej produkcji węgla drzewnego, ironicznie komentuje to tak:

– Średnio rozgarnięty pracownik firmy bez wychodzenia z biura, za pomocą kilku telefonów, jest w stanie ustalić, czy dana huta przestrzega standardów ochrony środowiska, czy nie.

Władze stanu Pará zapewniają, przysięgają i deklarują, że biznes hutniczy w regionie jest prowadzony legalnie, z poszanowaniem zasad ochrony środowiska. Nie dość tego: wedle słów przedstawicieli władz stanowych, biznes ten przyczynia się do rozwoju regionu. Sekretariat stanowy do spraw ochrony środowiska, gdzie nieraz dokonywano fałszowania dokumentów i nadawano działaniom przestępczym pozory legalności, zaprzecza, że ma cokolwiek wspólnego z nielegalnym procederem.

Wszyscy wymienieni zazwyczaj odpierają stawiane publicznie zarzuty, oskarżając obrońców środowiska o „radykalizm ekologiczny”. Przerzucają winę za dewastację Amazonii na społeczności lokalne, które są rzekomo głównymi beneficjentami niszczenia lasów deszczowych.

Batista nazywa to bezczelnością.

Roberto Scarpari uśmiecha się jak człowiek, który zna na pamięć wszystkie wykrety i kłamstwa.

11.

W amazońskim królestwie występku, zbrodni i wielkich pieniędzy jest Jeden Sprawiedliwy: IBAMA, instytucja, która ściga nielegalnych handlarzy drewnem i węglem, nakłada grzywny na tartaki i huty. I tu zdarzają się wyjątki od reguły: historia Roberta Scarpariego ukazuje, że „góra” instytucji niekiedy ulega naciskom i rzuca na pożarcie nieprzekupnego funkcjonariusza.

Zanim Scarpari przyjechał do Maraby, pracował w oddziale IBAMA w miejscowości Altamira, również w stanie Pará. Tam wpadł na trop przestępczego konsorcjum ochrzczonego później mianem „mafii z Sudam” (Sudam to skrót od nazwy instytucji publicznej zajmującej się rozwojem regionu – Superintendencia do Desenvolvimento da Amazonia). Mafia, którą tworzyli politycy, urzędnicy i przedsiębiorcy zdefraudowała co najmniej sto trzydzieści milionów reali ze środków przeznaczonych na rozwój; według innych źródeł – suma ta była wielokrotnie większa. Ujawnienie afery doprowadziło przed laty do wycofania się z wyborów kandydatki na urząd prezydenta Roseany Sarney (córkę eksprezydenta i latyfandy) oraz aresztowania senatora Jadera Barbalho, który od trzech dekad trzęsie polityką w stanie Pará; w dwa tysiące dziesiątym ponownie wybrano go do Senatu.

Defraudacja funduszy była tylko jednym z aspektów działania mafii. Przestępcy w białych kołnierzykach dawali się korumpować i korumpowali innych urzędników w rządzie stanowym. Trudnili się fałszowaniem dokumentów, które miały stwarzać pozory legalności dla wycinki lasów na terenach chronionych. Specjalnością grupy była produkcja węgla z nielegalnie wyciętych drzew, z wykorzystaniem pracy niewolniczej, a następnie sprzedawanie go hutom.

Akcje Scarpariego przeciwko mafii węglowej zaowocowały donosem na niego do gubernatorki stanu Any Julii Carepy. Donos złożył człowiek uważany za ojca chrzestnego grupy przestępczej, niejaki Laudelino Délio Fernandes Neto, zwany tu poufale Laudelinem. Oficjalnie Laudelino jest właścicielem ziemskim i sprawował urząd publiczny – wiceburmistrza miasteczka Anapu. Z późniejszych nieoficjalnych enuncjacji można się

było dowiedzieć, że w donosie posłużył się swego rodzaju szantażem: albo pozwolicie nam swobodnie działać, albo ustanie eksport surówki hutniczej i produkcja stali. *Ergo*: rozwój gospodarczy regionu zostanie wyhamowany.

Gubernatorka „kupiła” argumenty ojca chrzestnego, mimo że wcześniej toczyły się przeciwko niemu procesy o defraudację funduszy, a także był wymieniany wśród podejrzanych o spisek na życie amerykańskiej zakonnicy ekolożki Dorothy Stang. W liście do szefa IBAMA Ana Júlia Carepa zarzuciła Scarpariemu, że „sprzeciwia się rozwojowi regionu” i zażądała jego dymisji. Skutecznie: Scarpariego przeniesiono do oddziału IBAMA w Marabie.

12.

– To niesamowite miejsce – mówi Marques. – Gdzie nie dotknąć, gdzie nie poruszyć, tam jedna historia prowadzi do następnych. Albo ujawnia nici łączące nową sprawę z inną, czasem sprzed wielu lat.

W czasie podróży po Amazonii mnie również przytrafiło się dwa razy, że badając jedną, trafiałem na drugą – z przeszłości. Zaczynając pracę nad rekonstrukcją zabójstwa José Claudia i Marii, odkryłem, że przed laty niemal się o nich otarłem – opisywałem zabójstwa działaczy związkowych na wsi i chłopów bez ziemi (Maria była na „liście śmierci”, o której pisałem). Teraz, w czasie rozmowy z Robertem Scarparim o nielegalnej produkcji węgla, wypłynęło nieoczekiwane nazwisko siostry Dorothy Stang. Okazało się, że ludzie, którzy zlecili jej zabójstwo, to część mafii węglowej – ci sami, którzy doprowadzili do usunięcia Scarpariego z oddziału IBAMA w Altamirze. Związki między tą mafią a zabójstwem zakonnicy z USA opisał Marques Casara.

Było tak (zawiłą opowieść Marquesa streszczam najkrócej jak się da): jeden ze zleceniodawców zbrodni, *fazendeiro* Taradão, był prawą ręką senatora Jadera Barbalho, sądanego w procesie o defraudację funduszy z programów mających służyć rozwojowi. To właśnie owego Taradã o wraz z innym właścicielem ziemskim, niejakiem Bida, oskarżono o zlecenie zabójstwa zakonnicy. Taradão został uniewinniony, natomiast Bida oraz dwóch morderców i pośrednik odsiadują kary więzienia. W trakcie procesu wyszło na jaw, że Bida pół godziny po zabójstwie zakonnicy schronił się w posiadłości Laudelina, ojca chrzestnego mafii węglowej, w tamtym czasie sprawującego urząd wiceburmistrza Anapu, miejscowości, w której zastrzelono siostrę Dorothy. Raczej nikt znający sprawę tu na miejscu nie wątpi, że i Taradão, i Laudelino, który rządzi okolicą, należeli do grona zleceniodawców zbrodni. Co innego jednak być przekonanym, a nawet pewnym, a co innego udowodnić udział w zabójstwie przed sądem.

Nie bez powodu jednym z najczęściej powtarzanych słów w stanie Pará jest

impunidade, bezkarność.

Marques mówi, że wśród uwikłanych w mafię z Sudam oraz przestępcze konsorcja drzewne i węglowe znajdują się rekiny polityki i gospodarki, kacykowie stanowi, urzędnicy i parlamentarzyści federalni, którzy mają dość wpływów, by nie dopuścić do naprawdę dociekliwego śledztwa.

„W Anapu, gdzie zamordowano siostrę Dorothy, nic się nie zmieniło – napisał Marques cztery lata po tej zbrodni. – Dewastacja środowiska i grabież ziemi postępują; egzekucje zdarzają się, tak jak się zdarzały. Laudelino Délio Fernandes Neto i jego wspólnicy pozostają nietykalni. »To nie biedni koloniści bez pieniędzy, którzy wycinają drzewa. To ludzie świetnie zorganizowani« – mówi Antônio Ferreira, koordynator regionalnego urzędu do spraw reformy rolnej. Uczciwi ludzie w Anapu boją się wychodzić z domu, głośno mówić prawdę, składać doniesienia. Tutaj decyduje wystrzał z pistoletu, panoszy się bezkarność. Głos mają skorumpowani politycy i uzbrojone grupy. To oni spiskują przeciwko ludziom walczącym o swoje prawa.

Czy zatem krew Dorothy Stang została przelana na marne? Czy grupy przestępcze, które rządzą tą częścią Amazonii, będą górą – ponad sprawiedliwością i prawami człowieka? Jak długo jeszcze mafiosi i zabójcy w białych kołnierzykach będą mogli ukręcać łeb śledztwom i decydować o kierunku polityki wobec środowiska naturalnego w Amazonii? Na pytania te nie ma jak na razie odpowiedzi”.

13.

Każdy, kto był w Teksasie albo widział na filmach teksański świątek, będzie odczuwał w Marabie *déjà vu*. Podobne pikapy krążące po mieście i okolicach, identyczna moda: spiczaste, wysokie buty-kowbojki, dżinsy, rozchełstane koszule, różnokolorowe *sombrera*. Świątek wyjęty z amerykańskich westernów, *remake* w innej scenografii, wersja uwspółcześniona.

Niektóre widoki, sceny, obrazy dostępne tu zmysłom nie wyglądają na pierwszy ani nawet na drugi rzut oka niebezpiecznie, złowrogo. Fakt – upiorna brzydota Maraby odrzuca, chaos urbanistyczny tego miejsca drażni, a poczucie tymczasowości – odpycha. Po pewnym czasie można jednak się do tego przyzwyczaić, a nawet ulec tutejszemu klimatowi swojskości, sielskości.

Tę swojskość widać najwyraźniej w dniach, kiedy hodowcy bydła organizują Święto Byka, prawdziwego konkwistadora Amazonii: RODEO...

To hodowcy bydła odpowiadają za największe zniszczenia amazońskich lasów – większe niż handlarze drewnem i węglem drzewnym. Ich dziełem jest około osiemdziesiąt procent wszystkich wycinek w Amazonii i zamienianie dżungli w pastwiska.

W ostatniej dekadzie produkcja mięsa i skór w Brazylii wzrosła ponad sześciokrotnie. Brazylija dostarcza jedną trzecią wołowiny na świecie, chce, żeby do dwa tysiące osiemnastego były to dwie trzecie. Hodowcy bydła mają o co walczyć z ekologami, drobnymi rolnikami, wspólnotami autochtonicznymi, agendami państwa, takimi jak IBAMA, które tropią nielegalne wycinki. Stawka jest niewyobrażalnie wielka. Czasem kilkunastocyfrowa.

Na rynku brazylijskim dominują trzy firmy handlujące mięsem wołowym i skórą: JBS, Marfrig i Bertin. Skupują bydło od hodowców, zarówno działających legalnie, jak i nielegalnie; od takich, którzy wypasają bydło na ziemi kupionej z poszanowaniem prawa, i od takich, którzy zagarnęli cudzą własność, wypasają bydło na terenach należących do autochtonów, zmuszają zwerbowanych podstępem pracowników do pracy niewolniczej za skromne wyżywienie albo i bez niego.

Zdarza się, i to nierzadko, że hodowla legalna miesza się z nielegalną. Na przykład, hodowca ma prawo do prowadzenia biznesu na kawałku swojej ziemi, ale rozszerza go na większy obszar, częściowo zagrabiony. Znowu ten sam problem: na amazońskiej ziemi bezprawia ustalenie, ile jest nielegalnego w legalnym i na odwrót, to piekielnie trudne, czasem niemożliwe do wykonania zadanie. Początkowe ogniwa długiego łańcucha produkcji mięsa i skór – podobnie jak produkcji drewna i stali – są skażone grabieżą ziemi, dewastacją środowiska, wyzyskiem ludzi, a nieraz zabójstwami.

Mięso z amazońskiego bydła kupują wielkie sieci handlowe w samej Brazylii, w USA i Europie. Z kolei produkty ze skór docierają na wszystkie kontynenty. Firma Bertin sprzedaje skóry takim markom jak (alfabetycznie): Adidas, BMW, Carrefour, EuroStar, Ford, Gucci, Honda, IKEA, Kraft, Nike, Tesco, Toyota, Wal-Mart.

Ponad połowę całej produkcji ze skór stanowią buty, a czempionem w tej dziedzinie są Chiny – wytwarzają około sześćdziesięciu procent obuwia na świecie. Fabryki chińskie, w których robi się obuwie sportowe z logo Nike'a, Adidasa, Reeboka, kupują skóry bezpośrednio od brazylijskiego Bertina.

Bertin sprzedaje je największemu producentowi foteli i siedzeń samochodowych Eagle Ottawa – firma ta wytwarza jedną piątą tego typu produkcji na świecie. Z kolei Eagle Ottawa ma wśród nabywców między innymi BMW, Forda, Hondę i Toyotę.

We Włoszech od Bertina kupują Rino Mastrotto Group i Gruppo Mastrotto, a przetworzone skóry na potrzeby dalszej produkcji sprzedają takim markom jak Boss, Geox, Gucci, Tommy Hilfiger, Louis Vuitton, Prada.

Półprodukty do wytwarzania środków higieny i kosmetyków kupują od Bertina znane firmy z tej branży: Unilever, Colgate, Palmolive, Johnson & Johnson.

14.

Rząd Brazylii, kiedy władzę objął przywódca ubogich Lula, zaczął prowadzić propagandową batalię przeciwko wycinaniu lasów Amazonii. Na przykład, w czasie konferencji klimatycznej w Poznaniu w dwa tysiące ósmym jego przedstawiciele zobowiązali się do ograniczenia wycinki dżungli, a przede wszystkim zwalczania nielegalnej, i do zmniejszenia emisji szkodliwych dla klimatu na Ziemi gazów do atmosfery.

Ten sam rząd współfinansował intensywną hodowlę bydła w Amazonii i był udziałowcem największych amazońskich ferm hodowlanych. W okresie prezydentury Luli władze federalne przeznaczyły miliardy reali na wsparcie hodowców. Osiemdziesiąt trzy procent tej sumy dostał wielki agrobiznes. Czy da się rozwijać hodowlę bydła w Amazonii bez postępującej w szybkim tempie wycinki lasów? Pytanie retoryczne.

Jak więc pogodzić sprzeczności?

Batista tłumaczy, że Lula miał dwie opowieści: jedną dla świata, inną dla Brazylii. – Światu mówił o ochronie Amazonii, a Brazylijczykom – o konieczności szybkiego wzrostu gospodarczego, bo musimy nadrobić zapóźnienie. Ogłosił Program Przyspieszonego Rozwoju, nie zważając na koszty społeczne i zagrożenia dla środowiska naturalnego. W praktyce oznaczało to przymykanie oczu na dewastację Amazonii i zbrodnie. Powiem więcej: to rząd finansował i nadal finansuje wycinanie lasów.

Podobnie, choć innymi słowami, sprzeczności w polityce rządu Brazylii interpretuje Roberto Scarpari:

– Rząd otwarcie zachęca do rozwijania hodowli bydła, daje na nią potężne wsparcie finansowe. Towarzyszy temu piękny dyskurs proekologiczny, że chodzi o hodowlę legalną, prowadzoną z poszanowaniem zasad ochrony środowiska. Ale każdy znawca tematu wie doskonale, że te dwie rzeczy są nie do pogodzenia. Rozwijanie hodowli, a wraz z nią dalsze wycinanie dżungli, to proces, który ma swoją dynamikę. Gdy się zachęca do przyspieszonego rozwoju, w środowisku społecznym i biznesowym, w którym legalne przenika się z nielegalnym, efekt jest z góry znany: dalsze niszczenie lasów. Mówienie o wspieraniu jedynie legalnego biznesu to opowiastki dla naiwnych.

Najsurowszą ocenę wystawia ekipom rządzącym Brazylią Marques Casara:

– Kolejne rządy są partnerem zorganizowanej przestępczości. Finansują projekty, budują infrastrukturę, udzielają kredytów. Produkcja stali przynosi nie tylko niebotyczne dochody, tworzy nie tylko miejsca pracy, lecz również generuje fundusze na kampanie wyborcze. Wartość środowiska naturalnego, cena życia niszczonej wspólnoty czy zabijanych działaczy nie są w ogóle brane pod uwagę.

Rząd Brazylii nie jest jedynym odpowiedzialnym za taką politykę – przyznają to nawet

ekolodzy. Znaczną odpowiedzialność ponoszą inne rządy, rynki finansowe, wielkie przedsiębiorstwa, które wywierają presję, zachęcają do dalszego niszczenia lasów. Ich kalkulacje są proste: klienci nie będą czekać. Mimo kryzysu światowego popyt na większość towarów utrzymuje się, zbyt duże pieniądze są do stracenia, by przejmować się przyrodą.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza wielkość i tempo wycinania lasów deszczowych były uzależnione od cen wołowiny, soi i innych produktów na rynkach światowych. Największe zniszczenia w Amazonii przypadły na drugą połowę lat dziewięćdziesiątych i pierwsze lata nowego stulecia – wówczas zniknęło nawet trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych puszczy rocznie. Dewastacja zwolniła w latach rządów Luli: od dwa tysiące czwartego roku rozmiary wycinek systematycznie zmniejszały się z trzynastu do sześciu tysięcy kilometrów kwadratowych rocznie.

Badacze z Instytutu Człowieka i Środowiska Naturalnego (Instituto do Homem e Meio Ambiente da Amazônia – IMAZON) szacują, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat wycięto siedemnaście procent brazylijskiej części Amazonii. Jeśli dewastacja puszczy osiągnie poziom jednej trzeciej jej powierzchni, dojdzie do głębokich zmian w przyrodzie. Region zacznie przekształcać się stopniowo w sawannę. Przy obecnym tempie zniszczeń dojdzie do tego około dwa tysiące czterdziestego roku.

Jednym z pomysłów na ograniczenie dewastacji jest utworzony przez rząd Brazylii Fundusz Amazonii. Rozumowanie, jakie przyświeca tej inicjatywie, różni rozmówcy streszczają podobnie: Brazylia musi się rozwijać, nadrobić przepaść dzielącą ją od najbogatszych krajów, a teraz ma piętnaście minut w dziejach. Jeśli świat chce zachowania „płuc Ziemi”, niech najbogatsi zapłacą, choć częściowo, za powstrzymanie się Brazylijczyków od niszczenia Amazonii.

Miejscowi powątpiewają, czy politykę powstrzymywania kupiliby ci, którzy na wycinaniu puszczy zarabiają miliony.

– To ziemia bezprawia, Dzikie Zachód. Nie rząd federalny tutaj rządzi. Żarty na bok.

15.

Święto Byka odbywa się na początku lipca, w porze suchej.

Do Maraby zjeżdża kilka tysięcy hodowców z regionu. Jest wystawa nowych modeli maszyn rolniczych, w powietrzu unosi się zapach grillowanego mięsa, gra głośno muzyka: miks techno i sertanejo, stylu z północnego wschodu Brazylii.

Miejscowe piękności o jasnej cerze i blond włosach wywołują sprośne, acz nienachalne, raczej dyskretne komentarze i rozmarzone uśmiechy maczokowbojów. Jasność cery, blond włosów mogą zaskoczyć tu tylko cudzoziemca. Dla miejscowych to oczywiste, jakiego

koloru skórę mają ludzie z wierzchołka drabiny społecznej.

Gdy kibicujący ujeżdżaniu byków zajmą już miejsca wokół piaszczystej areny, głos zabiera sam *senhor* Mirandinha, wieloletni lider związku hodowców i przedsiębiorców rolnych PRORURAL (Sindicato dos Produtores Rurais). Jak większość mężczyzn, ubrany po kowbojsku, *senhor* Mirandinha jako prawdziwy gospodarz, książę na włościach, wita z całego serca zebranych. Niczym kapłan dziękujący Bogu za wszystkie łaski i dary, wygłasza coś w rodzaju mowy dziękczynno-pochwalnej sławiącej rozwój i postęp.

– Czyńmy sobie amazońską ziemię poddaną! Fiestę uważajcie za otwartą!

Rozwścieczone byki sapią już i rozpychają się w ciasnym korralu. Osilki w kowbojskich strojach modlą się w przyklęku przed zawodami. Za chwilę dosiądą rogate bestie i będą spadać z nich jeden po drugim – po kilku, najwyżej kilkunastu sekundach.

Potem muzyka, tańce i piwo do świtu. Amazońscy kowboje będą cieszyć się i gratulować sobie nawzajem, że są panami świata.

3. SYNDYKAT ZBRODNI

1.

Znowu w biurze Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi w Marabie. Czekam na Eduarda Rodriguesa i Osmara Luiza Lime, lokalnych przywódców chłopskich. Chcę ich wypytać, jak widzą działalność wielkiego agrobiznesu, politykę rządu, własny los, przyszłość.

– Nie ma nadziei ani przyszłości – mówią obaj od razu na wstępie. – Polityka rządu sprzyja wycinaniu Amazonii i wyrzucaniu nas, drobnych rolników, z ziemi – mówi pan Eduardo. – Prośby o pomoc i ochronę rząd ignoruje.

Dopiero po chwili pan Eduardo, który jest przewodniczącym Związku Robotników Rolnych w miasteczku Nova Ipixuna, wyjaśnia, że potrzebuje ochrony.

– Pogróżki?

Skinienie głową potwierdza, że tak.

– Od kogo?

– Ze strony hodowców, handlarzy drewnem. Boję się o siebie, o rodzinę.

Znowu ta sama opowieść, nieznośna powtarzalność. Pan Eduardo – kolejny uczestnik międzypokoleniowej sztafety zastraszanych. (Czy za kilka tygodni, miesięcy, lat podzieli los José Claudia i Marii? Czy kiedy ta książka trafi do księgarń będzie wśród żywych?).

Pytam pana Eduarda, czym tłumaczy to, że rząd lekceważy alarmy o zagrożeniu życia takich jak on, jak José Cláudio i Maria, jak Batista i wielu innych zaangażowanych w obronę amazońskiej puszczy, walczących o podział ziemi i eksploataowanie jej tylko w takim stopniu, w jakim to konieczne, żeby przeżyć.

– Zostaliśmy zdradzeni – mówi pan Eduardo. – Wcześniej rząd Luli, a obecnie Dilmy Rousseff potrzebuje w Kongresie głosów *bancada ruralista*, to znaczy lobby właścicieli ziemskich, hodowców, handlarzy drewnem, producentów surówki hutniczej i stali. Dlaczego mieliby nas chronić i narażać się na utratę głosów potrzebnych im do rządzenia? Nie jesteśmy rządzącym do niczego potrzebni.

Z jakiegoś powodu pan Eduardo uznał, że warto tłuc się dwie godziny z Novej Ipixuny do Maraby, żeby wylać gorycz przed nieznanym rozmówcą z dalekiego końca świata, który nie może mu pomóc.

Być może chodziło tylko o zawołanie „Ratunku!”. Nic innego nie zostało.

2.

Czasem podążamy za jakąś historią, przejmujemy się nią, wiemy już o niej dużo, ale dopiero niespodziewany gest, pół słowa, brakujący okrucieństwo puzzle'a dopełniają obraz i sprawiają, że widzimy go w pełni, dostrzegamy jaśniej związki między wydarzeniami.

Gdy pan Eduardo powiedział o lobby właścicieli ziemskich i hodowców oraz znaczeniu ich głosów dla rządzących, mimowolnie zacząłem odtwarzać w pamięci scenę z Kongresu, jak deputowany z Partii Zielonych obwieszcza, że zamordowano właśnie parę ekologów, José Claudia i Marię, i jak chwilę potem odpowiada mu buczenie z sali.

Nagle stało się w pełni jasne, kto i dlaczego wybuczał tę wiadomość.

3.

– Nikt z dużych *fazendeiros* i hodowców nie będzie z tobą gadał, możesz się nie trudzić.

Chagas Filho, trzydzieści sześć lat, główny reporter lokalnego oddziału gazety „Diário do Pará”, potwierdza moje przecucie. Redakcja dziennika jest w Belém, stolicy stanu, tu, w Marabie, ma niewielkie biuro – pokoik i parę komputerów w budynku lokalnej telewizji i radia.

– Dlaczego nie będą gadać?

– Nienawidzą dziennikarzy zagranicznych.

– Bo?

– Bo wiedzą, że w Europie i w Stanach dużo się mówi o niszczeniu Amazonii, o ekologii. W ich oczach każdy zagraniczny dziennikarz jest szpiegiem; wrogiem, który może narobić hałasu. A ich biznes nie potrzebuje uwagi świata.

Potrzebuje ciszy. Jak zawsze.

„Cisza jest sygnałem nieszczęścia i często – przestępstwa. Jest takim samym orężem politycznym jak szczęk oręża czy przemówienie na wiecu... – pisał Ryszard Kapuściński. – Cisza żąda, aby wrogowie ciszy znikali nagle i bez śladu. Cisza chciałaby, żeby jej spokoju nie zakłócał żaden głos – skargi, protestu, oburzenia. Tam, gdzie rozlegnie się taki głos, cisza uderza z całej siły i przywraca stan poprzedni – to znaczy stan ciszy”.

Pasaż jak z mrocznego thrillera. I jakby napisany dla tej opowieści.

– A relacje *fazendeiros* z lokalną prasą? – dopytuję.

Chagas robi krótki wykład. „Diário do Pará” i inne miejscowe gazety, z wyjątkiem jednej, zawsze pisały o *fazendeiros*, handlarzach drewnem i węglem, wielkich hodowcach jako „przedsiębiorcach”, nawet jeśli ci przywłaszczali sobie kilometry kwadratowe dżungli, prowadzili nielegalną wycinkę puszczy, byli zamieszani w skrytobójstwa. Z kolei chłopci bez ziemi mieli ustaloną etykietę „najeźdźców” i „intruzów”, a wszelkie ruchy społecznej rewindykacji – „wywrotowców” i „komunistów”. Przełomem była masakra w Eldorado do

Carajás w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy policjanci na zlecenie wielkiego *fazendeiro* zastrzelili dziewiętnastu manifestujących wieśniaków. Tragedia zmieniła chemię. Stary język z czasów dyktatury, a nawet wcześniejszych, umarł. Nie dało się opowiadać w koło tej samej bajki o „dobrych” *fazendeiros* i „złych” chłopach wywrotowcach. Nikt przytomny, nawet jeśli wierzył w nią wcześniej, nie dałby już wiary.

„Diário do Pará” wciąż sprzyja interesom grup ekonomicznych, które niszczą Amazonię, ale o zabójstwie José Claudia i Marii gazeta pisała neutralnie. Wprawdzie nie było komentarza potępiającego nielegalną wycinkę puszczy, była jednak czytelna sugestia, że to *madeiros* mogli zlecić zabójstwo ekologów.

Czyją zresztą tubą ma być gazeta, której właścicielem jest senator Jader Barbalho? Tak, tak, ten sam senator Jader Barbalho, zamieszany w związki z „mafią z Sudam”, która zdefraudowała fundusze na rozwój regionu. Niezatapialny, jak legiony lokalnych polityków i „przedsiębiorców”, tworzących syndykaty przestępczości zorganizowanej.

4.

Senator Jader Barbalho jest nieuchwytny. Ma pełny kalendarz. Właśnie wyjechał. Albo dopiero co wrócił i jest zajęty. Kiedy będzie miał chwilę? Nie wiadomo. Może za tydzień? Proszę próbować. A może lepiej za miesiąc?

Senatorowanie to piekielnie czasochłonne zajęcie.

Kilka lat wcześniej Jadera Barbalho podeszli amerykańscy dokumentaliści, autorzy filmu *Send a Bullet* – o przemocy w Brazylii. Przyjechali z kamerą do siedziby należącego do senatora radia w Belém.

Barbalho siada na kanapie.

– Czy mogę wiedzieć, o co tu chodzi? – pyta.

Reporter (*z za kadru*): – Czy może pan opowiedzieć o swojej roli w rozwoju Amazonii?

Barbalho łyka haczyk. Odpowiada:

– Istnieje błędne mniemanie, że Amazonia to ogromna pustka demograficzna. Ale tu żyje ponad dwadzieścia milionów ludzi, którzy zasługują na szansę zdobycia zatrudnienia, godne życie, przyszłość. Jako polityk mogę być dumny z tego, że zawsze cieszyłem się uznaniem i szacunkiem społeczeństwa stanu Pará.

Reporter: – Dlaczego Sudam nie spełnił swojej roli?

Barbalho: – Łatwiej było powiedzieć, że doszło do skandalu korupcyjnego, w który byli zamieszani lokalni politycy, niż sięgnąć głębiej. W istocie to była zasłona dymna...

(*cięcie*)

...z pewnością można spotkać ludzi, którzy darzą mnie uznaniem, jak i takich, którzy

nie akceptują mojego przywództwa. Na całym świecie osoby publiczne ryzykują uwikłanie w skandale. Być może również ja popełniłem jakieś błędy, ale osąd w tej sprawie należy do opinii publicznej i – jak do tej pory – ten osąd wypada na moją korzyść.

Reporter: – Czytałem, że ma pan farmę żab. Wydało mi się to bardzo dziwne.

Barbalho: – Nie... Nie... Żeby odpowiedzieć, potrzebowałbym więcej czasu na rozmowę z wami, ponieważ... Nie...

Barbalho orientuje się, że to pułapka, odpina mikrofon i wychodzi z pokoju.

Niewinne pytanie o farmę żab urwało rozmowę. Dlaczego? Farmę żab, o której dowiadujemy się z filmu, Barbalho założył po to, by pracować brudnymi pieniędzmi.

5.

Próbuję z kimś innym: dzwonię do Marcusa Mirandy, przewodniczącego związku *fazendeiros* i hodowców PRORURAL w Marabie. Pan Miranda jest szefem związku od niedawna, przejął pałeczkę od ojca – Mirandiny. Rozmowa jest krótka, kończy się, zanim na dobre się zaczęła. Po przedstawieniu się, kim jestem i skąd przyjechałem, dalszy ciąg wygląda tak:

– Chciałbym porozmawiać o rozwoju regionu, wielkim przyspieszeniu wzrostu...

– (z irytacją) Kto ci dał mój telefon?

– Znajomy dziennikarz stąd, z Maraby.

– Nie mam czasu, jestem poza miastem.

– A kiedy pan wraca?

– Dopiero w przyszłym tygodniu.

– Mogę poczekać, będę w Marabie.

– (po chwili namysłu?) Nie, nie...

– A może ktoś inny ze związku mógłby mi opowiedzieć o rozwoju regionu?

– (z irytacją, podniesionym głosem) Nie ma nikogo innego. *Beleza?*

Miranda rozłączył się.

Beleza znaczy po portugalsku „pięknie”. *Beleza* zaintonowane jako pytanie może znaczyć coś w rodzaju: OK? Pasuje? Albo: Rozumiesz? Łapiesz? Tutaj znaczyło, tak jak sugerował Chagas: „idź do diabła”, „spadaj”. Nie zadałem na dzień dobry pytań o niszczenie środowiska, nielegalny biznes ani tym bardziej o zabójstwo ekologów. Jeśli taka była reakcja na prośbę o wywiad o „rozwoju regionu”, to jak zareagowałyby szef PRORURAL na pytania, których nie miałem szansy zadać?

Nawet nie trzeba się domyślać. Dziennikarzowi Gabrielowi Elizondo, który nagrywał reportaż dla anglojęzycznej sekcji Al-Dżaziry, podczas dorocznych targów agrobiznesu

udało się „złapać” z kamerą szefa związku hodowców z miejscowości São Félix do Xingu. Kamerze niełatwo zwać, a próba ucieczki czy zakrzywienia reportera na ekranie wygląda brzydko. Hodowca Wilton Batista przemówił tak:

– Jestem wnukiem i synem *fazendeiro*, mam dość nazywania mnie bandytą, kimś, kto eksploatuje niewolników, niszczycielem. Ludzie powinni przyjechać i zobaczyć, co naprawdę robimy, zanim nas osądzą. Łatwo ludziom pouczać, żeby nie niszczo Amazonii, ale z całą pewnością jedzą mięso wyprodukowane właśnie tutaj.

Zapytany o zabójstwo José Claudia i Marii, hodowca odrzekł chłodnym tonem:

– Mówi się, że zabili ich hodowcy, a mamy informacje, że zajęli ziemię pewnego *fazendeiro* i dlatego zginęli. Tak samo było z misjonarką Dorothy Stang: szmuglowała broń i rozdawała ją ludziom. Nie modliła się w kościele, kiedy ją zabijano, prawda?

Dziennikarz wysłuchujący tej wypowiedzi komentuje z offu: „Byłem zszokowany tym, że ktoś śmiało oskarżyć siedemdziesięcioletnią zakonnicę, która poświęciła życie obronie Amazonii, o handlowanie bronią”.

Nagrany hodowca to nie ekstremista. Najbardziej typowy spośród najbardziej typowych przedstawicieli swojej grupy społecznej. Absolutna norma.

Inny agrobiznesman, jeden z liderów *bancada ruralista* w Kongresie, Giovanni Queiroz ze stanu Pará, „złapany” w podobny sposób przez kamerę brazylijskiego reportera, wyznał od serca:

– Brazylia ma prawo się rozwijać, mamy trzydzieści osiem milionów ludzi żyjących w biedzie, musimy ratować ich, zajmując coraz to nowe ziemie, a ci [działacze] nie pomagają wyciągać z biedy milionów Brazylijczyków, [dlatego] są atakowani, musimy wykluczyć ich z brazylijskiego społeczeństwa.

(Znowu to buczenie z parlamentu...).

6.

Piszę prośbę o wywiad do deputowanego Queiroza. Staram się zachować ostrożność, szukam sformułowań, które nie zrażą od razu na wstępie amazońskiego bonzy.

„Interesuje mnie niezwykle szybki rozwój Brazylii, do którego duży wkład wnosi, o ile rozumiem, sektor hodowlany. Dlatego chciałbym zapytać, czy byłoby możliwe porozmawiać z panem o tej sprawie. Wiem też, że taki model rozwoju budzi sprzeciw lokalnych grup radykalnej lewicy, ekologów, chłopów bez ziemi itp. Chciałbym dobrze zrozumieć wszystkie te kwestie – co jest tu mitem, co rzeczywistością regionu i kraju... Jeśli zgodzi się pan na rozmowę, jestem gotów przylecieć do Brasílii lub regionu, w którym pan mieszka. Będę wdzięczny za odpowiedź. Z poważaniem...”.

Queiroz, prócz tego, że wzywa do wykluczenia ekologów ze społeczeństwa, promuje ideę

podziału stanu Pará i utworzenia z jego części nowego stanu – Carajás. Kalkulacje są proste: region Carajás jest bogaty w minerały, a także rzadkie i pożądane przez przemysł gatunki drzew. Każdy stan dostaje ponadto fundusze z budżetu federalnego – naprawdę duże pieniądze. Te pieniądze mogą wspierać tartaki, huty, chłodnie. Można by więcej wycinać, wytapiać, hodować. I łatwiej kamuflować nielegalne praktyki; w ogóle wszystko szłoby łatwiej.

Tak jak zapowiadał Chagas: ani deputowany Queiroz, ani nikt z jego biura nie odpowiedział na prośbę o wywiad.

7.

Przez wszystkie lata cichej wojny domowej o ziemię w stanie Pará postawiono przed sądem zaledwie kilku *fazendeiros*, którzy zlecieli zabójstwa przywódców chłopskich, ekologów, niewygodnych prawników, działaczy. Spośród tej garstki kilku uniewinniono, kogoś przedterminowo zwolniono ze względu na chorobę, jeszcze inny uciekł z więzienia w cudownych okolicznościach. W wielu stanach jest podobnie: skazano kilkunastu zleceniodawców, większość wypuszczono po apelacjach. Za kratami lądują jedynie *pistoleiros* wykonujący wyroki, którzy mają nadzieję, że wpływowi bonzowie przekupią kogo trzeba i pomogą uciec z więzienia. Ucieczki płatnych zabójców z więzień to w interiorze Brazylii zaskakująco częste przypadki.

Skazanie zleceniodawców jest trudne, niemal niemożliwe. Zabójstwa społecznych liderów są zbrodnią zorganizowaną wielopiętrowo. Decyzje rzadko zapadają indywidualnie. Hodowcy, *fazendeiros*, handlarze drewnem, tak samo jak drobni rolnicy, są zrzeszeni w związkach. To syndykat kolektywnie wydaje wyroki śmierci. Rzadko mówi się wprost, że chodzi o zabójstwo. Nie ma sposobu, żeby wykryć zleceniodawców, a już zupełnie nie ma jak ich skazać. Bo jak zdobyć dowody procesowe? Ktoś z syndykatu musiałby sypnąć. A to by znaczyło, że popełnił samobójstwo.

Agrobiznesmani mają w miastach i miasteczkach interioru władzę, stanowiska, wpływy. Lokalni rządcy i sędziowie to zwykle ten sam krąg krewnych, przyjaciół, znajomych, partnerów biznesowych. Do syndykatu zbrodni należą również policjanci. Przekupieni stróże bezprawia udają, że prowadzą śledztwa. Nieraz sami pracują jako płatni zabójcy – po godzinach, a czasem w godzinach pracy (*vide*: masakra w Eldorado do Carajás).

Gdy jednak zbrodnia jest głośna, tak jak w przypadku zabójstwa José Claudia i Marii, powstaje społeczna i polityczna presja – tu: ze strony rządu federalnego – żeby sprawę wyjaśnić, a winnych osądzić jak najszybciej. Sprawiedliwość dopada zazwyczaj wykonawców. Ci często nie wiedzą, kto im dał zlecenie.

W Marabie opowiadają, że w syndykacie zbrodni obowiązuje reguła „pięciu ogniw” (w innym wariantcie są cztery lub trzy ogniwa). Grupa agrobiznesmanów decyduje o unicestwieniu dającego się we znaki działacza, mówiąc na przykład, że „trzeba by uciszyć Iksa” (ogniwo pierwsze). Za uciszenie odpowiada wybrany członek syndykatu (ogniwo drugie). Ten zleca zadanie pośrednikowi (ogniwo trzecie), a pośrednik – następnemu pośrednikowi (ogniwo czwarte). Dopiero drugi pośrednik przekazuje zlecenie wykonawcom (ogniwo piąte). W skrajnych sytuacjach, gdy zabójcy zostają schwytani i wybucha wrzawa wokół zbrodni, syndykat potrafi zabić pośredników. Wówczas wymiar sprawiedliwości – jeśli nawet naprawdę chciałby przeprowadzić uczciwe śledztwo i skazać wszystkich winnych – nie zdoła ustalić, kto był pomysłodawcą i finansował zabójstwo. Bez zeznań pośredników nie ma nici łączącej zleceniodawców i *pistoleiros*.

Zbrodnia doszła.

8.

W Marabie często się słyszy, że w Amazonii ścierają się dwie drogi rozwoju. Powtarzają to i wielcy właściciele, i ubodzy wieśniacy.

Według tych opowieści, jedną drogę reprezentują hodowcy, przemysł stalowy i drzewny. Drugą – drobni rolnicy, którzy również wycinają puszcę i dla nich także jest ona źródłem utrzymania, lecz nie zbijają na eksploatacji fortun; różnią ich środki i cel. Korzystają z lasów tyle, ile trzeba, by przeżyć. Czasem trochę więcej.

Język chłodnej analizy jest odarty z dramatu, emocji, cierpienia. Dwie drogi rozwoju: jedni chcą tak, drudzy chcą inaczej. Konflikt nieuchronny, niemal grecka tragedia.

Jeśli tak opowie się tę historię, oburzenie moralne wyda się niestosowne, nie na miejscu. W greckiej tragedii, rozgrywającej się w amazońskiej scenerii, José Cláudio i Maria musieli zginąć. Prawo zysku zastąpiło prawa bogów, reszta niemal bez zmian. Chór z pewnością dopowie na stronie, że to pieniądź jest bogiem czasu. Nieistotne, kto pociągnął za spust.

Łaskawa dla syndykatu zbrodni opowieść.

9.

– Czy nadejdzie jeszcze choć jedna noc, kiedy nie będę widziała tamtej sceny?

Laísa przeżywa we śnie obrazy, które zapamiętała z miejsca zbrodni. Towarzyszy im nieznamy głos. Powtarza: „Zabili ich. Tamci wygrali”.

Laísa milknie na dłuższą chwilę. Próbuje się uspokoić, siedzimy bez słowa. Z drugiej izby dobiega głośny śmiech dzieci, które oglądają coś w telewizji.

– Może chcesz jeszcze soku? – Laísa nagle zmienia fale, żeby odpędzić bolesne

wspomnienia.

Zaczynamy gadać o amazońskich owocach i sokach, które są nieznane w Europie. Najlepsze – *acai* i *cupuacu*. *Acai* działa jak naturalny *energy drink*; można go pić albo jeść łyżką, kiedy jest zagęszczony orzechową miazgą, wiórkami z kokosa lub innymi specjałami.

Po zabójstwie siostry i szwagra Laísa z mężem i dziećmi wyjechała z osady Praia Alta Piranheira. Przeniosła się do ubogiej dzielnicy Maraby.

Z Praia Alta wynieśli się również wszyscy inni krewni: brat i siostra José Claudia z rodzinami, a także ich mama Raimundinha, która codziennie płacze po najstarszym synu.

10.

Czy naprawdę istotne, kto pociągnął za spust?

Przecież wszyscy – począwszy od wycinających lasy, skupujących drewno i spalających je na węgiel, przez tych, którzy produkują surówkę w hutach, eksportują i importują mięso, skóry, drewno i stal, a skończywszy na kupujących auta, podłogi, buty i inne towary, wymienionych tu i tych niewymienionych firm – finansują niszczenie Amazonii bądź na nim zarabiają. Chcąc czy nie, wszyscy dorzuciliśmy grosz lub go zarobiliśmy na zabójstwie dwójki ekologów z Novej Ipixuny. Pośrednio. Nieświadomie.

Zbyt szokująca byłaby sugestia, że wszyscy zabiliśmy José Claudia i Marię? To znaczy: przyłożyliśmy do tego zabójstwa rękę – podpis na zamówieniu, kartę kredytową – i ponosimy część odpowiedzialności za tę śmierć, nawet jeśli o zabitych nigdy nie słyszeliśmy.

Ktoś strzelił, ktoś inny zlecił zabójstwo – dla zysku. Również w naszym imieniu, choć nie pytał nas o zgodę. Ktoś powie: nie było zgody na takie „pośrednictwo”, nie było świadomości, więc i nie ma odpowiedzialności. Logika bezbłędna. Ale czy uspokaja?

11.

Laísa i Claudelice, które jako jedyne z rodziny rozmawiały z dziennikarzami i robiły dużo szumu wokół zabójstwa, zaczęły dostawać pogróżki od „nieznanych sprawców”.

– Ktoś zabił nam psa – opowiada Laísa. – Potem zaczęli mnie różni i niby po przyjacielsku ostrzegali, żebym nie opuszczała domu, bo chodzą słuchy... Wszystko tak samo jak z Marią i José Claudiem.

W pewnej chwili Laísa przytacza słowa „naszego wielkiego brazylijskiego pedagoga” Paula Freire: – Człowiek nieświadomy jest nikim.

Boi się, ale nie zamierza zamilknąć.

12.

Jak w ogóle taką zbrodnię nazwać? Zbrodnią kontekstu, systemu? Nowoczesnego społeczeństwa i nowoczesnej gospodarki? Wielopiętrowych zależności i powiązań?

Odpowiedzialność *fazendeiro*, który zlecił zabójstwo (bądź był pośrednikiem) i dwóch wykonawców, którzy oddali strzały, ma charakter karny, daje się osądzić.

A jak zaklasyfikować odpowiedzialność handlarzy drewnem, którzy przez lata ślali Marii i José Claudiowi pogróżki, siejąc strach, pokazując innym, że mogą bezkarnie robić, co zechcą?

Cząstka odpowiedzialności leży po stronie władzy publicznej, która zastraszań nie wzięła pod ochronę, mimo że wiedziała o zagrożeniu.

Następna – po stronie urzędników stanowych, którzy fałszują dokumenty, sprzyjając niszczeniu lasów i tworząc zachęty dla nielegalnego biznesu.

A co z odpowiedzialnością polityków z rządu federalnego, forsujących przyspieszony rozwój gospodarczy, któremu Maria i José Cláudio stanęli na drodze?

W łańcuchu zależności i odpowiedzialności nie może zabraknąć firm, które skupują i eksportują surowce, półprodukty, a dalej – także tych w Europie, USA, Chinach, które je importują, przetwarzają, sprzedają.

Na końcu są nieświadomi klienci salonów samochodowych, sklepów meblowych, najzwyczajszych supermarketów...

My.

13.

Z refleksji socjologów i filozofów wiemy, że nowoczesne społeczeństwo kształtuje zachowania i działania moralnie naganne, wręcz odpychające, które nie napotykają oporu moralnego ani nie wywołują wyrzutów sumienia. Takie nowoczesne społeczeństwo potrafi wciągnąć w swoje tryby, na przykład w realizację podboju, wywołanie wojny, popełnianie zbrodni, miliony jednostek całkowicie lub prawie całkowicie nieświadomych, że biorą udział w czynieniu zła. Ludzie ci – jak pisze Zygmunt Bauman – „w żadnym momencie działania nie są zmuszeni do podejmowania świadomie trudnych wyborów moralnych ani do przełamywania wewnętrznych oporów sumienia”. Innymi słowy: nowoczesne społeczeństwo wytwarza u jednostek moralną ślepotę na masową skalę.

Bauman rozważa przykład robotników fabryki broni, którzy cieszą się z nowych zamówień i dobrej kondycji ekonomicznej przedsiębiorstwa, a zarazem szczerze opłakują masakry dokonywane nawzajem przez Etiopczyków i Erytrejczyków. Nie zastanawiają się, że być może broń, którą produkują – dzięki czemu mogą cieszyć się z poprawy sytuacji materialnej swojej i firmy dającej im pracę – trafia w ręce bojowników tej czy

innej wojny, której ofiary wywołują uczucia autentycznego smutku i troski.

Moralna ślepotą tego rodzaju jest możliwa jedynie w nowoczesnym, złożonym społeczeństwie, którym rządzi zasada „pośrednictwa w działaniu”. „Tworzy się – pisze Bauman – duży dystans między zamiarem a jego praktycznym urzeczywistnieniem, zaś przestrzeń ta wypełniona jest dużą liczbą drobnych działań, wykonywanych przez mało znaczących pośredników”.

Wniosek: nikogo nie powinien dziwić udział normalnych, porządných, uczciwych ludzi w działaniach i procesach, które owocują zniszczeniami, okrucieństwami, zbrodniami. Jakżeż w codziennej krzątaninie – podpisaniu zamówienia na ileś ton surówki hutniczej, drewna czy wołowiny, kupnie półproduktu od kontrahenta, negocjowaniu kontraktu z siecią supermarketów, zakupie nowego samochodu czy lodówki – dopatrywać się związku drobnej czynności, samej w sobie moralnie obojętnej, ze zbrodnią przeciwko środowisku czy zabójstwem wieśniaków w małej miejscowości na końcu świata?

Powiada Bauman: „Powiększanie się dystansu fizycznego i/albo psychicznego między działaniem a jego konsekwencją powoduje nie tylko atrofię hamulców moralnych – pozbawia działanie moralnego znaczenia i eliminuje w zarodku konflikt między osobistą postawą moralną a niemoralnością społecznych konsekwencji działania. W sytuacji, gdzie większość istotnych społecznie działań składa się z długiego łańcucha złożonych poczynań przyczynowych i funkcjonalnych, traci się z oczu wszelkie dylematy moralne, zaś okazja do istotnego i świadomego wyboru moralnego pojawia się coraz rzadziej”.

To nie sugestia, że nie ma odpowiedzialności, ani nie rada, żeby zapaść w beztroski sen. Raczej obserwacja, bez nierealistycznych oczekiwań, że dostrzeżenie własnego udziału, współwiny, wymaga wysiłku, na który mało kogo stać.

14.

Clara, bratanica José Claudia, chroni ojca przed rozmowami o śmierci brata. Gdy ojciec zaczyna o tym wszystkim mówić, o zabójstwie, o walce, jaką prowadził José Cláudio, budzą się emocje, których przez długi czas nie umie potem uciszyć. To go zabija.

Czuję, że mimo wstępów, zastrzeżeń Clara ulegnie prośbom i zaprowadzi mnie w końcu do domu rodziców. Postanawiam nie nalegać. Nie chcę, a może nie mam siły patrzeć, jak brat José Claudia i mieszkająca z nim matka ich obu będą wywoływać wspomnienia i przeżywać raz jeszcze tragedię. Nie wiem, czy bardziej chronię ich, czy siebie.

Od opuszczenia osady Praia Alta Piranheira Clara nie pojechała tam ani razu. Nie potrafiłaby spojrzeć na sąsiadów, znajomych, tak jak kiedyś. Każdego podejrzewałaby, że mógł być zamieszany w morderstwo stryjostwa. Nie zniosłaby słów i gestów współczucia, być może fałszywych. Przede wszystkim tego, że nie umiałaby odróżnić udawanych od

prawdziwych. Woli nie sprawdzać.

Boi się gniewu, żądy zemsty. Własnych emocji. Wie, że one zatruwają – nie zabójców, nie zleceniodawców, lecz ją. Stara się nad nimi panować, czasem przegrywa.

– Chcę stąd wyjechać, uciec. Tyle do przeżycia, tyle do zobaczenia...

Łzy.

15.

Lustro z innego czasu, innego zakątka. À propos odpowiedzialności.

Rok pięćdziesiąty pierwszy. Dziewiętnastoletni Szwed Sven Lindqvist, po latach sławny pisarz, płynie statkiem, który zawija do fiordu Trondheim w Norwegii. Na brzegu, w atmosferze zabawy, kiedy ktoś przedstawia go jako Szweda, miejscowa gospodyni, Norweżka, reaguje urazem. Wypomina chłopcu kolaborację jego kraju z Hitlerem: tranzyt wojsk III Rzeszy przez Szwecję do Norwegii. W czterdziestym drugim Lindqvist miał dziesięć lat. Mimo to usłyszał: „Wystarczająco dużo, żeby podzielić się łupem”. Zmieszał się, poczuł narastający gniew.

„Spotkała mnie straszliwa niesprawiedliwość. Dlaczego oskarżono akurat mnie o coś, w czym brali udział także wszyscy inni Szwedzi? Albo nie brali. Jakby to była moja wina. Jakbym to ja ponosił za to odpowiedzialność... Czekaając na załogę statku, układałem w myślach wielką mowę na swoją obronę. »Nie można winić dzieci za błędy rodziców. Każde nowe pokolenie rodzi się bez winy«”.

Po latach, w których Lindqvist pisał o kolonializmie i jego okrucieństwach, o winie i odpowiedzialności Europejczyków za zbrodnie, zniszczenia i zacofanie podbijanych krajów Południa, przyszła inna refleksja na temat przykrego zdarzenia sprzed lat.

„Dług zaciągnięty przez państwo przechodzi z pokolenia na pokolenie. Podobnie majątek narodowy, wielokrotnie przewyższający zadłużenie. Żeby być bogatym, wystarczyło urodzić się Szwedem. To, że żyłem lepiej niż mieszkaniec Konga lub Indonezji, nie było moją zasługą. Przyszedłem na świat jako spadkobierca nietkniętego wojną kraju i dobrze funkcjonującej gospodarki – mówiąc krótko, dobrze mi się powodziło, bo byłem Szwedem.

Czy mogłem więc, przyjmując dobre strony bycia Szwedem, odrzucić te złe? Dzięki dostawom rudy żelaza, zgodzie na tranzyt wojsk i inne rażące odstępstwa od polityki neutralności Szwecja zachowała dobre stosunki z Niemcami i uniknęła wojny. To, że nigdy nie przeżyłem bombardowania, ostrzałów, a nawet nie musiałem chodzić spać głodny, zawdzięczałem tchórzliwej polityce ustępstw mojego kraju. Gospodyni miała rację. Brałem udział w podziale łupu. A zatem powinienem ponieść odpowiedzialność”.

16.

Gospodyni Lindqvista mówi też do nas.

Dzięki niszczeniu lasów Amazonii, zamienianiu wolnych ludzi w niewolników, dzięki zabójstwu José Claudia, Marii, siostry Dorothy Stang, Chico Mendesa i setek lokalnych aktywistów, dzięki bezkarności zleceniodawców zbrodni, dzięki panującej wokół zabójstw ciszy, cieszymy się całkiem licznymi dostatkami: wygodnymi samochodami, stylowymi meblami, nowoczesnymi sprzętami domowymi, markowymi butami i wieloma innymi przedmiotami codziennego użytku, które uważamy za niezbędne. Brazylijczycy ponadto – szybkim rozwojem gospodarczym.

Nie pociągnęliśmy za cyngiel.

Nie widzieliśmy odległych – odległych również fizycznie, namacalnie – skutków społecznego i gospodarczego mechanizmu, w którym jesteśmy zanurzeni.

Potępiamy zbrodnie, tę i każdą następną.

A czy możemy przysiąc, że nie bierzemy udziału w podziale łupu?

17.

Laísa pakuje rzeczy na podróż do Nowego Jorku. Pierwszy raz poleci za granicę. Ma odebrać medal Forest Heroes Award, pośmiertnie przyznany Marii i José Cláudiovi przez jedną z agend ONZ.

Będzie jej towarzyszył przyjaciel zamordowanych, dziennikarz Felipe Milanez. Trzeba jeszcze tylko ekspresowo wyrobić paszport i załatwić amerykańską wizę. Pomaga Batista, biegły w załatwianiu spraw urzędowych.

Kilka dni później w biurze Batisty przeczytamy wspólnie agencyjną wiadomość o uroczystości w Nowym Jorku i odbiorze nagrody.

José Cláudio mówił: „Moja śmierć zwróci uwagę bardziej niż to, co mówię”.

To ostatnie słowa Laisy przed pożegnaniem.

18.

„Wiesz już wystarczająco dużo. Ja też. To nie wiedzy nam brakuje. Brak nam odwagi, by zrozumieć to, co wiemy, i wyciągnąć z tego wnioski”.

Sven Lindqvist

19.

Scenka nakręcona przez Felipe Milaneza:

Maria i José Cláudio przed domem w puszczy. José Cláudio krząta się w obejściu, Maria siedzi na werandzie. Mówi do kamery, że warto było walczyć o założenie osady, a potem o ochronę tego, co takim wysiłkiem zdobyli. Ryzyko? Tak, było i jest, ale ona i José

Cláudio uważają, że warto ryzykować.

Chciałaby napisać książkę. O puszczy, o jej niszczeniu, o marzeniach. Przede wszystkim – o wspólnej walce. Ktoś musi spisać credo, coś pozostawić.

– Wrócisz tu za miesiąc czy za dziesięć lat, spotkasz tych samych ludzi, tylko trochę starszych. Kiedyś nas nie będzie, będą następni. Puszcza pozostanie.

(Czy na pewno pozostanie?).

20.

Pięć miesięcy po powrocie do Polski dostaję e-mail od Batisty.

Laísa wróciła do osady Praia Alta Piranheira.

Teraz ona dostaje pogróżki...

Postscriptum

21.

Pojechałem do Maraby jeszcze raz, rok później.

Piątego kwietnia dwa tysiące trzynastego sąd stanowy skazał dwóch zabójców Marii i José Claudia. Lindonjonson Silva dostał czterdzieści dwa lata i osiem miesięcy więzienia, Alberto Nascimento – czterdzieści pięć lat. Ale w Marabie nie ma satysfakcji, że zabójców ukarano i sprawiedliwości stało się zadość. Jest frustracja, gniew i strach. Rodzina, bliscy zamordowanym osadnicy, ekolodzy, chłopci bez ziemi są przerażeni, że sąd uniewinnił zleceniodawcę zbrodni, *fazendeiro* José Rodriguesa. Dla nich to sygnał, że w Marabie, w stanie Pará wszystko toczy się po staremu.

Szefostwo miejscowej filii Amnesty International ogłosiło, że wyrok wymierzono zgodnie z „brazylijskim paradygmatem”: ukarano plotki, zleceniodawca pozostał na wolności. Nawet Maria do Rosário, odpowiadająca w rządzie federalnym za prawa człowieka, powiedziała publicznie, że „zabrakło skazania zleceniodawcy” i że „sprawiedliwość zwycięży dopiero wtedy, gdy zostanie ukarany”.

Batista jak zawsze trzyma emocje na uwięzi – chyba je wyładowuje, opowiadając o emocjach innych. Po ogłoszeniu wyroku były w sądzie okrzyki, przekleństwa, łzy, ale

tamtego dnia on, prawnik, nie chciał niczego komentować. Uniewinnienie głównego autora zbrodni było ciosem, ale dopiero po wysłuchaniu fragmentu uzasadnienia wyroku wszystkim odjęło mowę: „zachowanie ofiar przyczyniło się do popełnienia zbrodni...”.

Batista uważa, że proces nie był dysputą prawniczą o poszlakach i dowodach, lecz kruczatą ideologiczną, w której obrońcy zabójców i zleceniodawcy dyskredytowali działalność społeczną zamordowanych. „Mówili na przykład, że José Cláudio i Maria byli zacofani, przeciwni rozwojowi regionu – i że sami sprowokowali swoją śmierć. Albo niestworzone bzdury, że reprezentowali interesy Stanów Zjednoczonych i zagranicznych organizacji pozarządowych, które chcą rzekomo doprowadzić do »internacjonalizacji« Amazonii, to znaczy oderwania jej od Brazylii. Ława przysięgłych najwyraźniej uległa tej propagandzie”.

Dopiero teraz dostrzegam, że na ścianie, na tle której siedzi Batista, namalowane są słowa Marii: „Walka nie jest łatwa, gdyż obrońca środowiska jest postrzegany jako osoba zacofana. Obrońca środowiska nie ma jak prowadzić dialogu z agrobiznesem. Woda nie miesza się z oliwą. Mogę umrzeć razem z José Claudiem, jeśli będę akurat obok niego... Zawsze tam, gdzie jedno z nas, jest i drugie. Jeśli coś się stanie, stanie się obojgu”.

A dowody?

– Prócz zeznań osób, które wiedziały o pogroźkach, kluczowy był motyw. Skazani zabójcy nie znali José Claudia i Marii, nigdy się z nimi nie zetknęli, nie mieli motywu. Z całej trójki miał go jedynie José Rodrigues, który groził, że José Cláudio i Maria zapłacą wysoką cenę za to, że weszli mu w drogę.

Będzie apelacja. A co dalej...?

Żaden z nas tego nie powiedział, ale pomyśleliśmy chyba to samo: dalej będzie tak samo.

22.

Spotkanie w domu José Claudia i Marii w puszczy. Zanosiło się na to, że nie dojadę. Poprzedniego dnia lało na potęgę, ale pikap z napędem na cztery koła poradził sobie z błotem i zalewającymi drogę strumieniami; zwykły samochód osobowy ugrzązłby ze sto razy.

Obecni: brat José Claudia – Carlindo, jego siostra Claudeci z synem, dwóch przyjaciół rodziny. Jest też Clara, która rok wcześniej zarzekała się, że nigdy więcej tu nie przyjedzie – bo strach, bo nie chce patrzeć w oczy sąsiadom, być może współnikom zabójców.

Na werandzie uśmiechają się z fotografii Chico Mendes i siostra Dorothy Stang.

W domu prawie pusto, bliscy zabrali większość rzeczy. Na tyłach, gdzie José Cláudio

miął mały warsztat, pordzewiał nieużywany sprzęt do wyciskania oleju z orzechów kasztanowca.

Carlindo mieszka tu od dwóch tygodni, zostanie jeszcze tydzień. Bracia i siostry José Claudia umówili się, że ożywią to miejsce. Każdy chętny z rodziny ma tutaj pomieszkiwać przez trzy tygodnie, a jak lista się skończy, to od nowa. Praca zamordowanego brata nie może pójść na marne. „Zabili człowieka, ale jego idee żyją”. Chcą udostępnić dom na zajęcia i warsztaty: o współżyciu z puszczą, o korzystaniu z jej owoców bez zniszczeń. Będą kursy wyrabiania oleju i naturalnych kosmetyków. Następnego dnia ma przyjechać pierwsza grupa dziewczyn z Novej Ipixuny.

Jemy obiad i jest wesoło. Carlindo, podobny do brata, również fizycznie, rej wodzi w wygłupach. Dzięki temu mogę sobie lepiej wyobrazić, jaki był na co dzień José Cláudio. Jak wyglądał, jak mówił, jak się śmiał.

W chwili powagi Carlindo opowiada, że co noc w tym domu śni mu się José Cláudio, co noc znowu są razem. Sen lepszy od rzeczywistości, zbrodnia przetrąciła rodzinę.

We śnie powraca taki obraz: Carlindo jedzie razem z José Cláudio i Marią, nie wie dokąd. Przed nimi piętrzą się drzewa i zarośla, nie pozwalają przejechać.

– Jak to tłumaczysz? – przerywa Clara.

– Że podświadomość przygotowuje nas na trudne chwile, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć. To sygnał: bądźcie gotowi, wtedy pokonacie każdą przeciwność.

Clara odczytuje sen Carlinda inaczej: to zapowiedź dramatycznych wydarzeń, nic dobrego. Znak, że jeszcze długa droga i wiele przeciwności.

Na spotkaniu brakuje Laisy. Zapadła na zdrowiu, przechodzi badania w Brasilii.

„Jak mam żyć? Ten człowiek^[9] ma ziemię obok mojej. Żeby dojechać do swojego gospodarstwa, musi przejechać przez moje. Gdy wychodzi na drogę, musi minąć szkołę, w której pracuję. Ten, który jest najbardziej niebezpieczny, pozostał na wolności”, mówiła po zakończeniu procesu.

W rodzinnym sporze o sen Laísa poparłaby Clarę. Krótco przed wyrokiem dostała kolejną pogrózkę: „Jeśli ich skażą, ty będziesz następna”. Więc, jak mówi Clara, jeszcze długa droga, wiele przeciwności. Laísa nabrała pewności, że tak właśnie będzie w sądzie, słuchając, jak uniewinniają zleceniodawcę zbrodni.

Poczuła wtedy, jakby ukochaną siostrę i José Cláudio zabijano raz jeszcze.

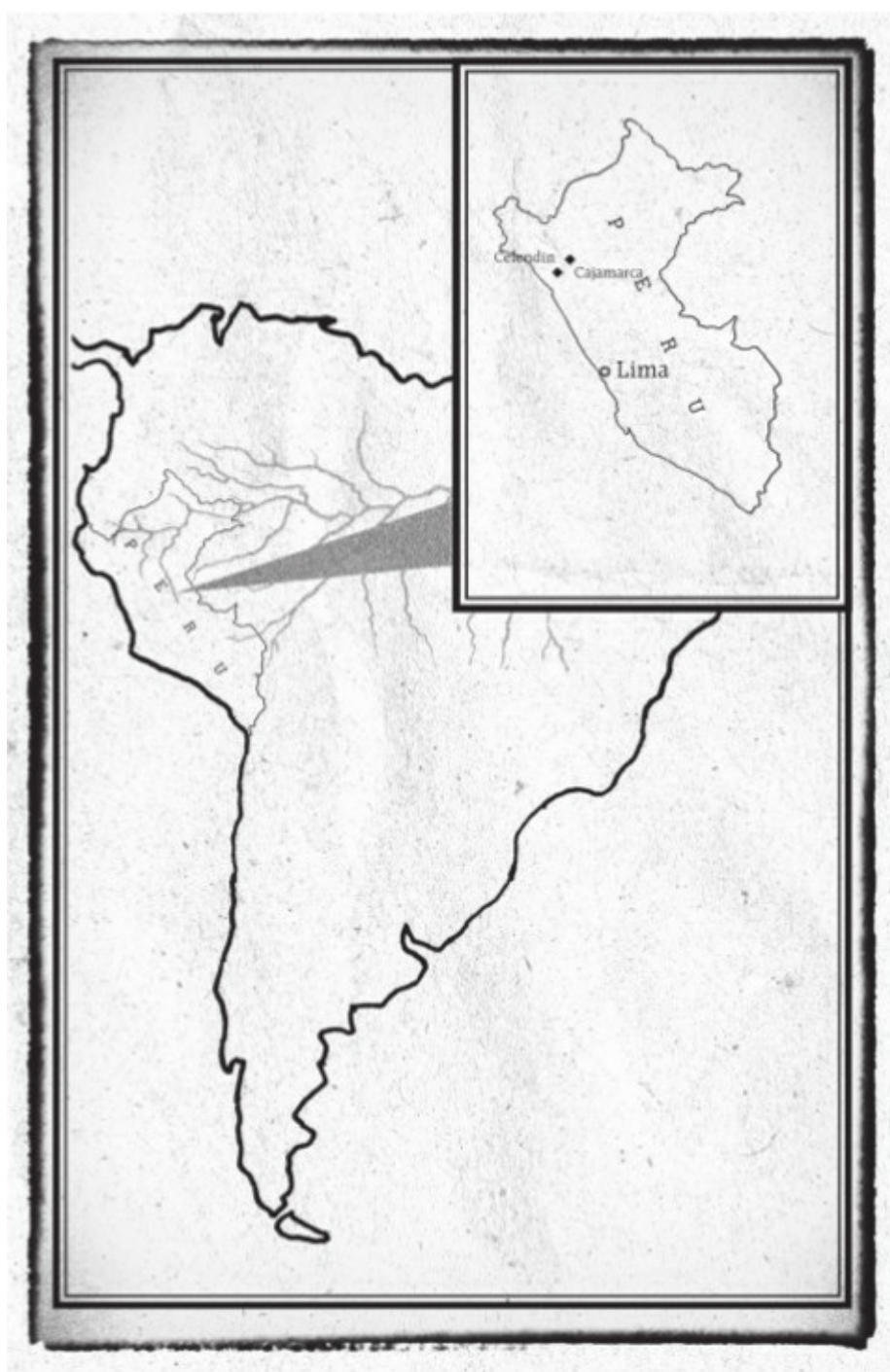
23.

W dniu, w którym ogłoszono wyrok na zabójców i uniewinniono zleceniodawcę Marabá obchodziła stulecie powstania. Gazeta „Diário do Pará” zapowiedziała na pierwszej stronie główny artykuł rocznicowy ze środka wydania *Marabá świętuje 100 lat rozwoju*.

Handel, usługi, złoża minerałów, hutnictwo i żegluga śródlądowa Araguaia – Tocantins zbudują naszą przyszłość. Przeznaczeniem Maraby jest rozwój. To optymistyczne spojrzenie na obecne stulecie jest nieprzypadkowe. Kto chodzi ulicami i ma otwarte oczy, dojdzie do podobnych wniosków. Wszystko wskazuje na to, że przedsięwzięcia, które wlokły się w dwa tysiące dwunastym, od tego roku przyspieszyły. Tak się stało z Shopping Patio Marabá, z autostradą Ferro Carajás, której długość podwojono, z wielkimi sieciami supermarketów, z Uniwersytetem Federalnym Południa i Południowego Wschodu Stanu Pará, z wydziałem medycyny Uniwersytetu Stanowego Pará i przede wszystkim z rozpoczęciem projektu żeglugi śródlądowej Araguaia – Tocantins... Wciąż jest wiele do zrobienia. Walka, której przewodzą Stowarzyszenie Handlu i Przemysłu Maraby oraz miejscowa klasa polityczna musi być teraz systematyczna, szczególnie w momencie, w którym miasto obchodzi swoje setne urodziny...

Dzień wcześniej dziennik poinformował, że Marabę odwiedził senator Jader Barbalho. Wizyta była częścią obchodów setnej rocznicy powstania miasta. Gazeta odnotowała ze szczegółami, gdzie i z kim senator się spotkał. Na lotnisku oświadczył, że wszystkim, którzy tworzyli historię miasta, należy się hołd – żyjącym i tym, co odeszli. To dzięki nim „Marabá jest dzisiaj tym, czym jest – powiedział. – To jedno z tych miejsc, które stwarzają największą nadzieję dla rozwoju Brazylii”.

Wieczorem śpiewały gwiazdy brazylijskiej muzyki pop. Mimo deszczu bulwar nad rzeką Tocantins był pełny ludzi aż do świtu. Lało się piwo, cachaça, były tańce i śpiewy. Wszędzie unosił się zapach grillowanego mięsa.



[9] Zleceniodawca zbrodni, José Rodrigues.

ZŁOTE GÓRY

„Zdobywcy weszli do miasta Cajamarca późnym popołudniem piętnastego listopada tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku. Pogoda, piękna w ciągu dnia, zepsuła się tak, że groziła burza i zaczął padać deszcz zmieszany z gradem, gdyż było niezwykle chłodno. Pizarro jednak tak bardzo pragnął upewnić się co do usposobienia Inki, że postanowił wysłać natychmiast poselstwo do jego kwatery...”. Wysłannicy Pizarra oznajmili Ince o imieniu Atahualpa, że „są poddanymi potężnego władcy królującego za morzami i pojawili się tu przyciągnięci wieściami o wielkich zwycięstwach Atahualpy, aby mu ofiarować swoje usługi i nauczyć go prawdziwej wiary, jaką sami wyznają...”.

Dobrze wiemy, co zdarzyło się potem, więc po co Milton z wioski pod Cajamarcą w kółko wraca do tej historii?

Vladimiro Montesinos, zwany peruwiańskim Rasputinem, miał osobliwe hobby: kolekcjonował kasety wideo. Nagrywał wszystkie swoje spotkania z politykami, urzędnikami, sędziami, agentami wywiadów, biznesmenami. Oczywiście, ukrytą kamerą. W jego kolekcji ponad dwóch tysięcy taśm znajduje się rozmowa, jaką odbył z wysłannikiem koncernu, który wydobywa złoto w Cajamarce.

– Teraz ma pan przyjaciela na całe życie – mówi wysłannik koncernu.

– Pan też ma przyjaciela na całe życie – odpowiada Montesinos.

Miejscowi zjechali z gór do miasta. Zajęli ulice, zablokowali na dwa tygodnie główną drogę. Koncern miał rozpocząć wydobywanie złota na świętym wzgórzu Quilish.

Miasto eksplodowało.

Ciało Edmunda Becerry, weterynarza i drobnego hodowcy, znaleziono z siedemnastoma ranami postrzałowymi. Cztery kule przebiły jamę brzuszną, sześć – prawe płuco, jedna – zewnętrzną część szyi z lewej strony, jeszcze inna utkwiała w potylicy, pozostałe zraniły inne części ciała.

Zabitemu niczego nie skradziono.

Dlaczego mieszkańcy najbiedniejszego regionu Peru nie chcą, żeby na ich ziemi wydobywano złoto, które czyni ludzi bogatymi? – pyta znany dziennikarz, chcąc obudzić

w czytelnikach dziecięce zdziwienie i ciekawość odkrywców.

Marco, czyli proboszcz zostaje buntownikiem

Najbardziej niezwykle w życiu Marca Arany jest to, że nadal pozostaje przy życiu.

Gdy chłopci przychodzili do niego – Marco był wtedy księdzem w górskiej parafii – i skarżyli się na obcych, którzy jeżdżą samochodami terenowymi po ich ziemi, wymachują bronią, straszą, rozbijają obozowisko i mówią, że ziemia należy teraz do koncernu, radził, żeby poskarżyli się w prokuraturze. Potem sam chodził z nimi na skargi do władz.

W małym mieście niejedne drzwi otwierają się przed księdzem.

Szybko dostał ostrzeżenie. Potem kolejne i następne.

Ostrzeżenia przychodziły tak: nieznajomi pili w lokalnej gospodzie, głośno rozmawiali, śmiali się, a potem wychodzili bez zapłacenia rachunku, rzucając na odchodne:

– Ksiądz za nas zapłaci, ale spieszcie się, póki jeszcze żywy.

Ktoś z miejscowych biegł wtedy na plebanię ostrzec księdza Marca. Wiadomość rozchodziła się po okolicy, a wraz z nią wśród miejscowych rozchodził się strach.

Nieznani sprawcy dzwonili i ślali e-maile z pogróżkami do współpracowniczek księdza Marca z pewnej organizacji pozarządowej. Zawierały szczegółowe opisy tego, co będą z nimi robić i w jaki sposób. Jedna z nich, Mirtha Vásquez, bała się wychodzić z domu i do niego wracać.

Potem eskalacja: pogróżki śmierci.

Mimo że między pierwszymi pogróżkami w gospodzie w górach a chwilą, kiedy rozmawiam z Markiem Araną w jego biurze w Cajamarce, minęło osiemnaście lat, wciąż musi uważać, gdzie i z kim się umawia, kogo wpuszcza do biura i kogo informuje o tym, gdzie i kiedy można go zastać.

Kilka miesięcy przed naszym spotkaniem nieznani sprawcy zasadzili się na niego na górskim odludziu, gdy jechał do innego miasta. Nie było jak zawiadomić przyjaciół, że robi się niebezpiecznie. Daleko i wysoko w Andach telefony komórkowe nie mają zasięgu. Marco wymknął się napastnikom dzięki zręczności kierowcy.

Skąd wiedzieli, że będzie tamtędy jechał? Trasę przejazdu znał tylko on, zaufany kierowca i człowiek, z którym miał się spotkać.

Teraz, kiedy rozmawiamy w siedzibie stowarzyszenia Grufides, które broni andyjskich autochtonów i otaczającej ich przyrody, Marco ma pięćdziesiąt lat i wciąż dość sił, by nie

ulec strachowi ani poddać się zniechęceniu. Duże ciemne oczy, wysokie czoło, wzrost średni, krępy. Ruchy energiczne, ale nie nerwowe. Głos niski, głęboki, delikatnie sepleni. Ubranie sportowe: dżinsy, biała koszula w niebieską kratkę, sportowa kurtka wpadająca w ciemny morski błękit.

Marco jest w trakcie rozwodu z Kościołem. Biskupi uznali go za wichrzyciela, a on sam swój związek z instytucją za toksyczny. Lata na ambonie odcisnęły swoje – Marco potrafi opowiadać. Jego zdania zawierają wszystkie informacje, dane, szczegóły potrzebne do zrozumienia kontekstu. Wywód jest klarowny. Gdyby nasza rozmowa była wywiadem do gazety, mógłbym spisać gotowe wypowiedzi, prawie bez redagowania.

Mówi spokojnie, niemal beznamiętnie, choć wszystko, o czym opowiada, burzy spokój: pogróżki, porwania, tortury, zabójstwa. Tak jak Marco opowiadają najlepsi gawędziarze i piszą najlepsi prozaicy. Im straszniej, tym język bardziej neutralny. Zwyczajne, choć niezwykajne, połączenie talentu i wieloletniej praktyki.

– Zadzwonili do mojej siostry. Nie było jej w domu, telefon odebrała siostrzenica, nastolatka. Powiedzieli, że wkrótce dostanę dwie kule w głowę. Przerazona, rozplakała się.

Potem kolejne pogróżki. I znowu. Tak bez końca.

Naprawdę, najbardziej niezwykle w życiu Marca Arany jest to, że nadal pozostaje przy życiu.

Laguny znikają, czyli o niszczeniu rajskich krajobrazów (i nie tylko)

Podniebny pejzaż, półtorej godziny drogi od Cajamarki, kolonialnego miasta w Andach, w północnym Peru, zapiera dech nie tylko dlatego, że znajduje się na wysokości czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Bezchmurne niebo ma tu niemal granatowy kolor, szczyty są ciemnozielone, woda w bajkowo wyglądających lagunach krystalicznie czysta. Ma się wrażenie, że prócz wyasfaltowanych dróg nie dotarły tu zdobycze współczesnej inżynierii i techniki, a samo oddychanie tutejszym powietrzem działa leczniczo. Ekologiczny raj.

Gdy kierowca gasi silnik samochodu, zapada zupełna cisza. Słyszeć tylko wiatr.

Laguny, w których odbija się granatowe niebo, dają życie okolicznym wioskom autochtonów i ich trzódkom kóz. Są domem dla ryb i ponad dwudziestu gatunków ptaków.

Nagle w tym dziewiczym krajobrazie wyrastają nienaturalne, gigantyczne kopce koloru piasku. Jakby na obrazie impresjonisty ktoś złośliwie domalował figury w innym stylu. Gdy do kopca podjedzie się bliżej, widać, że u jego stóp rozpościera się – wzdłuż, wszerz i w głąb – ogromny lej. Jakby spadła tu bomba wielkiego kalibru albo meteoryt.

Oto pejzaż po wydobywaniu złota.

Przyjechałem tu z Pablem Sanchezem, wysokim, zwalistym mężczyzną, trzydzieści parę lat, współpracownikiem księdza Marca (a właściwie już „tylko” Marca). O niszczeniu przyrody w regionie Cajamarki Pablo opowiada namiętnie.

– Słyszałeś o wycieku rtęci?

Tak.

– A wiesz, że mamy tutaj drugie co do wielkości złoża złota na świecie?

Wiedziałem, że duże, ale nie wiedziałem, że tak duże. Co raport, to inny ranking.

W okolicach Cajamarki znajduje się osiemdziesiąt procent peruwiańskich złóż. Najwięksi optymiści szacowali, że w całym regionie da się wydobyć nawet sześćdziesiąt milionów uncji, co przy ówczesnych cenach kruszcu dawało wartość około stu miliardów dolarów.

– A wiesz, ile gatunków ptaków tu żyje?

Możliwe, że niedługo już ich tu nie będzie...

Pablo jest Kreolem, to znaczy, że wygląda inaczej niż autochtoni, stanowiący w tej części Peru większość mieszkańców. W Cajamarce nie jest bynajmniej normą, że ludzie o białym kolorze skóry idą ramię w ramię z mieszkańcami górskich wiosek przeciwko niszczeniu środowiska przez koncerny wydobywające złoto.

Technika uzyskiwania złota ze skał wygląda w uproszczeniu tak (Pablo, który jest z wykształcenia inżynierem, objaśnia najprościej jak potrafi): górę ścina się kawałek po kawałku, a następnie draży setki metrów w głąb. Przez mielone w specjalnych młynach skały przepuszcza się roztwór cyjanku, żeby oddzielić złoto od reszty materii. Woda potrzebna do tego pochodzi z owych dziewiczych lagun. Przemielone skały tworzą monstrualnej wielkości kopce – faktycznie nowe góry, martwe, wypłukane z drobnoustrojów. Te nowe twory nie są już zielone, mają kolor piasku. Zużyta wodę oczyszcza się różnymi związkami chemicznymi, a następnie wpuszcza do rzek lub tworzy sztuczne zbiorniki.

Mieszkańcy Cajamarki i okolicznych wiosek od dwóch dekad protestują przeciwko eksploatacji złota przez międzynarodowe koncerny. Skrzykują manifestacje w stolicy regionu, blokują drogi, ślą protesty do rządu w Limie. Dochodzi do bitew z policją, co rusz wprowadza się tutaj albo znosi stan wyjątkowy. Wojsko wchodzi i wychodzi. Baczność, spocznij.

Teraz, kiedy tu jestem, konflikt rozgrywa się wokół projektu o nazwie Conga. Tym

imieniem ochrzczono nowe złóżę, które odkryto w prowincji Celendin. Szacunki: jedenaście i pół miliona uncji. Jeśli dojdzie do eksploatacji, najdalej w ciągu kilkunastu lat zniknie osiem lagun – tak jak przed laty zniknęła laguna Yanacocha, w miejscowym języku „ciemne jezioro”. Ponurym chichotem tamtego zniknięcia jest nazwa firmy, która do niego doprowadziła: lokalna odnoga amerykańskiego koncernu Newmont przyjęła imię „znikniętej” laguny.

Yanacocha-Newmont to największy producent złota w Ameryce Łacińskiej. Na projekcie Conga spodziewa się zarobić od kilku do kilkunastu miliardów dolarów. W Peru zostanie mniej niż jedna pięćdziesiąta zysku; w Cajamarce – tyle, co nic.

Pewien autochton z prowincji Celendin, którego spotkaliśmy w czasie tamtego wypadu, martwi się, że jeśli projekt Conga zostanie zrealizowany, za kilkanaście lat okoliczne wioski będą bez wody.

– Co się z nami stanie? – pyta w taki sposób, jakby wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Musi wiedzieć, że ani Pablo, ani ja nie mamy dla niego dobrych wiadomości.

Dziela i rządzą, czyli nieznani sprawcy zaprowadzają postęp

Eksplorację złota w Cajamarce koncern Yanacocha-Newmont rozpoczął w dziewięćdziesiątym trzecim, ale uzbrojeni w pistolety i karabiny nieznajomi pojawili się w wioskach dwa, trzy lata wcześniej. Zajeżdżali samochodami terenowymi, kazali skrzyknąć ludzi i mówili:

– Tutaj, na waszej ziemi, jest złoto. Jeśli nam jej nie sprzedacie, to i tak państwo wam ją zabierze.

(W Peru złoża surowców znajdujące się pod powierzchnią ziemi należą do państwa, nawet jeśli ziemia ma prywatnego właściciela).

Część autochtonów, zastraszonych, nieświadomych swoich praw ani rzeczywistej wartości ziemi, sprzedawała ją za grosze. Na przykład: sto soli za hektar, kiedy cena na rynku była dziesięć razy wyższa.

Nieznajomi z bronią wkraczali też na ziemię, której wcale nie kupili, i twierdzili, że to teraz własność koncernu. W relacjach zebranych przez miejscowych badaczy konfliktu powtarzają się wypowiedzi w rodzaju: „Wywłaszczyli ziemię całej naszej wspólnoty, w każdym razie ja niczego nie podpisywałem, nie było żadnych negocjacji”.

Niektórych autochtonów wygnał strach przed uzbrojonymi intruzami. Lokalne władze udawały, że nie widzą, co się dzieje, a gdy pojawiły się pierwsze doniesienia o bezprawnym zajmowaniu ziemi i zastraszaniu mieszkańców wiosek, ignorowały je.

Sytuacja polityczna sprzyjała biznesowi i ułatwiała tłumienie buntu. Prezydent Alberto Fujimori właśnie zawiesił parlament i zaprowadził dyktaturę, opierając rządy na wojsku i służbach specjalnych. Przeciwników porywano, torturowano, nieraz znikali na zawsze. Prasę poddano kontroli, a niepokornych dziennikarzy uciszano tak samo jak działaczy opozycji.

Pretekstem do zaprowadzenia zamordyzmu była wojna, jaką Fujimori wypowiedział partyzantce Świetlisty Szlak. Byli to maoiści: chłopci dowodzeni przez inteligentów z miast. Bardzo się różnili od innych partyzantek Ameryki Łacińskiej czasów zimnej wojny. Strzelali do władzy, ale unicestwiali też nieposłuszne swoim komendantom wioski

– zaplecze rewolucji.

Fujimori wygrał wojnę ze Szlakiem, lecz po zwycięstwie nie zamierzał ograniczać dyktatorskiej władzy. Przez blisko dekadę sprzedawał światu wizerunek Peru jako kwitnącej demokracji i gospodarki wolnorynkowej. Częścią tego wizerunku były nowe prawa regulujące eksploatację złóż i napływ inwestycji zagranicznych, przyjazne wielkiemu kapitałowi. Koncern Yanacocha-Newmont skorzystał na koniunkturze.

Lekceważenie doniesień ludzi z gór o bezprawnym zajmowaniu ziemi i zastraszaniu wiosek doskonale wpisywało się w polityczną logikę czasu.

Szefostwo koncernu wykazało się zapobiegliwością: pozyskało niektórych górali ofertami pracy. Obsługiwali przygotowania do eksploatacji złota, remontowali dziurawe drogi, świadczyli pomniejsze usługi i prace, jakie zawsze są do wykonania przy tak dużym biznesowym przedsięwzięciu. Dzięki temu zarządcy koncernu mogli twierdzić, że mają po swojej stronie część miejscowej ludności, a ci, którzy sprzeciwiają się eksploatacji złóż, postępują nieracjonalnie, albo że manipulują nimi lokalni liderzy, polityczni kombinatorzy. Może terroryści? W Peru publiczne oskarżenie o „terroryzm” lub „sprzyjanie terrorystom” jest jak piętno; dla naznaczonych może być – dosłownie – śmiertelne.

Gdy na drogach górskich pojawiły się samochody z zaciemnionymi szybami – w asyście uzbrojonych ochroniarzy i miejscowej policji – ludzie dopytywali, co się dzieje, cóż to za przybysze. Dowiadywali się, że to dyrektorzy koncernu, a jeżdżą w obstawie z obawy przed zamachami terrorystów. W rzeczywistości terrorystów, czyli Świetlistego Szlaku, nigdy w Cajamarce nie było. Poparcia tej partyzantce, która faktycznie posługiwała się terrorem, odmawiały solidarnie rady wszystkich wiosek; Świetlisty Szlak nie miał tu czego szukać.

Wielu ludzi w regionie, przede wszystkim w miastach i miasteczkach, wiązało nadzieje z pojawieniem się firmy wydobywającej złoto. Dyrektorzy Yanacocha-Newmont obiecywali przynieść andyjskiemu regionowi „postęp, nowoczesność, rozwój”. „Wszyscy myśleliśmy, że dostaniemy pracę, ludzie z miast mieli nadzieję na tworzenie małych przedsiębiorstw w sektorze usługowym” – czytam w relacji o pierwszych latach po wkroczeniu koncernu.

Tymczasem koncern Yanacocha-Newmont odtworzył znane tu od wieków paternalistyczne stosunki: bogaty pan, opiekun, dobroczyńca (a jak trzeba surowy nadzorca) *versus* biedne niewykształcone masy. Strategia była prosta: w zamian za uległość, to znaczy wyrzeczenie się protestów, koncern budował w wybranych wioskach po kilka, nawet kilkanaście tanich domków, szkółkę, boisko. Zastępował w ten sposób państwo nieobecne w andyjskich przestworzach. Celem pomocy było kupienie spokoju,

względnie pokazanie: zobaczcie, tym, co się nie burzą, żyje się lepiej. Jediną prawdziwą inwestycją firmy w rozwój była, jak opowiadają, elektryfikacja okolicy Porcón, nic więcej.

Znacznie głębiej w pamięć autochtonów zapadły inne zdarzenia.

Że koncern zamykał ludziom i trzódkom ich kóz dostęp do wody w strumieniach i lagunach, chociaż to niezgodne z prawem. Prawo własności terenu nie obejmuje lagun i strumieni, a właściciel ziemi ma obowiązek umożliwić innym korzystanie z naturalnych zasobów wody.

Że zawłaszczwał górskie drogi i ścieżki, co utrudniało komunikację między wioskami.

Że zmuszał wieśniaków do sprzedania ziemi albo żeby poszli precz.

Że ofiarą wypadków drogowych padało bydło: samochody i ciężarówki, które je rozjeżdżały, należały wyłącznie do koncernu.

Tak rodziło się poczucie krzywdy. Zabrali wodę. Zabrali ziemię. Zabijają zwierzęta. Wystraszyli i upokorzyli. Wykorzystali, oszukali.

Cajamarca się burzy, czyli jak wyhodować sobie wroga

I

Na czele pochodu kroczy śmierć żniwiarz: czarne szaty, trupia maska i kosa z napisem na ostrzu „CONGA NO VA” (Conga nie przejdzie). Dalej, w uporządkowanych szpalerach, idą demonstranci i demonstrantki w kolorowych andyjskich ponczach i słomianych kapeluszach z wysokimi cylindrami.

Wodzirej na ciężarówce rzuca przez megafon hasło. Ludzie podchwytną.

– Conga nie przejdzie!

– Woda to życie, złoto to śmierć!

– Conga nie przejdzie!

– Humala, zdrajco, kupili cię! (To o prezydencie kraju Ollancie Humali, który w kampanii wyborczej, tu w Cajamarce, obiecywał ochronę zasobów wody).

– Conga nie przejdzie!

Ktoś niesie transparent z napisem: „Dopiero kiedy człowiek zatruje ostatnią rzekę, zetnie ostatnie drzewo, zabije ostatnią rybę, uświadomi sobie, że nie da się zjeść pieniędzy”.

Na główny plac Cajamarki zjechali z gór autochtoni. Mieli po raz kolejny sprzeciwić się nowemu projektowi wydobywania złota. Mobilizacje biedoty w Peru robią wrażenie. Jest tłoczno, głośno, kolorowo. Jak blokada drogi, to na amen – nie ma sposobu, żeby przejechać. Żadnych wyjątków, chyba że dla pogotowia ratunkowego. Widziałem marsze, na czele których szli bębniarze, choć to nie fiesta, raczej pomruk ludowego gniewu. Wszędzie kolorowe, malowane i haftowane transparenty. Na niektórych widać powiększone fotografie, na innych scenki jak z komiksu. Gorzki śmiech to dobre narzędzie krytyki.

Dzień wcześniej Cajamarca była najspokojniejszym miejscem na ziemi. Kiedy wpada się tu na dwa, trzy dni, ot, żeby zwiedzić kolonialne miasteczko w Andach, można nie zauważyć, że kolorowe kamieniczki z szesnastego, siedemnastego, osiemnastego wieku stanowią scenografię jednego z największych wstrząsów społecznych w Peru ostatnich dwóch dekad. Uroda głównego placu, nieco spadzistego, zbudowanego na zboczach, gdzie miejscowi przesiadują, gawędzą, umawiają się na randki, czar zabytkowego kościoła

Świętego Franciszka, zatłoczone w dzień i niemal puste w nocy urokliwe wąskie uliczki, wreszcie opary, unoszące się nad gorącymi źródłami Baños del Inca – wszystko to zasłania przed oczami przyjezdnych rozgrywający się w tej scenerii dramat.

Demonstranci rozrzucają ulotki. „Conga jest szkodliwa, zniszczy laguny: Perol, Pedrada, Azul, Chica i Mala” – czytam w jednej z nich. Potem dowiaduję się, że zniknąć mogą jeszcze trzy inne: Honda, Seca i Alforjacocho. Dalej dopisek, że niektóre staną się gigantycznymi kraterami, a inne – zbiornikami toksycznych odpadów.

Potem przemówienia. Na platformę wychodzą przedstawiciele wiosek zagrożonych przez projekt Conga, a także ci, co zjechali w geście solidarności. Niektórych dotknęło wcześniejsze wydobywanie złota. Jedni mówią po hiszpańsku, inni w keczua. Jest Marco Arana, żywa legenda ruchów protestu w Cajamarce. Ludzie witają się z nim, ściskają, nie można się do Marca dopchać. Jest prezydent regionu Gregorio Santos, elokwentny Metys, polityk lokalnej partyjki Patria Roja (Czerwona Ojczyzna). Stoi po stronie ludzi, którzy mu zaufali. Należy do najsurowszych krytyków Yanacocho-Newmont.

Rozmawialiśmy kilka dni wcześniej: Gregorio Santos opowiadał o dewastującym wpływie koncernu na pejzaż społeczny miasta i regionu.

Przejęcie przez firmę dużych obszarów ziemi – wyjaśniał – zniszczyło tradycyjne gospodarstwa i cały tutejszy porządek społeczny. Ludzie, którzy sprzedali ziemię albo uciekli z niej i poszli pracować dla Yanacocho-Newmont, mają zajęcie tydzień, dwa, a potem tydzień, dwa czekają na kolejne zlecenia.

Miejscowi wykonują najbrudniejszą robotę: ładują skruszone za pomocą dynamitu skały na ciężarówki, sprzątają i naprawiają drogi, rzadziej pracują w ochronie. Koncern nie zleca podwykonawstwa lokalnym firmom, opłacalne kontrakty dostają biznesmani z zewnątrz. Ci z kolei często nie płacą miejscowym albo płacą grosze, co rodzi poczucie półniewolniczego wyzysku.

Wszystko kręci się wokół krótkoterminowych robót. Gdy przedsięwzięcie się kończy, robotnicy zostają na bruku. Nie mają dokąd wrócić, bo ziemię sprzedali, porzucili albo zostali z niej wygnani. Stają się włóczęgami, żebrakami, nieraz szukają ratunku w świecie występku. Wielu snuje się ulicami Cajamarki, prosząc o parę soli na zupe.

Złoto przyciągnęło do Cajamarki migrantów, także poszukiwaczy łatwego zysku. Rozkwitły burdele i kasyna. Nieraz na małej, wąskiej uliczce w centrum miasta jest ich kilka. Przed każdym domem gry stoją strażnicy uzbrojeni w pistolety i automatyczne karabiny.

W zabytkowej Cajamarce, wpisanej na listę UNESCO jako skarb ludzkości, nagle wyrosły biurowce, zmieniając pejzaż kolonialnego andyjskiego miasteczka.

Oto, zdaniem prezydenta Santosa, „postęp i rozwój”, jaki przyniósł ze sobą wielki

koncern wydobywczy. Za kilkanaście lat – jak mówi – gdy złoża się wyczerpią i biznes wydobywczy ulotni się z regionu, zostaną zgliszcza. Bo cała miejscowa gospodarka przestawiła się na obsługę firmy Yanacocha-Newmont.

Sytuacja ta zawiera paradoks: wejście koncernu zniszczyło wiele wiosek, wspólnot, tradycyjnych zawodów, lokalnych struktur w gospodarce i życiu społecznym, ale jego wycofanie się nie będzie dobrodziejstwem. Zwrotnice życia przestawiono, pozostanie pustka.

A do tego zabraknie wody.

II

Woda z naturalnych źródeł jest dla odległych społeczności Andów sercem wszystkiego. Daje życie ludziom i hodowanym zwierzętom, wokół jej zasobów tworzy się gospodarstwa. W miastach wodę ludziom do domów dostarczają wodociągi, w górach dostęp do jej źródeł naturalnych przesądza o przetrwaniu. Ponadto w wierzeniach autochtonów woda ma znaczenia sakralne.

W eksploatacji złota i innych metali, srebra czy miedzi, woda to też serce przedsięwzięcia. Bez dostępu do jej wielkich zasobów przemysł wydobywczy nie istnieje. Lokalni obrońcy środowiska wyliczają, że Yanacocha-Newmont przemiela dziennie sześćset tysięcy ton skał i kamieni. Na jedną tonę potrzeba trzech metrów sześciennych roztworu wody i cyjanku. Oznacza to, że każdego dnia koncern zużywa blisko dwa miliony metrów sześciennych wody.

Konflikt jest nieunikniony.

Znikanie lagun, wysychanie strumieni i rzek spowodowało, że do niektórych wiosek firma wodociągowa SEDACAJ dostarcza teraz wodę w cysternach. Wieśniacy, którzy od zawsze, jeszcze zanim Amerykę najechali konkwistadorzy, mieli wodę za darmo, muszą teraz płacić. Ta jedna jedyna rzecz uderza w nich ekonomicznie i rujnuje duchowo. Jest najbardziej namacalnym objawem rozpadu całego ich kosmosu. Płacić za wodę? Za najbardziej podstawowe paliwo, jakie daje każdej istocie żywej Pachamama – Matka Ziemia? Czy kiedyś ktoś zażąda, żeby płacić za powietrze?

W czasie manifestacji zagaduję ludzi o to, czy w mieście, podobnie jak w wioskach, brakuje wody.

Zoila Vizconde, lat pięćdziesiąt pięć, wyrzuca z siebie złość i frustrację: płaci za wodę sto pięćdziesiąt soli miesięcznie (peruwiański sol jest nieco mocniejszy od polskiej złotówki). To kilkakrotnie więcej niż dziesięć, piętnaście lat temu. I ma ją w kranie przez dwie, trzy godziny dziennie. Zużycie zasobów wody przez kopalnie złota sprawia, że miejscowe wodociągi regramentują wodę. W niektórych dzielnicach jest ona do pierwszej po południu,

w innych od piątej do ósmej rano, a potem wieczorem od szóstej do siódmej. Pani Vizconde ubolewa, że to, co płynie z kranu, ma podły smak i zawiera podobno substancje toksyczne, lecz nie zna szczegółów.

Próbuję sprawdzić tę wiadomość, ale nie u oburzonych na ulicach. „La República”, jedyna ogólnokrajowa gazeta, która zachowuje dystans zarówno do władzy, jak i wielkiego biznesu, ustaliła, że doniesienia o toksycznych substancjach w wodzie z kranów w Cajamarce sięgają końca lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to badacze z miejscowego uniwersytetu zawiadomili stację uzdatniania wody El Milagro, że znaleźli niepokojące ilości sześciowartościowego chromu, manganu, żelaza, miedzi i cyjanku. Woda uzdatniana w tej stacji pochodzi z Rio Grande, głównej rzeki w regionie. Władze lokalne i firma obsługująca wodociągi przeprowadziły badania, które – jak poinformowano oficjalnie – nie dały jednoznacznych wyników. Gazeta napisała, że nawet dyrektorzy Yanacocha-Newmont, którzy zawsze mówią, że wodę używaną do wydobycia złota oczyszcza się i dopiero oczyszczoną wpuszcza z powrotem do rzek, nie byli pewni stanu jej czystości. W dwa tysiące piątym w szkole Davy College, w której uczyły się dzieci pracowników koncernu, pojawiły się plakaty z ostrzeżeniami po angielsku i hiszpańsku, żeby nie pić kranówki.

Ostatnie duże badania wody przeprowadzano tu w dwa tysiące dziesiątym i wyszło, że woda, która płynie z kranów w Cajamarce, zawiera trihalometany. Są to substancje toksyczne, które nie ulegają biodegradacji i powodują raka. Jeden z dawnych szefów wodociągów ostrzegał publicznie, że ludzie nie powinni pić tej wody. Natychmiast pojawiło się dementi, prokuratura wszczęła śledztwo, które administracyjnie „oczyściło” wodę z zarzutu niezdatności do picia.

„La República” nie zadowolila się oficjalną gadką i ustaliła, że nie wszyscy w mieście korzystają z wody pochodzącej z Rio Grande. Mieszkańcy luksusowej dzielnicy Baños del Inca, gdzie osiedliła się większość kadry zarządzającej Yanacocha-Newmont, piją wodę, która płynie do ich kranów z krystalicznie czystych, nietkniętych przez koncern źródeł na pobliskim wzgórzu Shahullo.

Conga no va! Conga no va!

III

Ten mieszkaniec wioski w prowincji Celendin, którego spotkałem z Pablem Sanchezem, ma na imię Milton. Teraz widzę go jako jednego z animatorów marszu. Po demonstracji daje się wyciągnąć na rozmowę, która potrwa do późna. Milton cieszy się, że tym razem było spokojnie, to znaczy policja nie zatrzymała nikogo, a on wróci na noc do wioski. Kilka miesięcy wcześniej, w czasie jednej z demonstracji, został pobity pałkami i przesiedział

w areszcie kilka dni i nocy.

Dla badacza konfliktu czy przybysza z daleka, takiego jak ja, Milton jest rozmówcą idealnym. Uosabia zarówno „ogólny” gniew autochtonów przeciwko praktykom koncernu Yanacocha-Newmont, jak i „szczególny” przeciwko projektowi Conga – mieszka w wiosce, którą dotknie eksploatacja nowych złóż. Przeczy wyobrażeniom, jakie człowiek miastowy, na przykład z Limy albo z Warszawy, może mieć o chłopskim przywódcy z dalekiej andyjskiej osady. Zaraz na początku wyciąga z plecaka laptop, otwiera gotową prezentację w PowerPoincie i objaśnia jak zawodowy wykładowca w czym rzecz.

O wielu zdarzeniach słyszałem wcześniej, ale dopiero teraz mam okazję zobaczyć fotografie lagun, które istniały jeszcze kilkanaście lat temu, i fotografie pustej przestrzeni, jaka po nich została. Milton ma w laptopie prawie wszystko, co dotyczy konfliktu z koncernem.

Na początku plansza z argumentami przeciwko projektowi Conga:

– Celendin i okolice to początek dorzecza lokalnych rzek i strumieni, obszar wysoce wrażliwy;

– projekt zaszkodzi zaopatrzeniu wiosek w wodę;

– to obszar pod ochroną;

– nadużycia popełnione w przeszłości przez koncern Yanacocha-Newmont;

– konsultacje społeczne przeprowadzono w sposób wadliwy.

Nie znam okoliczności ostatecznej sprawy. Milton wyjaśnia: władze koncernu konsultowały się z mieszkańcami, unikając obszarów, które będą poszkodowane najdotkliwiej. Najpierw przez trzy lata ukrywano, że to Yanacocha-Newmont realizuje projekt Conga. Ludzie koncernu wiedzieli, że autochtoni reagują wrogo na samą nazwę firmy. Gdy nie dało się dłużej ukrywać, kto stoi za projektem, i gdy rozpoczęły się protesty, władze koncernu schowały głowę w piasek – obawiały się konfrontacji z miejscowymi. Mimo kilkakrotnych zaproszeń, przedstawiciele Yanacocha-Newmont nie pojawiali się na zebraniach mieszkańców i nie próbowali ich przekonać do projektu. A gdy wreszcie doszło do spotkania, koncern dowoził autokarami ludzi z innych regionów: mieli oni odegrać rolę autochtonów zwolenników projektu Conga. Na miejscu dowożeni odmawiali okazania dokumentów tożsamości.

Cały ten projekt, mówi Milton, jest sprzeczny z prawem. Na dowód pokazuje fragmenty ustaw o wodzie i ochronie środowiska. Prawo nakazuje chronić „wrażliwe ekosystemy”, w tym laguny. Zabrania prowadzenia działalności, która mogłaby naruszyć ich stan. Podobne zakazy zawarte są w rozporządzeniach władz regionalnych.

Piorunujące wrażenie robi fotografia czterech rur, z których do suchego koryta Rio Grande gdzieś wysoko w górach wpompowywana jest woda używana wcześniej do

wyplukiwania złota ze skał. Władze koncernu twierdzą, że jest całkowicie czysta.

Zatrzymujemy się na dłużej przy zdjęciu kobiety z bliznami na dłoniach i wyżej na rękach. Ma tylko cztery palce całe, cztery kikuty, dwóch brakuje całkowicie; widać rany na skórze – straszną pamiątkę po wycieku rtęci w wiosce Choropampa. Zdarzenie wstrząsnęło autochtonami, zostawiło rany widoczne nie tylko na rękach anonimowej kobiety; również w pamięci miejscowych. Było tak:

Drugiego czerwca dwutysięcznego roku na drodze łączącej Cajamarcę i Pacasmayo doszło do wypadku ciężarówki. Z plastikowych baniaków wylało się sto pięćdziesiąt jeden kilogramów rtęci, która jest ubocznym produktem eksploatacji złota. Baniaki wieziono na odkrytej platformie. Na wieść o wypadku ludzie z wiosek San Juan, Magdalena i Choropampa ruszyli zbierać rozlaną substancję, przekonani, że to drogocenny kruszec. Władze Yanacocha-Newmont zachęcały wieśniaków do starannego zbierania, obiecując nagrody dla tych, którzy dostarczą największą ilość zguby. W kilkuset domostwach przechowywano w różnego rodzaju pojemnikach zebraną z drogi rtęć. Doszło do poparzeń, ciężkich zatruc i zachorowania ponad trzystu osób.

Koncern zrzucił winę na podwykonawcę – zakontraktowaną firmę transportową. Zgodził się pokryć część kosztów leczenia chorych i poranionych, ale odmówił wypłaty odszkodowań, a w charakterze rekompensaty sfinansował budowę paru boisk. Lidera poszkodowanych, młodego burmistrza Lota Saavedrę, który stawiał koncernowi żądania w imieniu autochtonów, oskarżono o „zamach na własność prywatną” i „zakłócanie porządku publicznego”. Było to pod sam koniec dyktatury Fujimoriego, choć – jak się okazało później – rządy demokratyczne podobnie traktowały protesty przeciwko ekspansji firmy. Rząd zalecił koncernowi, żeby substancje niebezpieczne dla życia, zdrowia i środowiska transportowano w ciężarówkach zamkniętych oraz w pojemnikach z ołowiu.

Wyciek rtęci był – jak mówi Milton – przełomem: ludzie zaczęli się organizować. Zobaczyli, że ich zdrowie, życie, bezpieczeństwo dla nikogo, prócz nich samych, się nie liczą. Dyrekcja koncernu okazała im lekceważenie. Poczuli się upokorzeni. Dzięki wypadkowi autochtoni zyskali świadomość tego, co się wokół nich dzieje i co im grozi, jeśli pozostaną bierni.

Milton zwraca uwagę na jeszcze jeden – jak się wkrótce przekonam – powracający motyw tej historii: splot niejawnych działań koncernu, interesów ludzi władzy, intryg rozmaitych służb i wpływowych grup, nie tylko peruwiańskich. Podaje przykład niejakiego Felipe Ramireza del Pino, urzędnika ministerstwa energii i kopalń. Człowiek ten w imieniu władz Peru złożył podpis pod raportem *Estudio del impacto ambiental*, analizującym wpływ projektu Conga na środowisko, dodajmy: raportem korzystnym z punktu widzenia interesów koncernu. Przez trzy lata był jednym z dyrektorów

w Yanacocha-Newmont. Prosto z firmy przeszedł do ministerstwa i jako funkcjonariusz państwowy złożył podpis pod raportem przychylnym dla byłego pracodawcy.

Wyjątek to czy metoda zaskarbiania przychylności władz państwowych?

Przyjaciele na całe życie, czyli jak się zdobywa dostęp do surowców

I

– Możesz być najbardziej utalentowanym handlarzem surowców na świecie, ale nic nie wskórasz, jeśli nie będziesz znał ludzi, którzy mają dostęp do źródeł surowców. Taką radę wygłasza jeden z bohaterów dziewiętnastowiecznej powieści Charlesa Levera o narodzinach potęgi koncernu Glencore, jednego z największych na świecie w sektorze wydobywczym. Zasadę tę znają i z sukcesem realizują właściciele Yanacocha-Newmont.

Ludzie w Cajamarce, wioskowe autorytety, obrońcy środowiska, wściekli na praktyki koncernu, wiele opowiadają o tym, jak firma korumpowała i korumpuje władze – tu, w mieście, i w stolicy. Marco Arana wie, że opowieści nasycone silnymi emocjami nie zawsze brzmią przekonująco. W jego biurze wisi na ścianie oprawiony w antyramy obszerny artykuł z „New York Timesa” – *Tangled Strands in Fight Over Peru Gold Mine* (Splątane nici w walce o peruwiańskie kopalnie złota). Marco zachęca do lektury z dziwnym uśmiechem na ustach. Dopiero potem zrozumie, że był to uśmiech kogoś, kto wie, jak wygląda mina każdego niedowiarka po przeczytaniu tekstu w najbardziej prestiżowej gazecie w Stanach Zjednoczonych.

Streszczam niektóre wątki:

Koncern Yanacocha-Newmont powstał jako porozumienie trzech partnerów: amerykańskiej firmy Newmont, peruwiańskiej – Buenaventura i francuskiego przedsiębiorstwa państwowego Bureau de Recherches Géologiques et Minières (BRGM). Później dołączyła jeszcze International Finance Corporation – ramię inwestycyjne Banku Światowego, przejmując pięć procent udziałów. Żaden z partnerów nie miał kontrolnego pakietu akcji. Po pewnym czasie Francuzi postanowili sprzedać udziały australijskiej firmie wydobywczej Normandy Poseidon. Newmont i Buenaventura zgłosiły weto. Sprawa trafiła do sądu. Zarządy Newmonta i Buenaventury powołały się na ustalone zawczasu prawo sprzeciwu w tego typu sytuacjach. Główne skrzypce grał tutaj Newmont dążący do zdobycia dominującej pozycji w koncernie i niechętny dopuszczeniu nowego partnera z branży. Początkowo wszystko wydawało się proste, sądy dwóch instancji orzekały po

myśli Newmonta. Szefowie firmy zaniepokoiли się, gdy sprawa trafiła do Sądu Najwyższego. Doszły wieści o presji francuskiego rządu na peruwiańskie władze i wymiar sprawiedliwości.

„New York Times” stwierdza, że z dokumentów i rozmów z uczestnikami wydarzeń wyłania się obraz trzyletnich nacisków i pogroźek ze strony Normandy, potencjalnego nabywcy udziałów, oraz rządu w Paryżu. Francuscy emisariusze mieli nawet grozić władzom Peru konsekwencjami, jeśli w wyniku procesu sporne udziały w koncernie dostałyby Newmont. Prezydent Jacques Chirac napisał list do prezydenta Alberta Fujimoriego, w którym domagał się jego osobistej interwencji w sprawie. Z kolei ambasador Francji w Peru sugerował publicznie naciski Amerykanów.

Dyrekcja Newmonta nie siedziała beczynnie: wynajęła człowieka, który miał dotrzeć do „ludzi z dostępem do źródeł surowców” – by posłużyć się określeniem z dziewiętnastowiecznej powieści. Człowiekiem tym był Lawrence T. Kurlander, lat pięćdziesiąt sześć, były prokurator i doradca gubernatora stanu Nowy Jork. Posadę wysokiego funkcjonariusza w Newmoncie dostał nie dlatego, że znał się na branży wydobywczej, lecz dzięki politycznym koneksjom oraz zręcznemu poruszaniu się w korytarzach władzy i wielkiego biznesu. Kurlander powiedział „New York Timesowi”, że w zapasach z Francuzami Newmont był w gorszej sytuacji, ponieważ prawo amerykańskie zabraniało wręczania łapówek urzędnikom innych państw, a prawo wielu krajów europejskich, w tym Francji, nie znało takiego zakazu, przynajmniej w latach dziewięćdziesiątych.

Na zlecenie pracodawcy Kurlander pojechał do Waszyngtonu, żeby szukać politycznego wsparcia. Lobbng był na tyle skuteczny, że w październiku dziewięćdziesiątego siódmego podsekretarz stanu do spraw gospodarczych Stuart E. Eizenstat napisał list do szefa peruwiańskiego rządu, w którym nalegał na bezstronne rozpatrzenie sprawy. Był też kij: niekorzystny dla Newmonta wyrok sądu miał zaszkodzić dalszym inwestycjom amerykańskim w Peru.

Trzy miesiące później trzech sędziów Sądu Najwyższego we wstępnym głosowaniu opowiedziało się po stronie Francuzów, dwóch – po stronie Newmonta. W tej sytuacji, o krok od porażki Amerykanów, Kurlander i Alberto Benavides, szef peruwiańskiej odnogi koncernu, zwrócili się o pomoc do człowieka numer jeden w Peru, prezydenta Fujimoriego. Biuro prezydenckie wysłało im nieoficjalny sygnał, że to zły adres: o sprawie należy rozmawiać z Vladimirem Montesinosem.

II

Życiorysu Montesinosa nie zdołałby wymyślić nawet Mario Vargas Llosa. Były kapitan

peruwiańskiej armii, skazany przed laty za sprzedanie CIA tajemnic wojskowych dotyczących zakupu przez Peru radzieckiej broni, agent amerykańskich służb wywiadowczych, adwokat, który bronił handlarzy narkotyków... W czasie kampanii wyborczej Montesinos wybawił z kłopotów przyszłego pryncypała, Fujimoriego, którego podejrzewano o oszustwa podatkowe. Spowodował, że świadkowie wycofali zeznania, a śledztwo umorzono. Po wyborach Fujimori odwdzieczył się, mianując Montesinosa szefem wywiadu. Ten, mając do dyspozycji tajne służby, zastraszył i skorumpował całą elitę polityczną kraju.

Przez niemal całe lata dziewięćdziesiąte duet Fujimori – Montesinos rządził za pomocą fałszerstw, szantaży, tortur, skrytobójstw. Śledztwa w sprawie niewyjaśnionych morderstw umarzono. Oponenci uciekali z kraju. Na nieuczciwych prywatyzacjach tuczylili się członkowie rządowej mafii. Sam Montesinos czerpał korzyści z handlu narkotykami, który oficjalnie, w ścisłej współpracy z DEA (Drug Enforcement Administration)^[10], zwalczał. Był zamieszany w szmuglowanie broni z Bliskiego Wschodu dla kolumbijskiej partyzantki FARC (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia; Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii)^[11], oficjalnie zaś pomagał Wujowi Samowi walczyć z czerwonym wrogiem.

Już po upadku reżimu w domu Montesinosa odkryto tajne archiwum kaset wideo – ponad dwa tysiące taśm – na których peruwiański Rasputin, jak go nazwano, nagrywał spotkania z politykami, biznesmenami, wojskowymi, dziennikarzami, a w czasie tych spotkań korumpował swoich gości. Emisja nagrań w telewizji była szokiem dla okłamywanego przez dziesięć lat społeczeństwa. Okazało się, że nawet niektórzy zagorzali przeciwnicy reżimu siedzieli u Montesinosa w kieszeni.

Reżim Fujimoriego – Montesinosa upadł od jednej takiej kasety. Miliony Peruwiańczyków zobaczyły w telewizji, jak Montesinos przekupywał kongresmena. Nagranie było kostką domina... Fujimori uciekł do Japonii, Montesinos zniknął. Miał otrzymać azyl w Panamie, lecz okazało się, że kraj ten nie chce dłużej służyć za przechowalnię bandziorów i pozbył się kłopotliwego gościa. Montesinos wrócił na krótko do Peru, a potem znów musiał uciekać. Skrył się w biednej dzielnicy Caracas, w Wenezueli. Opowiadano niestworzone historie o jego operacjach plastycznych i kolejnych wcieleniach. Odgrażał się z wygnania, że wróci i zemści się na wrogach. Schwymano go w Wenezueli, odesłano do ojczyzny i tam zasiadł na ławie oskarżonych. Trafił też na nią Fujimori, który nieostrożnie wybrał się w podróż do Chile, gdzie został zatrzymany i wydany peruwiańskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

Z „New York Timesa” ciąg dalszy:

Gdy Lawrence T. Kurlander jako przedstawiciel Newmonta szedł na rozmowę z Montesinosem, mógł nie słyszeć o skrytobójstwach i paru innych grzechach peruwiańskiego Rasputina, ale wiedział wystarczająco dużo; na przykład – o zamknięciu stacji telewizyjnej należącej do peruwiańsko-izraelskiego biznesmana Barucha Ivchera, która demaskowała związki Montesinosa z handlarzami narkotyków i jego korupcyjne uwikłania. Na marginesie: CIA płaciła Montesinosowi milion dolarów rocznie za pomoc w walce z narkobiznesem. W rozmowie z „NYT” Kurlander otwarcie przyznał, że miał świadomość, jakiej kategorii postacią jest szef peruwiańskich służb specjalnych – „skrajnie zły człowiek” – choć tłumaczył się, że skala korupcji i łamania praw człowieka w Peru nie była mu wówczas znana.

Dzięki taśmom Montesinosa wiadomo, jak przebiegała rozmowa. Kurlander opowiedział swemu gospodarzowi, że działa we współpracy z CIA, i dał do zrozumienia, że jego misja jest reakcją na naciski Francuzów. Obiecał szefowi wszystkich szpicli w Peru, że uspokoi środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych i za granicą – domyślamy się, że chodziło o uciszenie krytyki, którą wywołało zamknięcie telewizji Barucha Ivchera. Montesinos pospieszył ze swoją ofertą:

– Powiedz mu [Kurlanderowi] – zwraca się do tłumaczki – że pomogę mu z głosowaniem [w Sądzie Najwyższym].

– Teraz ma pan przyjaciela na całe życie, mówi Kurlander.

– Pan też ma przyjaciela na całe życie – odpowiada Montesinos.

Następnie Montesinos rozmawia po hiszpańsku z niezidentyfikowanym mężczyzną: zastanawiają się, na kogo trzeba wpłynąć. Tłumaczka informuje Kurlandera, że skoro pragnie pomóc jej szefowi, nie oczekując nic w zamian, to on pragnie odplacić się tym samym.

– Doceniam to – mówi Kurlander.

– Za miłość płaci się miłością – wykrzykuje Montesinos.

Przez następnych kilka tygodni nic się nie działo. Kurlander obawiał się, że sprawa została przegrana. Do lobbingu na rzecz Newmonta włączył się wysoki urzędnik sekretariatu stanu USA Peter Romero. Dwukrotnie dzwonił do Montesinosa. Jak wyjaśniał potem reporterowi „New York Timesa”, chciał zneutralizować działania Francuzów i pokazać rządowi w Limie, że Waszyngton monitoruje sprawę. (Dwa i pół roku później urzędnik ten został konsultantem Newmonta w Peru). Montesinosa odwiedził w tamtym czasie rezydent CIA w Limie Dan Arabian, który uzyskał zapewnienie, że władze Peru nie pozwolą Francuzom na stosowanie „wymuszeń, szantaży i innych gangsterskich metod”.

Tymczasem do składu Sądu Najwyższego powołano nowego sędziego, a kolejne głosowanie zakończyło się remisem: trzy głosy przeciwko trzem. Jak przełamać pat? Powołać jeszcze jednego sędziego. Został nim Jaime Beltrán. Teraz do akcji wkroczył Montesinos. Zaprosił sędziego Beltrana na rozmowę. Jak prawnik z prawnikiem rozgadał się o dylematach towarzyszących uprawianiu zawodu, konieczności zachowania dystansu, ale... nie w tej jednej sprawie. Tutaj chodzi o interes narodowy – mówił – a Stany Zjednoczone są gwarantem naszych granic w konflikcie zbrojnym z Ekwadorem. Montesinos niczego otwarcie nie narzucał, nie padła propozycja łapówki. W pewnej chwili zapytał tylko Beltrana o jego aspiracje zawodowe. Ten miał ambicję zasiąść w Sądzie Konstytucyjnym. Haczyk został połknięty.

– W porządku, doktorze, ma pan przyjaciela – mówi sędzia Beltrán.

– Mój drogi Jaime, miło cię widzieć, bracie – odpowiada Montesinos i zapewnia gościa, że wkrótce zostanie przeniesiony do Sądu Konstytucyjnego.

Newmont i Buenaventura wygrały głosowanie cztery do trzech i dostały prawo odkupienia akcji francuskiego partnera za około sto dziesięć milionów dolarów – po cenie z dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy koncern zaczynał wydobyć złota w Cajamarce. Gdy finalizowano transakcję, ich cena rynkowa była pięciokrotnie wyższa.

Po latach każdy z zamieszanych w tę historię zrzuca winę na kogo innego. Kurlander, świadomy zniszczeń środowiska, nadużyć i brudnych gier koncernu, tłumaczy się, że nawet rząd USA zalecał prowadzenie rozmów z Montesinosem. Mówi, że tylko Montesinos był w stanie przechylić szalę na korzyść firmy amerykańskiej. Peruwiański partner Newmonta twierdzi, że nic nie wiedział o misji Kurlandera. A Departament Sprawiedliwości USA wszczął śledztwo mające ustalić, czy doszło do wręczenia łapówki (Kurlander zarzeka się, że absolutnie nie). Śledztwo umorzono z powodu przedawnienia i obstrukcji ze strony władz Peru.

[10] Agencja podlegała rządowi Stanów Zjednoczonych, powołana w 1973 roku do walki z narkotykami.

[11] Utworzona w 1964 roku organizacja partyzancka, związana z partią komunistyczną.

Święte wzgórze Quilish, czyli lud walczy o swoje

Wrzesień dwa tysiące czwartego. Rekonstrukcja zdarzeń.

Dzień pierwszy

Okolo dziesiątej rano dwa tysiące autochtonów zajęły wzgórze, na którym koncern Yanacocha-Newmont ustawił już maszynię do eksploatacji nowego złoża. Dyrekcja firmy wezwała policję i zażądała usunięcia „intruzów”. Gdy prosi Yanacocha-Newmont, policja w Cajamarce reaguje natychmiast. Przeciwno zbuntowanym ruszyło stu dwudziestu policjantów. Zajechali ciężarówkami, w asyście huczących nad głowami helikopterów. Policjanci wystrzelili naboje z gazem łzawiącym. Gdy tłum okupujący wzgórze zaczął się rozpraszać, ruszyli z pałkami. Demonstranci również byli uzbrojeni – w kije, pałki, kamienie. Doszło do gigantycznej bijatyki. Dziesiątki uczestników miały porozbijane głowy i poranione kończyny – zarówno policjanci, jak i zbuntowani. Okolo czwartej po południu autochtoni wycofali się na szosę, która łączy Cajamarcę z Bambamarcą, gdzie od rana ich towarzysze rozpoczęli blokadę głównej drogi w regionie. Blokada sparaliżowała prace wydobywcze koncernu.

Wściekłość miejscowych narastała od czasu wycieku rtęci w Choropampie. W marcu dwa tysiące pierwszego górale z Bambamarki, prowincji sąsiadującej z Cajamarcą, zablokowali drogę w proteście przeciwko zanieczyszczaniu środowiska. Blokada trwała tydzień. Bezpośrednim powodem protestu było wymieranie pstrągów w stawach hodowlanych, żab, a także nagłe, coraz częstsze przypadki padnięcia kóz, lam i krów.

Eksperci koncernu i miejscowych władz podważali oskarżenia autochtonów. Mówili, że wymieranie pstrągów mogły spowodować czynniki niezwiązane z wydobywaniem złota, że pstrągi to ryby wymagające nadzwyczaj czystej wody i nawet nieznaczna zmiana warunków w środowisku mogła spowodować ich zagładę. Nie dało się zakwestionować, że wydobywanie złota zmienia warunki. Wyszczepienie skał wprowadza do atmosfery wiele metali, które opadają z powietrzem i deszczem do lagun, stawów, rzek, strumieni.

We wrześniu tego samego roku pojawiła się plotka, która wywołała panikę: w niektórych domostwach w Cajamarce zauważono małe kuleczki rtęci, które spływały z wodą z kranu. Firma obsługująca wodociągi natychmiast wydała zalecenie, by nie pić tej

wody, nawet po przegotowaniu. Komunikat spotęgował panikę, ludzie wyszli na ulice. Zebrani przed główną siedzibą koncernu chcieli spalić bramę. To samo próbowali zrobić przed siedzibą wodociągów Sedacaj. Eksperci szybko ogłosili, że pojawienie się rtęci w postaci stałej w wodzie z kranu jest fizycznie niemożliwe, a zatem to plotka, należy zachować spokój. Inni twierdzili, że tak się może zdarzyć, ale tylko w szczególnych warunkach, więc mało prawdopodobne. Prokuratura wszczęła śledztwo, po którym całkowicie uwolniła koncern od zarzutów.

Kolejne wypadki, takie jak wyciek ropy w dystrykcie Tembladera – sprawcą była firma naftowa Mobil dostarczająca paliwo dla Yanacocha-Newmont – umacniały wśród ludzi przeświadczenie, że koncern niszczy ich życie. Na dodatek – dzięki wsparciu władz państwowych – robi to całkowicie bezkarnie. Gdy więc ministerstwo energii i kopalń przyznało koncesję na eksploatację złóż złota na wzgórzu Quilish (szacunkowo: ponad trzy i pół miliona uncji), autochtoni zaczęli się organizować.

Między wzgórzami Quilish i Quinoa przepływa Rio Grande, rzeka, która dostarcza Cajamarce siedemdziesiąt procent wody. Na stokach Quilish mieszka pięćset rodzin żyjących z hodowli. Na samym wzgórzu nie ma żyznej ziemi, która sprzyjałaby uprawom. Tamtego roku region dotknęła susza, jakakolwiek działalność naruszająca i tak skąpe zasoby wody musiała stać się iskrą podpalającą lont.

Dzień drugi

Lokalne gazety przywitały poranek tytułami w rodzaju *Policja masakruje wieśniaków*. Dziesiątki aresztowano i raniono. Brutalność służb porządkowych oburzyła mieszkańców miasta i zrodziła poczucie, że władza w obronie prywatnej firmy nadużyła siły. A to zaowocowało eksplozją postaw solidarnościowych.

W krótkiej historii protestów przeciwko firmie Yanacocha-Newmont nastąpił przełom: do tej pory protestowali górale, wieśniacy, teraz przeciwko firmie zwróciło się miasto.

Na scenę wkraczają studenci i licealiści, zajmują budynki i sprzęt stacji uzdatniania wody, następnie odcinają miastu wodę. Chcą, żeby mieszkańcy Cajamarki weszli w buty protestujących wieśniaków. Zobaczcie, jak wygląda życie bez wody. Ludzie na wsi zmagają się z jej niedostatkiem od lat.

Do protestu przyłączają się związki zawodowe, działacze lokalnych partii politycznych, ekolodzy. Jednym z nich jest ksiądz Marco Arana i jego organizacja Grufides.

Dni trzeci i czwarty

Działacze organizacji pozarządowych dostarczają żywność uczestnikom blokady. Główny jej punkt znajduje się trzydzieści kilometrów od Cajamarki. Przyjeżdżają delegacje

z miasta ze słowami poparcia i solidarności. To ważne, bo policja co rusz straszy zbuntowanych brutalną akcją i dalszymi konsekwencjami.

Miejscowi prawnicy spieszą z pomocą aresztowanym i upominają się o rannych w szpitalach.

Marco Arana przekonuje protestujących, by nie szukali odwetu, bo policja jest lepiej uzbrojona, lepiej przygotowana do starcia, skuteczniejsza. Rozlew krwi zostawi rany, które mogą się nie zagoić. Unikajmy nieodwracalnego.

Marco wyrasta na głównego mediatora między buntownikami a władzą.

Początkowo wieśniacy nie chcą negocjacji. Domagają się wycofania koncesji na eksploatację wzgórza Quilish natychmiast, bez dodatkowych warunków. Wielokrotnie oszukiwani nie ufają władzom, obawiają się, że negocjatorzy pójdą na niejawne układy, dlatego chcą uzgodnień na miejscu blokady.

Marcowi Aranie udaje się ich przekonać: będzie rozmawiał z policją i władzami swobodnie, bez presji.

Dzień piąty

Do Cajamarki przyjeżdża delegacja rządowa. Spotyka się z przedstawicielami zbuntowanych. W czasie rozmów obecni są dowódcy policji, władze lokalne, przedstawiciele Yanacocha-Newmont i Marco Arana.

Marco przedstawia racje protestujących: niech rząd cofnie koncesję, żadna inna decyzja nie zakończy blokady. Okazuje się, że wycofanie koncesji jest prawnie niemożliwe, można ją jedynie zawiesić. Ale zawieszenie może być permanentne. Jak wyjść do rozwścieżonych ludzi i tłumaczyć im niuanse prawa? Reakcja jest do przewidzenia: odbiorą to jako kolejne kręctwo władz.

Na miejsce blokady przyjeżdżają przedstawiciele rządu, chcą na własne oczy przekonać się o temperaturze protestu. Obiecują wrócić tego samego dnia, ale nie dotrzymują słowa. Informują rząd centralny w Limie, że w Cajamarce nie ma atmosfery sprzyjającej kompromisowi. Zbuntowani odbierają to jako lekceważenie i brak woli do wysłuchania ich racji.

Zarządcy Yanacocha-Newmont obiecują wstrzymać eksploatację wzgórza Quilish i przeprowadzić badania hydrologiczne. Zbuntowani powtarzają: interesuje nas tylko anulowanie koncesji.

Dzień szósty

Buntownicy wzywają do strajku regionalnego nazajutrz. Ulicami Cajamarki przechodzi marsz protestacyjny. Do ruchu społecznego sprzeciwu przyłączają się władze lokalne,

które do tej pory grały na dwa fronty: próbowały nie stracić poparcia ludzi i nie wejść w otwarty konflikt z koncernem i rządem w Limie.

Dzień siódmy

Strajk i kolejna mobilizacja mieszkańców Cajamarki. Na główny plac przybywa dziesięć tysięcy ludzi. Zaczynają mówić, że nie chodzi już tylko o cofnięcie koncesji, ale o sposób traktowania mieszkańców regionu, o urażoną godność miejscowej społeczności, której nie pytano o zgodę na eksploatację złóż. Teraz nawet burmistrz Cajamarki zapowiada, że protest potrwa, aż rząd w Limie wycofa lub zawiesi koncesję.

Komisja parlamentu do spraw energii i kopalń powołuje zespół roboczy, który ma sporządzić analizę konfliktu. Wysyła do Cajamarki delegację deputowanych z różnych partii, z zadaniem doprowadzenia do spotkania wszystkich stron sporu.

Dzień ósmy

Tworzy się komitet obywatelski, który ma negocjować z rządem zakończenie protestu. Jego pełna nazwa: Komitet Obywatelski Obrony Życia i Środowiska Naturalnego. Wchodzą do niego przedstawiciele miasta, regionu, szesnastu organizacji społecznych, w tym chłopskich i studenckich, związków zawodowych itp.

Wewnątrz ruchu ścierają się zwolennicy różnych dróg; jedni chcą osiągnąć cele, nawet z użyciem przemocy, na przykład niszcząc instalacje koncernu. Marco Arana i Iván Salas (drugi z kluczowych przywódców protestu) przekonują do walki pokojowej, do cierpliwych negocjacji i rozmów.

Dzień dziewiąty

Rząd proponuje salomonowe wyjście: ogłosi, że przyznanie koncesji jest „nieskuteczne” do czasu przeprowadzenia przez koncern badań hydrologicznych. Badania te mają ustalić, czy wydobycie złota na wzgórzu Quilish nie uszczupli zasobów wody w sposób dotkliwy dla ludności, a także czy ewentualne jej zanieczyszczenia nie będą zagrażały zdrowiu mieszkańców.

Dni od dziewiątego do czternastego

Twarde negocjacje protestujących, przedstawicieli koncernu, władz centralnych i regionalnych. Zbuntowani nie chcą przyjąć propozycji rządu, która – ich zdaniem – jedynie odwleka w czasie eksploatację Quilish. Ogłaszają strajk regionalny.

Dzień czternasty

Strajk generalny w trzynastu prowincjach Cajamarki, blokady dróg, marsze

protestacyjne. W Choropampie dochodzi do krwawych starć demonstrantów z policją. Na wiecach przemawiają lokalni politycy z niemal wszystkich partii, niektórzy są wygwizdywani.

Dzień piętnasty

Ministerstwo energii i kopalń ogłasza decyzję, która uznaje za „nieskuteczną” wcześniejszą o wydaniu koncesji. Decyzja jest bezwarunkowa, co oznacza, że Yanacocha-Newmont nie może wydobywać złota na wzgórzu Quilish.

Minister przyznaje publicznie, że rząd w Limie popełnił błędy.

Marco Arana i przedstawiciele komitetu obywatelskiego dogadują się z najbardziej radykalnymi przywódcami chłopskimi: przekonują ich do zakończenia protestu.

*

Koniec konfliktu wokół Quilish nie kładzie kresu sporom o spustoszenia poczynione przez koncern Yanacocha-Newmont, zniszczenie środowiska, praktyki korupcyjne.

Nad Markiem Araną, który w czasie batalii o Quilish wyrósł na męża zaufania, autorytet moralny, nieformalnego przywódcę lokalnych społeczności, dopiero teraz zbierają się ciemne chmury.

Jeszcze nie wie, że bardzo długo nie zazna spokoju.

Marco – ciąg dalszy, czyli podręcznik oszczerstw i pogróżek

I

W lokalnej prasie pojawiają się tytuły: *Kościół mówi NIE księdzu Aranie* (dziennik „Correo”), *Biskup robi porządek w diecezji* („Clarín”). Gazeta „Mercurio” przedstawia karykaturę księdza Marca ubranego w sutannę, spod której wypęłza diabelski ogon. Na głowie duchowny ma rogi.

Marco wspomina:

– Gdy w dziewięćdziesiątym trzecim, czwartym koncern zaczął eksploatację złota, większość lokalnej prasy była nastawiona krytycznie, nawet bardzo. Dziennikarze pisali o zastraszaniu autochtonów, wyciekach rtęci, wymieraniu pstrągów. W dwa tysiące drugim lokalna prasa, telewizja i rozgłośnie radiowe zmieniły front – zaczęły atakować krytyków koncernu z organizacji społecznych, ekologicznych, wspólnot wiejskich. Powód był prosty: koncern zaczął zamawiać ogłoszenia i reklamy. Nie tylko koncern, również jego podwykonawcy, partnerzy biznesowi. W Cajamarce cała gospodarka zaczęła kręcić się wokół obsługi potężnego aktora na scenie. Potem media zmieniały front jeszcze kilka razy. Gdy były reklamy, popierały firmę, gdy reklam nie było, atakowały. Lokalne media są doszczętnie skorumpowane.

(Opowieść tę potwierdzi później Andrés Caballero, miejscowy reporter, który tracił pracę kolejno we wszystkich gazetach za krytyczne wobec koncernu artykuły).

– Koncern próbował nas kupić – opowiada dalej Marco. – „Nas”, to znaczy działaczy Grufidesu, stowarzyszenia na rzecz rozwoju regionu, obrony praw człowieka i środowiska, które założyłem w dwa tysiące drugim roku. Przychodzili do nas funkcjonariusze koncernu i zachęcali: „pracujmy razem”. Sugerowali, żebyśmy otworzyli biuro skarg, we współpracy z nimi, i „obsługiwali” niezadowolonych. Odpowiedzieliśmy, że biuro skarg prowadzą władze lokalne, a naszym zadaniem jako organizacji pozarządowej jest monitorowanie działań władz, praktyk koncernów, przestrzegania praw człowieka. Mnie samego próbowali spacyfikować, gdy jeszcze pracowałem na parafii. Oferowali pieniądze na budowę domu parafialnego, remont kościoła.

Gdy nie dało się nas kupić, zaczęto atakować w prasie, radiu i telewizji. Wymyślali mi żony, kochanki, nieślubne dzieci, majątek. Na pierwszych stronach gazet pojawiały się

odredakcyjne komentarze, w których nazywano nas „ekoterrorystami”. Zawsze wtedy, gdy alarmowaliśmy o wyciekach toksycznych substancji czy wymieraniu zwierząt. Pisano, że jesteśmy sprawcami zatruć i robimy to, żeby oskarżyć potem koncern.

Inną linią ataku były nasze dotacje. Pisano, że Grufides dostaje miliony dolarów od światowych organizacji ekologicznych albo firm kanadyjskich, które konkurują z amerykańskimi o dostęp do surowców. Naszym celem miało być rzekomo wypchnięcie koncernów ze Stanów Zjednoczonych i zrobienie miejsca dla kanadyjskich.

Pisali, że działamy w imieniu małych, nielegalnych firm i górników, którzy na dziko, prymitywnymi metodami wydobywają złoto.

Piramidą nonsensu był atak byłego prezydenta Alana Garcii, który oskarżył nas o działanie na szkodę kraju. Zarzucił, że dostajemy fundusze z Chile, które chce osłabić Peru jako konkurenta w handlu miedzią^[12].

Atakowano nas wreszcie za rzekomo wysokie zarobki. Gdy je ujawniliśmy, oskarżono, że prawdziwe dochody ukryliśmy – a myśmy przedstawili dane z urzędu skarbowego. Mediów lokalnych nie interesował stan faktyczny, miały nas zdyskredytować, zniszczyć naszą reputację.

Ataki w prasie, radiu i telewizji były przygrywką do znacznie bardziej dotkliwej kampanii, której ofiarą padli działacze Grufidesu. Nie tylko zresztą oni.

II

Do pokoju hotelowego Mirthy Vásquez, dyrektorki Grufidesu, zadzwonił telefon. Anonimowy mężczyzna, z obleśnym zadowoleniem, opowiadał, w jaki sposób ją zgwałcił, potem zabije, potnie na kawałki i rozrzuci resztki na śmietniku, gdzie będą pożywieniem dla szczurów i bezdomnych psów.

Mirtha, kruchej postury, o ciepłym głosie i z lekko zawstydzonym uśmiechem, należała do paczki studentów i studentek, których na początku nowego wieku rozpałały dyskusje o wyciąganiu andyjskiego regionu z biedy. To grono, złożone z prawników, jak Mirtha, lekarzy, inżynierów, humanistów, agronomów i jednego księdza (Marca), założyło potem Grufides. Gdy zaczynali, nie przychodziło jej do głowy, że na drodze, którą wybiera, będzie ryzykowała bezpieczeństwo swoje i swoich bliskich, a może nawet życie.

Po pierwszych telefonach z pogrózkami bała się wychodzić sama na ulicę. Z czasem przywykła, ale nigdy na sto procent. Do tego nie sposób się przyzwyczaić, mówi.

Telefony podobnej treści i e-maile zaczęli dostawać inni działacze i działaczki stowarzyszenia. Czasem raz, czasem dwa razy w tygodniu.

Ktoś hakował stronę internetową organizacji i zamieszczał na niej obelgi i groźby, często o charakterze seksualnym.

Na Twitterze anonim zachęcał do porwania księdza Marca albo kogoś z jego współpracowników, rozebrania do naga i porzucenia na głównym placu miasta.

Prześladowcy od czasu do czasu wspominali, o co chodzi: zastraszeni mieli nie mieszać się w sprawy kopalni. Ale często padały same groźby, bez motywu, zastraszani mieli się domyślić. Domyślali się bezbłędnie, przekaz był klarowny.

Działacze i działaczki Grufidesu zaczęli się bać. Kilkoro z nich już wcześniej odnosiło wrażenie, że ktoś za nimi chodzi. Każdy przejeżdżający w pobliżu samochód był w ich oczach podejrzany, każdy motocykl – tradycyjny tutaj środek lokomocji płatnych zabójców. „Zaczęliśmy podejrzewać samych siebie o paranoję”, wspomina Mirtha. Na wszelki wypadek informowali się nawzajem, kto, kiedy, dokąd i którądy się przemieszcza. Jeśli się dało, chodzili parami. Nigdy samotnie po zmroku. Teraz stało się jasne, że to nie paranoja. Ktoś chciał ich nastraszyć. Zadawali sobie pytanie: co ów ktoś był gotów zrobić, jak daleko się posunąć, jeśli się nie przestraszą? Nie mieli dowodów, ale też nie mieli wątpliwości, że to koncern stoi za kampanią zastraszania.

Któregoś dnia busy Yanacocha-Newmont przywiozły przed siedzibę stowarzyszenia robotników pracujących dla firmy. Zaczęli złorzeczyć, przeklinać, wyzywać. Wypominali działaczom rzekome miliony z zagranicy, straszili pobiciem. Któryś z robotników dyskretnie dał znać obłożonym, że robotników zmuszono do „spontanicznego” protestu. Odmowa uczestnictwa, podobnie jak bierność na miejscu, groziła utratą pracy. Zamknięci w biurze działacze organizacji zadzwonili na policję. Prosimi o ochronę biura i siebie na wypadek zagrożenia fizycznego. Na miejsce nie przybył ani jeden policjant. Mirtha zadzwoniła do doradcy jednego z ministrów, który obiecał, że „zobaczy, co da się zrobić”. Skończyło się na obietnicy.

Tymczasem uliczni prześladowcy, którzy od tygodni śledzili działaczy, stawali się coraz bardziej nachalni. Bezceremonialnie fotografowali śledzonych bądź filmowali kamerami wideo. Nawet nie próbowali kryć się z tym, co robią.

Marco wpadł na pomysł, żeby wszyscy aktywiści stowarzyszenia zaopatrzyli się w aparaty fotograficzne i kamery wideo.

– Jak tylko pojawią się prześladowcy, róbmy im zdjęcia, filmujmy ich tak samo, jak oni filmują nas.

Któregoś dnia, gdy Marco zauważył filmującego go mężczyznę, wezwał patrol policji. Wskazał policjantom „fotografa”, ci wylegitymowali go, zatrzymali do wyjaśnienia, a następnie szybko wypuścili; nawet nie wszczęli dochodzenia.

Wielu policjantów w Cajamarce świadczy usługi dla Yanacocha-Newmont i innych koncernów. Prawo peruwiańskie zezwala funkcjonariuszom pracować w wolne dni dla prywatnych firm. Zazwyczaj zatrudniają się jako ochroniarze. Wolno im używać

policyjnych mundurów i policyjnej broni krótkiej. Dniówka w firmie jest kilkakrotnie wyższa od dniówki na państwowym. Ponadto, niektóre koncerny ofiarowują policji pomoc finansową: to na wypadek, gdyby komendanci mieli pomysł sprzeciwić się dorabianiu podwładnych. „Gdy po dniu albo dwóch pracy dla koncernu, zwykle w weekend, policjanci wracają do służby i, powiedzmy, są wzywani do usunięcia protestujących przed siedzibą koncernu albo z zablokowanej drogi – wobec kogo są bardziej lojalni? Wobec społeczności, dla której teoretycznie pełnią służbę, czy wobec pana, który daje im zarobić?” – pyta działacz Grufidesu.

W tych okolicznościach nadzieja na wykrycie sprawców pogrózek pocztowych i telefonicznych, hakowania stron, śledzenia na ulicach była znikoma. W przekonaniu Marca i jego towarzyszy nadzieja ta zmniejszyła się dramatycznie pierwszego listopada dwa tysiące szóstego, w dniu tragedii w wiosce Yanacanchilla.

[12] Przy okazji wydobywania złota Yanacocha-Newmont uzyskuje również z tych samych skał miedź.

Dlaczego zginął Edmundo Becerra, czyli o tym, że nie łapią ręki, tylko ślepy miecz

I

Jego ciało podziurawili siedemnaście razy.

Cztery kule przebiły jamę brzuszną, sześć – prawe płuco, jedna – zewnętrzną część szyi z lewej strony, jeszcze inna utkwiała w potylicy, pozostałe poraniły różne części ciała.

Edmundo Becerra, wszyscy mówią o nim Esmundo, lat czterdzieści trzy, poił bydło w miejscu zwanym Pampa del Ahijadero, niedaleko wioski Yanacanchilla, w której mieszkał z żoną i czteroletnim synkiem.

Zabójców widziała z pewnej odległości siostra zamordowanego, Jovita: dwóch mężczyzn ubranych w czerwone i niebieskie poncza, jeden w czapce, drugi w kapeluszu. Potem okazało się, że na miejscu był jeszcze trzeci. Przed egzekucją jeden z zabójców miał powiedzieć, że następni, tacy jak Edmundo, skończą jak on. Chwilę potem padły strzały. Siedemnaście.

Zabójcy uciekli w stronę szosy do Bambamarki. Niczego nie ukradli. Motyw rabunkowy od początku był wykluczony.

Przeglądam wycinki z lokalnej prasy z dni tuż po zabójstwie.

Jedna z gazet doniosła, że Esmundo szykował się do wyjazdu do Limy na spotkanie komisji złożonej z przeciwników praktyk koncernu i przedstawicieli ministerstwa. Chodziło o eksploatację wzgórze San Cirilo, czemu sprzeciwiał się zarówno on, jak i mieszkańcy wioski.

Jeden z miejscowych działaczy, Iván Salas, alarmował, że Yanacocha-Newmont zbroi przecigniętych na swoją stronę górali. Mieli strzelać do sąsiadów, którzy odmawiają sprzedania koncernowi ziemi i sprzeciwiają się eksploatacji wzgórze San Cirilo. „Mamy do czynienia z bandą, która współpracuje z biurem koncernu do spraw skupywania ziemi. Kilka tygodni temu, kiedy pewien inżynier przyjechał przeprowadzić badania topograficzne, ta sama banda strzelała do niego, uniemożliwiając mu pracę”.

Przedstawiciele koncernu odpowiadali, że to kłamstwa.

Gazety sprzyjające firmie Yanacocha-Newmont pisały, że motywem zabójstwa

Esmunda było „wyrównywanie rachunków” i „konflikt o ziemię”.

Ktoś przypomniał, że kilka miesięcy wcześniej po innym zabójstwie, Isidra Llanosa – też lokalnego przywódcy i krytyka koncernu – przedstawiciel Yanacocha-Newmont ogłosił publicznie, że ów zmarł na atak serca. Naprawdę Isidro Llanos został zastrzelony w czasie starcia protestujących robotników z ochroniarzami koncernu i policją.

II

Najwięcej o Esmundzie i okolicznościach zabójstwa opowiedział mi Marco.

To nie był typowy, ubogi góral z regionu Cajamarki, mówi. Wykształcony, z zawodu weterynarz, spory kawałek ziemi, trzódka bydła. Był producentem mleka.

Gdy koncern szykował się do eksploatacji nowych złóż położonych nieco powyżej wioski Yanacanchilla, Esmundo założył Front Ochrony Środowiska. *No pasarán!* W odpowiedzi koncern sprowadził ludzi spoza regionu. Wyglądali na andyjskich autochtonów i zaczęli osiedlać się na terenach powyżej wioski. Stworzyli konkurencyjny Front na rzecz Ochrony Środowiska i Rozwoju – typowa strategia dzielenia, żeby powiedzieć potem, zobaczcie, jak wielu miejscowych nas popiera. Ci „importowani” mieli broń i walkie-talkie, działali jak zorganizowana grupa.

Konflikt wybuchł, gdy Esmundo chciał poić bydło w lagunach znajdujących się na ziemi zajętej przez przybyszów. Prawo własności nie obejmuje lagun, właściciele ziemi wokół nich mają obowiązek umożliwić dostęp, na przykład rolnikom, którzy chcą napoić bydło. Ale przybysze mieli prawo za nic.

Zaczął dostawać pogrożki: nie wtrącaj się do spraw kopalni. Padały najgorsze wyzwiska.

Któregoś dnia uzbrojeni mężczyźni pobili Esmunda. Pojechał na posterunek policji w Chanta Alcie, dwie godziny od wioski, żeby złożyć doniesienie. Jedź do sędziego, powiedzieli policjanci, do Cajamarki. I śmiali się.

Inni zastraszeni słyszeli, jak ci z grupy zbrojnej przechwalali się, że są nie do ruszenia, bo chroni ich Yanacocha-Newmont.

Krótko potem Esmundo został zastrzelony.

Zabójstwo, mówi Marco, przypomina typowe pozbycie się niewygodnego lidera wspólnoty, w stylu kolumbijskim czy brazylijskim. Projekt eksploatacji nowego złoża zostaje wstrzymany. „Importowani” górale rozplývają się w niebycie, a ich front na rzecz rozwoju znika razem z nimi.

Wioska Esmunda przeżyła traumę. To mała społeczność, wówczas czterdzieści pięć rodzin. Zapanował w niej strach, nieufność, podejrzliwość. Zbrodnia złamała tych ludzi, mówi Marco, przetrąciła. Najbliższy towarzysz walki Esmunda, Genaro López, przeniósł

się do Cajamarki. Trzyma się z dala od aktywności społecznej i nie chce rozmawiać o śmierci przyjaciela.

Żona Esmunda wyjechała z dzieckiem nie wiadomo dokąd.

III

Esmundo był, według tego, co opowiadają, kimś wyjątkowym, „drugim najważniejszym liderem lokalnych społeczności” (po Marcu Aranie). Chętny do pomocy, charyzmatyczny, inteligentny – wszystko to czyniło go politycznie niewygodnym. Niebezpiecznym.

Prasa i biuletyny ruchów protestu przypominają, że był szóstym zamordowanym w ostatnich latach liderem z regionu Cajamarki.

Dwa tysiące trzeci: José Llajahuanca z San Ignacio.

Dwa tysiące czwarty: Juan Montenegro z Santa Cruz.

Dwa tysiące piąty: Reinberto Herrera i Melanio García z San Ignacio.

Dwa tysiące szósty: Isidro Llanos z Combayo.

Ginę w różnych okolicznościach, zazwyczaj z ręki nieznanych sprawców. Isidro Llanos zorganizował protest przeciwko półniewolniczym warunkom pracy w koncernie.

Zastrzelono go w czasie bijatyki strajkujących z ochroniarzami i policją.

Esmundo padł ofiarą zaplanowanej na zimno egzekucji.

Trudno spekulować o motywach. Ten jeden nasuwa się sam, nawet jeśli chciałoby się go odrzucić. Przypadek niemożliwy? Hipotetycznie możliwy. Kto jednak i dlaczego miałby zabijać Esmunda?

Nikt tu nie wierzy w przypadek czy porachunki.

IV

Mroczne miejsca i tragiczne wypadki przywodzą najdziwniejsze nieraz, niespodziewane skojarzenia.

Ileś lat wcześniej, w innej części świata, poeta napisał wiersz o potworze. Teraz, gdy próbuję oddać atmosferę niepokoju w Cajamarce, wydaje mi się, jakby ten wiersz opisywał właśnie to miejsce. Nieznani sprawcy. Ofiary. Oskarżenia trące paranoją, choć nie paranoiczne. Brak dowodów. Niepewność. Strach.

[...] potwór [...]

pozbawiony jest wymiarów

trudno go opisać

wymyka się definicjom

jest jak ogromna depresja
rozciągnięta nad krajem

nie da się przebić
piórem
argumentem
włócznią

gdyby nie duszny ciężar
i śmierć którą zsyła
można by sądzić
że jest majakiem
chorobą wyobraźni

ale on jest
jest na pewno

jak czad wypełnia szczelnie
domy świątynie bazary

zatrzuwa studnie
niszczy budowle umysłu
pokrywa pleśnią chleb

dowodem istnienia potwora
są jego ofiary

jest dowód nie wprost
ale wystarczający [...] ^[13]

V

Dzięki zeznaniom siostry Esmunda policja szybko ustala nazwiska zabójców: to bracia Aguinaldo i Fortunato Rodríguezowie. Na miejscu był też trzeci mężczyzna, którego uwolniono od zarzutów.

Gdy policjanci próbują zatrzymać głównego mordercę, dochodzi do strzelaniny. Aguinaldo ginie na miejscu. Okoliczności zdarzenia budzą podejrzenie, że wcale nie chciano zabójcy schwytać. Miał zginąć, żeby nie zeznawać w sądzie?

Mirtha Vásquez z Grufidesu zdobyła wiadomości, które pozwalają wierzyć w tę

hipotezę. Zabójca był znanym w okolicy cynglem, wiedziało się, że trudnił się wykonywaniem wyroków na zlecenie. Dzień przed śmiercią dzwonił do kongresmena Wenera Cabrery, rozmawiał z jego asystentem Ivanem Salasem. Zapowiedział, że zamierza oddać się w ręce policji i ujawnić, kto opłacił zabójstwo Esmunda. Następnego dnia, w czasie próby zatrzymania, Aguinaldo ginie. Według policji, stawiał opór, ale Mirtha sądzi, że to bajka, przecież dwudziestu policjantów pojechało go zatrzymać.

Kilka lat później hipotezę Mirthy wzmacnia śledztwo w zupełnie innej sprawie. W dwa tysiące jedenastym wybuchł skandal: firma ochroniarska Business Track podsłuchiwała dwóch polityków z rządu. W czasie dochodzenia wyszło na jaw, że firma ta od kilku lat podsłuchiwała działaczy społecznych, instytucje, przedsiębiorstwa. Jednym ze środowisk, o którym zgromadziła najwięcej materiałów, w tym nagrań rozmów telefonicznych, są ludzie związani z organizacją Grufides. Mirtha uważa, że ktoś niezwykle majątny musiał płacić za wieloletnią inwigilację. Zapewne firma górnicza: nagrania z podsłuchów działaczy organizacji znalazły się w teczce „przemysł wydobywczy”. Wśród nagrań była rozmowa Mirthy z Ivanem Salasem. W rozmowie tej Salas nie dowierza, że zabójca Esmunda stawiał opór policji, skoro dzień wcześniej zapowiedział, że odda się w jej ręce. Salas oskarża policjantów o dokonanie egzekucji.

Mirtha mówi, że za dużo tu zbiegów okoliczności...

Marco rozkłada ręce. Nie wiemy, kto zlecił zabójstwo Esmunda, stwierdza. Wiemy, że lider lokalnej społeczności, człowiek o najwyższym poziomie świadomości, kierujący się wysokimi standardami etycznymi, został zlikwidowany i nie ma go wśród nas.

Wspólnik zbrodni, Fortunato Rodriguez, dostał piętnaście lat więzienia. Skazany nie ujawnił motywu zabójstwa. Wyszedł na wolność w dwa tysiące jedenastym za dobre sprawowanie, odsiedział niespełna pięć lat. Mówią, że w więzieniu cieszył się przywilejami i opowiadał na okrągło, że długo nie posiedzi.

[13] Zbigniew Herbert, *Potwór Pana Cogito*.

Operacja „Diabeł”, czyli kto prześladowuje działaczy

I

Dwa tygodnie po zabójstwie Esmunda, czternastego listopada, Marco dostrzega, po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy, że podąża za nim nieznajomy mężczyzna z kamerą.

Rozgrywa się scena jak z filmowego thrillera. Gdy Marco próbuje podejść do prześladowcy, ten rzuca się do ucieczki. W zawodach sprinterskich z młodym facetem Marco nie ma szans. Wsiada więc do samochodu i rusza w pościg. Uliczki w Cajamarce są wąskie. To stare kolonialne miasto, autem trudno się tu rozpędzić. Marco dostrzega z daleka, że na jednym z placyków prześladowca wsiada do oczekującego nań białego samochodu. Ścigani na chwilę giną mu z oczu, ale korki w wąskich uliczkach powodują, że udaje się zająć im drogę. Marco wzywa policję.

Prześladowcą okazuje się chłopak z innego miasta, z biednej rodziny. Nazywa się Miguel Saldaña. Ma przy sobie małą kamerę cyfrową, telefon komórkowy, drobne. Samochód nie należy do niego. Pierwsze podejrzenie: ktoś wynajął chłopaka. Ale kto? Kto miał motyw, żeby szpiegować Marca, i pieniądze, żeby zapłacić za taką usługę? Wkrótce pułkownik policji informuje Marca, że tu nie chodzi o drobne podpatrywanie, robienie zdjęć, uprzykrzanie życia. Sprawa jest poważna.

Marco szuka kontaktu ze znanym dziennikarzem śledczym z Limy Edmundem Cruzem. Chce się zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś na miejscu chciał ukreślić łeb sprawie. Cruz ma reputację uczciwego, nieustraszonego, niezłomnego. Tropił nadużycia bezpieki w czasach dyktatury Fujimoriego i Montesinosa, był przez lata na celowniku służb specjalnych. Zainteresowanie sprawą właśnie jego stwarza szansę, że uda się rozwikłać, kto prześladowuje działaczy z Cajamarki.

Trzeciego grudnia dziennik „La República” rozpoczyna publikację dossier pod tytułem Operacja „Diabeł”. Przez osiem dni z rzędu Edmundo Cruz ujawnia opinii publicznej w Peru, co zdarzyło się i co dzieje się w dalekim andyjskim mieście.

II

Trzeci grudnia

Ujawniamy Operację „Diabeł”

„La República” publikuje dzisiaj ekskluzywny raport, który wywoła – o czym jesteśmy przekonani – narodową dyskusję. Jest to reportaż, oparty na dokumentach i dowodach, o tym, jak firma ochroniarska prowadziła operację szpiegowską przeciwko działaczom społecznym. Nosi ona cechy operacji wywiadu wojskowego, policji i służb specjalnych. Śledztwo przeprowadzone przez Edmunda Cruza ujawnia, że Operacja „Diabeł” – jak ją nazwali sami autorzy – wykorzystuje technikę znaną jako OVISE^[14], której celem było zastraszenie „obiektów” oraz zniszczenie godności i reputacji owych ludzi i instytucji.

Głównym obiektem szpiegowania był ksiądz Marco Arana oraz szanowane osoby i instytucje, które walczą o ochronę środowiska i rozwój regionu. W ostatnim czasie Marco Arana wszczął intensywną kampanię na rzecz poszanowania praw wspólnot do czystego środowiska. Fakt ten sprawił, że stał się on obiektem kampanii niektórych środków przekazu powiązanych z firmami wydobywczymi.

Operacja wychodzi na jaw wraz z zatrzymaniem agenta firmy C&G Investigaciones Miguela Saldaña, w którego kamerze wideo znajdowały się sceny śledzenia księdza Arany. Siedzibą firmy jest sześciopiętrowy budynek w Cajamarce. Tam znajdował się cały sprzęt informatyczny i urządzenia do prowadzenia działalności wywiadowczej.

Operację „Diabeł” prowadziła firma C&G Investigaciones, z siedzibą w Limie, w dzielnicy Los Olivos, która tłumaczy, że została wynajęta przez jedną z gazet wychodzących w Limie w celu śledzenia księdza Arany, w szczególności jego życia osobistego.

W czasie dochodzenia policyjnego u Miguela Saldaña znaleziono dokumenty, które prowadzą do firmy ochroniarskiej FORZA, obsługującej koncern Yanacocha. W naszym raporcie opublikujemy również oświadczenie Alda Schwarza, szefa operacyjnego firmy FORZA.

Inną postacią jest César Cáceres, emerytowany kapitan policji i dyrektor firmy C&G Investigaciones. Została ona wynajęta do szpiegowania księdza Marca Arany i innych liderów organizacji społecznych i pozarządowych w Cajamarce.

Czwarty grudnia

Wywiad z Markiem Araną (fragmenty)

Marco Arana: Operacja przypomina czasy Montesinosa. Ukazuje, że potęga ekonomiczna może działać bezkarnie, próbując zdławić swobody poprzez zastraszanie ludzi.

Reporter César Romero: Czy władze prowadzą śledztwo w sprawie?

Marco Arana: Miguel Saldaña (zatrzymany szpieg) prowadził operację już po złożeniu przez nas doniesienia piętnastego września. Władze nie podjęły działania.

– A teraz?

– Sprawa trafiła do DIRINCRI^[15], ale jak sami poinformowaliście, jeden

[z szefów] wyjechał na wakacje, a innego zmieniono. Obrońcą Miguela Saldañi jest syn prokuratora Cajamarki. To pokazuje, że nie César Cáceres kieruje operacją. To jakaś operacja wywiadu o wysokim stopniu organizacji, za duże pieniądze.

- Od kiedy jest prowadzona?

- Od miesięcy. Grożono nam śmiercią. Istnieje prezentacja w PowerPointcie, w której przedstawia się nas jako wrogów kopalni. Pokazano ją w biurze firmy Yanacocha ludziom z wywiadu wojskowego.

- Będzie pan działał nadal?

- Nie jestem superbohaterem. Ogarnia mnie niepokój. Jeśli coś takiego robią ze mną, to co mogą zrobić z liderami organizacji społecznych w interiorze?

Wszystko wskazuje na firmę FORZA, a FORZA pracuje dla koncernu Yanacocha. Za operacją szpiegowania Grufidesu stoi wielka potęga ekonomiczna.

(Po raz trzeci w trakcie tego wywiadu połączenie telefoniczne zostaje przerwane. Marco Arana i reporter „La Republiki” rozmawiają przez telefony komórkowe. Po chwili łączą się z telefonów stacjonarnych).

Reporter: Mam wrażenie, że to zrywanie połączeń nie jest przypadkowe. Wydaje się, że to skutek podsłuchiwania.

Marco Arana: Tak, usłyszałem najpierw hałas, a potem rozmowa się zerwała. W dniu, w którym zatrzymaliśmy tego faceta, wykonałem dwa telefony, a potem odcięto mi linię na resztę dnia, nie mogłem do nikogo zadzwonić. Nie ulegajmy paranoi, ale to niepokojące.

- Jest pan przeciwnikiem eksploatacji złóż w Cajamarce?

- Staram się jedynie, żeby wysłuchano głosu wieśniaków. Nie jesteśmy przeciwnikami wydobywania, domagamy się tylko lepszych regulacji i odpowiedzialności koncernu za środowisko i wspólnoty lokalne. I żeby rozwiązano problem wody... To im przeszkadza, a powinni być wdzięczni, że szukamy poprawy jakości działań firm wydobywczych.

- Jakie są pana relacje z kopalnią Yanacocha?

- Były serdeczne, w kwietniu gościłem w Denver w USA na posiedzeniu akcjonariuszy Newmontu, ale nie spodobało się to, co powiedziałem. Te firmy nie przywykły do dialogu z ludźmi jak równy z równym.

Szósty grudnia

Dowody łączą firmę FORZA z Operacją „Diabeł”

Z materiałów znalezionych w siedzibie szpiegów wynika, że śledzono dwanaście osób, większość to liderzy Grufidesu, reszta – działacze innych organizacji, krytycznych wobec koncernu. Siedem kobiet, pięciu mężczyzn. Wszystkim nadano pseudonimy.

Marca Aranę nazwano „Diabłem”.

Dokumenty zawierają fotografie i raporty dzienne na temat każdej ze śledzonych osób: co robi, o której godzinie, gdzie mieszka, gdzie i co je, gdzie mieszkają krewni, o której

chodzi spać.

Jedna z zakładek w komputerze została nazwana „Fotografie dla Schwarza”. Są tam zdjęcia Marca Arany, Mirthy Vásquez, Pabla Sancheza i innych.

Tajemniczy Schwarz to Aldo Schwarz, szef wykonawczy firmy FORZA.

W siedzibie firmy prowadzącej operację zaleziono dowody wypłaty między innymi tysiąca dolarów, której dokonał César Cáceres „na polecenie pana Alda Schwarza”. Są e-maile, w których agenci i ich szefowie wymieniają uwagi na temat działań operacyjnych.

Dziennikarze „La Republiki” pytają: „Czy César Cáceres pracuje dla firmy FORZA? Czy na zlecenie firmy FORZA C&G Investigaciones śledziła księdza Aranę i innych lokalnych liderów krytykujących koncern Yanacocha? Czy koncern wiedział o Operacji »Diabeł«? Na te pytania władze muszą znaleźć odpowiedź”.

Gazeta informuje, że dzień wcześniej po Cajamarce jeździli nieznani sprawcy i wykupywali cały nakład „La Republiki”. Przemieszczali się samochodami firmy Taxi Seguro, która obsługuje koncern. Kioskarzom, którzy odmawiali sprzedania wszystkich egzemplarzy dziennika, oferowali dwa i pół sola za egzemplarz; cena detaliczna wynosiła jeden sol.

Siódmy grudnia

Intrygi Cesara Caceresa

„Bрудna wojna. Chcieli oskarżyć księży o posiadanie dzieci, kontakty z terrorystami, o pedofilię i romanse z kobietami. Kto zyska na tych oskarżeniach?”.

Dokumenty, które sam Cáceres przesłał reporterowi śledczemu „La Republiki” Edmundowi Cruzowi, przedstawiają serię fotografii Marca Arany z dzieckiem oraz z kobietą i trójką innych dzieci. Cáceres zamierzał insynuować, że dziecko ma podobne do Marca rysy, a kobieta to kochanka księdza, z którą ma gromadkę dzieci. Naprawdę rodzicami dziecka, które szpieg sfotografował z czule obejmującym je Markiem, są jego brat César i jego żona Julia Oretto. Z kolei kobieta z trójką dzieci to siostra Marca, Mary, która często zostawia je pod opieką brata.

„Tego typu operacje^[16] może prowadzić jedynie państwo i jego służby wywiadowcze za zgodą władzy sądowniczej – komentuje redakcja »La Republiki«. – To, że realizuje je prywatna firma o strukturze paramilitarnej, jest czymś niezwykle niebezpiecznym i cofa nas do niecznych czasów »fujimontesinosizmu«... Jedną z zaskakujących reakcji władzy wykonawczej jest bagatelizowanie tego, co się stało...”.

Ósmy grudnia.

FORZA nie została uniewinniona

Chodzi o zabójstwo lokalnego przywódcy Isidra Llanosa. Zastrzelili go policjanci, którzy świadczyli usługi dla koncernu Yanacocha-Newmont.

Druga sprawa: w budynkach należących do koncernu znaleziono broń automatyczną i amunicję, której wolno używać jedynie policji i wojsku.

„La República” podważa kłamstwa przedstawicieli firmy FORZA, którzy twierdzili publicznie, że wycofano wobec niej zarzuty w obu sprawach. W rzeczywistości, nadal toczyły się śledztwa, a procesy przeciwko firmie jeszcze się nie rozpoczęły.

Dziewiąty grudnia.

Sensacyjne e-maile: FORZA płaciła za bilety szpiegów

E-maile ujawniają znacznie więcej, niż sugeruje tytuł. Na przykład, że szpieg z firmy C&G Investigaciones, który pobrał tysiąc dolarów na polecenie szefa FORZA, posługiwał się adresem e-mailowym „forza.com”. César Cáceres, szef C&G Investigaciones, tłumaczy w e-mailowej korespondencji, że przebywa na terenie kopalni Yanacocha.

Reporterzy pytają: co tam robi?

Stronnicze informacje w sprawie Arany

Gazety, stacje telewizyjne i radiowe stają po stronie koncernu Yanacocha i próbują ukryć prześladowanie księdza Marca Arany.

Postawa środków przekazu w Cajamarce, w szczególności radia i telewizji, w sprawie prześladowania księdza pozostawia wiele do życzenia. Środki przekazu informowały o tym bardzo mało. Egzemplarze „La Republiki” były wykupywane w taki sposób, żeby opinia publiczna nie poznała doniesień. Szóstego grudnia gazeta „Panorama Cajamarquino” – główny dziennik lokalny – dała na swojej czołówce tytuł *Ksiądz spreparował wielki humbug*. Oddaje również głos Cesarowi Cáceresowi, który zapowiada, że oskarży księdza o zniestawienie. Inne gazety zajmują bardziej zrównoważone stanowisko. Gazeta „Actualidad” poświęca sprawie sporo miejsca, dając tytuł *Marca Aranę zastraszano od sierpnia*. Szóstego grudnia „El Regional” zatytułował artykuł *Mieli go zabić w sierpniu*.

Rozgłośnie „Layzón”, „Doble N”, „Moderna”, „Lider” i „Campesina Imperial” starają się zachować obiektywizm, choć zajęły się sprawą dopiero w ostatnich dniach. Inaczej jest w przypadku stacji „RPP”, której program lokalny finansuje Yanacocha, a w przerwach sami reporterzy nie ukrywają, że ich patronem jest koncern. Sama firma ma własną rozgłośnię „Mi Radio”, która nadaje przychylnie jej informacje i komentarze.

Podobnie jest w programach telewizyjnych. Gdy dzieje się coś nie po myśli koncernu, prezenterzy starają się ukazać zupełnie inną rzeczywistość. Kanały telewizyjne „TV Norte”, „Canal 39” i „Canal 25” nie przywiązują wagi do sprawy księdza Arany. Skądinąd wiadomo, że „Canal 39” nagrywa swój program informacyjny na terenie obiektów koncernu Yanacocha.

Dwa miesiące później, na początku lutego dwa tysiące siódmego, „La República” uzyskuje ostateczne potwierdzenie, że Operacją „Diabeł” kierował Aldo Schwarz, szef wykonawczy firmy FORZA.

Po pierwszych rewelacjach gazety Schwarz zaprzeczał jakimkolwiek związkom z Operacją „Diabeł”. Twierdził, że nie wydał polecenia zapłaty tysiąca dolarów jednemu ze szpiegujących Marca Araną. (Ręcznie podpisany dowód zapłaty był wtedy najważniejszym dokumentem łączącym Operację „Diabeł” z firmą FORZA). Schwarz zarzekał się, że nie zna Cesara Caceresa ani nie słyszał o firmie C&G Investigaciones.

Reporterzy „La Republiki”, posługując się książką kodów i szyfrów firmy FORZA, ustalili, że całą operacją przeciwko Marcowi Aranie, działaczom Grufidesu i innych organizacji kierował człowiek kryjący się pod pseudonimem „Pato”. Adresowano do niego wszystkie raporty o śledzeniu działaczy sprzeciwiających się praktykom koncernu Yanacocha-Newmont.

„Pato” to Schwarz, były oficer marynarki, jeden z założycieli i największych udziałowców firmy FORZA.

III

Edmundo Cruz jest starszym mężczyzną, średniego wzrostu, w nieco staromodnych dużych okularach. Mimo lekko spowolnionych gestów, cichego głosu i wrażenia fizycznej kruchości, jaką odciska wiek, emanuje energią. Wciąż jest reporterem śledczym w gazecie codziennej – rzadkość w jego wieku. Właśnie tego dnia „La República” ogłasza pierwszy z serii jego artykułów demaskujących kolejną aferę na szczytach władzy; następne odcinki będą drukowane przez kilka dni.

Siedzimy w kultowej kawiarni „Haiti” przy placu Kennedy’ego w Limie, kilka dni przed końcem kalendarzowego lata. Gwar ulicy jest tak głośny, że musimy wejść do środka, bo prawie się nie słyszymy.

Pytam Edmunda o „przypisy” do Operacji „Diabeł”. Przede wszystkim praktyki koncernów, ich związki z firmami ochroniarskimi; jak to się zaczęło, czyje interesy zderzają się w tej historii, jak odczytywać kontekst poznawany na co dzień z daleka, poprzez lektury.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, mówi Edmundo, wielu oficerów marynarki, lotnictwa, służb specjalnych po przejściu na emeryturę zakładało firmy ochroniarskie. Peru przeżywało boom tego rodzaju biznesu. W tym samym czasie rządy Fujimoriego i Montesinosa szczerze udzielały koncesji koncernom wydobywczym, inwestycje w tym

sektorze zwiększyły się dwudziestokrotnie. Koncerny potrzebowały ludzi od bezpieczeństwa, a ludzie od bezpieczeństwa potrzebowali hojnych klientów.

Gdy zaczęły się protesty przeciwko nadużyciom koncernów, dewastacji środowiska, firmy takie jak FORZA – akurat ta stała się największa w branży – miały pełne ręce roboty. Powstał rynek nie tylko na bezpośrednią ochronę, ale również zbieranie informacji, inwigilowanie i podsłuchiwanie „wichrzycieli”. W czasach dyktatury władza nie przejmowała się tego typu nadużyciami, robiła to samo, ale praktyki firm ochroniarskich przeżyły dyktaturę.

Operacja „Diabeł” przebiegała według schematu tajnych operacji, jakie służby specjalne prowadziły przeciwko opozycji politycznej w czasach Fujimoriego. Cajamarca nie jest jedynym miejscem. W mieście Piura, na północy Peru, firma FORZA pracowała dla innego koncernu wydobywczego i tam jej agenci uprowadzili grupę działaczy, wywieźli za miasto i poddali bestialskim torturom. Na nieszczęście dla oprawców jeden z nich robił zdjęcia.

Bajeczne pieniądze koncernów, mówi Edmundo, ożenione z umiejętnościami byłych oficerów wojska i wywiadu to ogromne niebezpieczeństwo dla demokracji. Firmy takie jak FORZA stworzyły równoległy do państwowego system wywiadu i kontrwywiadu. Mają lepszy sprzęt niż państwo i są poza kontrolą. Mogą zniszczyć każdego.

Śledztwo przeciwko firmie FORZA nigdy nie toczyło się na poważnie. Nie wyszło poza Cajamarcę i – pod presją koncernu – szybko zostało umorzone.

Po Operacji „Diabeł” i paru podobnych skandalach nazwa FORZA stała się kompromitująca dla jej klientów, a były nimi wielkie koncerny wydobywcze, energetyczne, banki, lotniska. FORZA sprzedała się innej firmie z branży – szwedzkiej SECURITAS. Większość zarządzających pozostała na stanowiskach, ci sami ludzie działają teraz pod innym szyldem.

Edmundo Cruz zamyśla się. Czy aby na pewno, zastanawia się, wiemy, kto stał za działaniami tej firmy? Albo kto faktycznie kontroluje SECURITAS? On sam nie zdziwiłby się, gdyby peruwiańskie służby specjalne i wojsko mieszały w tym kotle. Albo CIA.

Snuje hipotezę: gdyby był prezydentem Stanów Zjednoczonych a interesy największego amerykańskiego koncernu, który wydobywa złoto w Ameryce Łacińskiej, były zagrożone – na przykład przez wstrząsy społeczne – niepokoiłby się o bezpieczeństwo tegoż. To znaczy: postarał się, by ktoś na miejscu, nieformalnie, nie angażując autorytetu mocarstwa, pilnował spraw. O szczegółach lepiej nie wiedzieć.

Znowu ten „czad”, który „wypełnia szczelnie / domy świątynie bazyli / zatruwa studnie / niszczy budowle umysłu / pokrywa pleśnią chleb”.

Naprawdę „dowodem istnienia potwora / są jego ofiary”^[17].

Tylko one.

[14] Według hiszpańskiej nomenklatury: pilnowanie i śledzenie.

[15] Dirección de Investigación Criminal de la Policía Nacional de Perú; Dyrekcja Dochodzeń Kryminalnych Policji Narodowej Peru.

[16] To znaczy śledzenie ludzi, fotografowanie, nagrywanie.

[17] Zbigniew Herbert, *Potwór Pana Cogito*.

Dlaczego zginął Edmundo Becerra – ciąg dalszy, czyli że może uda się złapać rękę

W styczniu dwa tysiące dwunastego rozeszła się plotka, że współsprawca zabójstwa Esmunda, Fortunato Rodríguez, który właśnie wyszedł na wolność, opowiada to tu, to tam, od kogo otrzymał zlecenie.

Dowiaduję się, że najwięcej o sprawie wie dalszy krewny Esmunda, który jest figurą w lokalnym establishmencie. To przedstawiciel prezydenta Peru na Cajamarce, nazywa się Ever Hernández. Ma zaledwie trzydzieści lat, chłopięcy wygląd i jest Metysem o wyraźnych rysach autochtonów. Moje zaskoczenie, że w tym wieku zajmuje tak wysoki urząd, wyraźnie sprawia mu frajdę. Dzięki temu pękają lody i rozmowa toczy się bez oficjalnego dystansu. Tylko flaga narodowa na stoliku przypomina, że Ever Hernández to wysoki urzędnik, a nie kumpel z sąsiedztwa.

Prostuje pogłoski, przedstawia konkrety. Dwudziestego drugiego stycznia Fortunato Rodríguez zjawił się w wiosce Esmunda i próbował ukraść trzy krowy należące do krewnych zamordowanego. Pojmany przez wieśniaków, wyznał, że te trzy krowy to część należnej mu zapłaty za zabicie Esmunda. Już wcześniej krążyły plotki, że w zabójstwo byli zamieszani krewni ofiary, ale nie ustalono nic pewnego. Teraz współsprawca egzekucji wskazał jako zleceniodawców niejakiego Javiera Salcedo, szwagra Esmunda, jego żonę Elenę (siostrę Esmunda) i dwoje ich dorosłych dzieci. Salcedo na zebraniu mieszkańców wioski przyznał, że to prawda, jednak na posterunku policji wszystkiemu zaprzeczył.

Fortunato z kolei zeznał, że dwukrotnie przychodził do Salceda po zapłatę, ale ten miał powiedzieć, że jest stary i bez grosza, a poza tym „kontrakt” na zabójstwo był nie z nim, lecz z jego synem Eliasem i córką Marleni. Oboje pracują dla koncernu Yanacocha-Newmont.

Czy koncern miał związek ze zbrodnią? Nie ma dowodów, mówi Ever, że Yanacocha-Newmont albo inna firma górnicza była zamieszana w to zabójstwo. Są poszlaki, trzeba je zbadać. Podobnie należy zbadać związki Fortunata z koncernem. Wiadomo, że pracował dla firmy-podwykonawcy Yanacocha-Newmont. Znowu to nie dowód, jedynie trop, podpowiedź.

Ever Hernández podkreśla jeszcze coś, co od początku niepokoi wszystkich przejętych

zabójstwem Esmunda: nieznany motyw zabójców. Fortunato niczego w tej kwestii nie wykrył, nie wyjaśnił.

Jakże ma nie powracać hipoteza – dla zastraszonej niemal pewna – że Esmundo zginął, bo „wtrącał się w sprawy kopalni”?

Koncern, czyli kto?

Od kiedy tu jestem i poznaję coraz więcej szczegółów tej historii, nabieram wątpliwości, na ile – i czy w ogóle – interesuje mnie „wersja zdarzeń” według koncernu. Znam oficjalne oświadczenia i praktyki:

– To nie my, a jeśli zrobiliśmy coś nagannego, to musicie się zadowolić odszkodowaniem, my ustalimy wysokość. Z zastraszaniem działaczy nie mamy nic wspólnego. Z zabójstwami, co za pomysł? Wszystko, co robimy, jest legalne.

Zaglądam na stronę internetową Newmonta.

W pierwszym zdaniu koncern zapewnia, że „dotrzymuje standardów ekologicznych, jakich wymagają prawo krajowe i międzynarodowe”.

„Nasza firma promuje stały rozwój regionu, działa odpowiedzialnie, troszczy się o pracowników i wszystkich angażujących się w budowanie lepszego społeczeństwa, w którym górnictwo może koegzystować z innego typu produkcją”.

Dość.

Koncern to byt niemal abstrakcyjny. Brazylijscy *madereiros* i *fazendeiros*, którzy strzelają do obrońców środowiska i chłopów bez ziemi, to byty indywidualne. Można próbować, choć to trudne, zbliżyć się do nich, podejść, a jeśli się nie uda, obejrzeć twarze na fotografiach, posłuchać zdawkowych wypowiedzi w migawkach filmowych i telewizyjnych. Trudniej z nimi porozmawiać, ale ich historię osobistą, społeczną, motywacje, styl życia można zrekonstruować i o nich opowiedzieć. Z koncernem jest inaczej. Koncern to wirtualne, choć realne pieniądze, gąszcz przepisów i regulacji, zakulisowe naciski, maszyny wydobywcza, substancje chemiczne... A także wyciekła rtęć, kwaśna woda lub jej brak, zdechłe ryby.

Robotnik zapytany, dlaczego pracuje dla koncernu, odpowie: – Zarabiam na życie. Spytany, czy nie wie, że firma szkodzi mieszkańcom, może nawet nie zrozumieć pytania. On sam przecież nic złego nie robi. Tak samo odpowie menadżer w drogim garniturze, którego przywożą do pracy luksusowym autem ze strzeżonego osiedla. Przecież on porządkuje cyfry w komputerze, nie zleca śledzenia działaczy. Jeden i drugi, jeśli dostaną podobnie opłacaną pracę gdzie indziej, bez bólu odejdą.

Twarze i nazwiska, a przede wszystkim władzę, mają ludzie z zarządu firmy; na

przykład prezes Wayne Murdy, którego kamera telewizyjna złapała, jak z zawadiackim uśmiechem wyjaśniał, ile milionów zarabia koncern przy minimalnym wahnięciu kursu złota na światowych rynkach. Alberto Benavides, właściciel peruwiańskiej odnogi koncernu, jeden z kilku najbogatszych ludzi w kraju, reprezentuje starą oligarchię. Ale wszystko dzieje się pod szyldem koncernu: ci, którzy ponoszą odpowiedzialność, są zwykle niewidzialni.

To znaczy, że koncern to duch, zjawą? Był abstrakcyjny? Potwór, który – jak w wierszu – zostawia ślady, lecz nikt przecież go nie widział?

Kogo pytać o „wersję zdarzeń” według koncernu? Rzecznik to pracownik najemny od piaru, jutro może odejść. Czy musi utożsamiać się z polityką pracodawcy? Wydaje oświadczenia na zlecenie szefów. Przekazuje nie myśli i nie emocje, tylko słowa, które mają stworzyć pożądane dla firmy wrażenie na odbiorcach. Koncern nie ma uczuć ani sumienia. Jaki sens ma zadawanie rzecznikowi pytań o etykę czy ekologię?

Skoro jednak nie ma innej drogi, innej twarzy, którą można by spytać, próbuję tej oficjalnej – bez wiary w sens i bez wielkich oczekiwań.

Piszę e-mail do rzecznika. Nazywa się Roberto del Águila. Wyjaśniam, że chciałbym porozmawiać o nowym projekcie Conga, który w tych dniach znajduje się w centrum konfliktu między koncernem a miejscową ludnością, i trochę o historii, zaszłościach.

Po kilku dniach del Águila uprzejmie odpowiada, że jest zajęty. Proponuje, żebym przesłał pytania e-mailem, i obiecuje, że on sam lub ktoś inny z firmy, kto zajmuje się projektem, odpowie.

Spisuję pytania:

1. W jaki sposób koncern Yanacocha-Newmont zamierza uzyskać aprobatę mieszkańców regionu dla projektu Conga, mając w pamięci przeszłe zdarzenia, takie jak ignorowanie tradycji religijnych i kulturalnych, wyciek rtęci i wezwanie ludzi do jej zbierania, współpraca z firmą ochroniarską FORZA, która szpiegowała lokalnych przywódców i organizacje pozarządowe, nadużywanie praw pracowniczych przez podwykonawców koncernu, zabójstwa działaczy sprzeciwiających się projektom i praktykom koncernu (między innymi Esmunda Becerry i Isidra Llanosa), dokonane przez „nieznanych sprawców”?
2. W jakich przypadkach Yanacocha-Newmont zapłacił odszkodowania za szkody wyrządzone środowisku i wspólnotom?
3. Czy prawdą jest, że Yanacocha-Newmont wykupuje reklamy w środkach przekazu, które popierają projekty koncernu, i unika tych, które są krytyczne wobec działań

firmy?

4. Czy koncern oszacował szkody wyrządzone środowisku i wspólnotom lokalnym w regionie? Jakie są to szacunki?
5. W jaki sposób miejscowe wspólnoty zyskały na obecności koncernu w regionie?
6. Jakie korzyści będą mieli ludzie z projektu Conga?
7. W opinii wspólnot lokalnych obszar, na którym ma być realizowany projekt Conga, jest obszarem wysokiej wrażliwości i z tego powodu jest chroniony przez prawo (nr 28611, artykuły 98 i 99). Co sądzą o tym władze koncernu?
8. Liderzy wspólnot mówią, że doszło do nieprawidłowości zarówno w czasie konsultacji z mieszkańcami, jak i w sprawie aprobaty dla raportu *Estudio del impacto ambiental*, analizującego wpływ projektu Conga na środowisko. Jakie jest stanowisko koncernu Yanacocha-Newmont w tej kwestii?

Wątpię, czy odpowiedzą na wszystkie pytania, łudzę się, że może choć na niektóre. Spodziewam się raczej, że przyślą ogólną odpowiedź, która będzie syntezą oficjalnego stanowiska koncernu.

Wysyłam.

Czekam.

Marco i Mirtha – ciąg dalszy, czyli mamy was na oku

Marco nie przesadza, gdy rozgląda się na ulicy, dopytuje, kto ma przyjść do biura. Ani gdy nie opowiada wszystkim wokoło o swoich planach.

Kilka miesięcy przed naszym spotkaniem jechał samochodem do Piury, miasta leżącego na północ od Cajamarki. Po drodze zmieniał samochód. O trasie przejazdu wiedział tylko on, zaufany kierowca i człowiek, z którym miał się spotkać.

Zatrzymała ich w górach, na odludziu, grupa górali. Marco wie, że miejscowi zatrzymują nieznanych przybyszów. Straże obywatelskie wiosek legitymują ich, wypytują, co robią, dokąd jadą. Tę czujność górali uzasadniają kradzieże kóz i lam.

Marco dostrzegł nagle szczegół, który wzbudził najpierw zdziwienie, a po chwili niepokój: górale mieli wydrukowaną listę z nazwiskami. Okazało się, że figuruje na niej nazwisko Marca. Wieśniacy w górach z wydrukowaną listą? Nie było jak zawiadomić przyjaciół, że dzieje się coś dziwnego, że robi się niebezpiecznie. Wysoko w Andach telefony komórkowe nie mają zasięgu.

Marco dyskretnie dał znać kierowcy, że trzeba pryskać. W stronę samochodu poleciały kamienie i strzały. Wymknęli się dzięki zręczności szofera? Sam Marco podważa po chwili własne wyjaśnienie.

– Gdyby chcieli – spekuluje – mogli mnie zabić tam czy gdzieś indziej. Zamierzali chyba nastraszyć.

Poszedł na policję. Nikt inny podobnego doniesienia nie złożył. Jeśli to była banda górskich rabusiów, to dziwne, że napadli tylko jednego jedynego podróżnika.

Skąd wiedzieli, że będzie tamtędy jechał? Marco sądzi, że z tego samego źródła, z którego autorzy Operacji „Diabeł”: z podsłuchów.

Mirtha miała nieco inne, choć podobne przygody.

Ktoś uszkodził przewody w jej samochodzie.

Kiedy indziej rodzice, z którymi wówczas mieszkała, znaleźli na progu domu walizkę. Obawiając się, że to bomba, wezwali policję. Saper wyjął z walizki kamizelkę z napisem *vigilancia* – taką, jakie noszą zazwyczaj ochroniarze. Po hiszpańsku *vigilancia* znaczy „ochrona”, ale również „obserwowanie”.

Mirtha odebrała ten sygnał jednoznacznie: uważaj, mamy cię na oku.

Zaginiony raport, czyli krótka opowieść o republice bananowej

I

Gustavowi Gorritiemu stuknął już siódmy krzyżyk, a wciąż ma sylwetkę atlety. Uścisk dłoni i bicepsy rozpychające rękawek T-shirtu prowokują myśl, że tego faceta lepiej nie zaczepiać. W zespole reporterów śledczych, którym kieruje, obowiązkowe są zajęcia ze sztuk walki. Jujitsu, krav maga, karate, wszystko jedno, każdy musi coś trenować – systematycznie. A jeśli nie, to co pewien czas musi wracać na salę gimnastyczną, by nie wyjść z wprawy. Reporterzy i reporterki śledcze w Peru są zawsze narażeni na atak „nieznanych sprawców”, próbę pobicia, porwania. Bystrość umysłu i zapał nie wystarczają do uprawiania tej profesji. Trzeba mieć kondycję fizyczną, krzepę, refleks; umieć obezwładnić agresora. Tak uważa Gorriti i konsekwentnie wymaga, żeby koleżanki i koledzy uważali tak samo.

Zdarzało mu się korzystać z fizycznej przewagi, choć nie w sprawie projektu Conga. W trakcie konfliktu o eksploatację nowych złóż Gorriti i jego zespół pod nazwą IDL-Reporteros – prawdziwi stróże demokracji przed nadużyciami władzy – zdołali unaocznić, jak funkcjonuje republika bananowa o nazwie Peru. Swoje ustalenia publikują na niezależnym portalu internetowym, które cytują potem inne środki masowego przekazu. W ten sposób, redagując mały portal w internecie, reporterzy Gorritiego zdołali usunąć niejednego ministra, również z powodu projektu Conga.

Gorriti nie opowiada się w tym konflikcie po żadnej ze stron. Jest zawodowcem, stróżem demokracji. Rzuca na stół fakty, raporty, dokumenty, cyfry, które władza chciałaby ukryć. Uważnie przygląda się temu, co robi i czego nie robi rząd, śledzi związki urzędników z koncernami, skrupulatnie tropi sprzeczności i kłamstwa w oświadczeniach jednych i drugich, zadaje niewygodne pytania. Nie przepada za buntownikami z Cajamarki, niektórzy budzą jego niechęć, inni sceptycyzm. O wielu z nich Gorriti mówi *antimineros*, czyli przeciwnicy eksploatacji złóż, a przecież Peru to kraj, który żyje z surowców. Być *antiminero* to trochę działać wbrew interesom kraju. W ruchu sprzeciwu wobec praktyk koncernu Yanacocha-Newmont Gorriti dostrzega, prócz uzasadnionych pretensji i żalów, dużo partyjnych interesików i interesów, szkodliwego politykowania lokalnych kacyków. Jako stróż demokracji, a tak pojmuje swój zawód, odsuwa na bok

wątpliwości i osobiste niechęci – ma przede wszystkim patrzeć władzy na ręce, a te są w Peru naprawdę bardzo lepkie.

II

Pod koniec dwa tysiące jedenastego w kręgach rządowych i środkach przekazu zaczyna się mówić o raporcie *Estudio del impacto ambiental (EIA)*. Raport opisuje wpływ projektu Conga na środowisko. Jest korzystny z punktu widzenia interesów firmy Yanacocha-Newmont – nic dziwnego, to koncern sfinansował jego powstanie. Za pomocą działań z dziedziny *public relations* firmie udało się stworzyć wrażenie, że raport ma charakter ekspercki, niezależny od stron konfliktu. Taki raport to potężna broń propagandowa.

Tymczasem serię dziwnych zdarzeń uruchamia wypowiedź ministra energii i kopalń. Ogłasza on publicznie, że raport spotkał się z przychylnym przyjęciem ministerstwa ochrony środowiska. Ale dlaczego jeden minister mówi, co myśli drugi? Minister środowiska zaprzecza – w ogóle nie zna tego raportu.

(Gorriti czujnie zauważa, że minister energii i kopalń wracał z inspekcji terenowej samolotem należącym do koncernu Yanacocha-Newmont. Takie szczegóły w sprawie, w której nietrudno o konflikt interesów i podejrzenia o korupcję, mają znaczenie).

Zespół reporterów śledczych zaczyna węszyć. Pierwsze zdziwienie: ministerstwo ochrony środowiska nie otrzymało raportu. Jeden z wiceministrów prosi resort energii i kopalń o przesłanie tekstu do zaopiniowania. Zdziwienie drugie: adresat milczy. Kolejną prośbę wysyła inny wiceminister. Zdziwienie trzecie: udaje mu się uzyskać raport, niestety bez kilku kluczowych aneksów. Cały dokument ministerstwo ochrony środowiska otrzymuje dopiero z biura koncernu, szefowie firmy wolą nie ryzykować obstrukcji kluczowego w tej sprawie ministra.

Po zapoznaniu się z raportem minister ochrony środowiska wcale nie ma o nim dobrego zdania. Na jedenastu stronach grupa resortowych urzędników i analityków, pod kierunkiem wiceministra José de Echave, stwierdza, że projekt Conga zmieni w sposób nieodwracalny zasoby wody w regionie, że doprowadzi do zniknięcia kilku ekosystemów, w tym czterech lagun; dwie z nich mają stać się gigantycznym zbiornikiem odpadów skażonych chemikaliami. W opinii ministerialnych ekspertów, laguny pełnią rolę regulatora zasobów wodnych, podobną do roli lodowców. Ministerstwo ma zająć od koncernu przeprowadzenia dodatkowych badań, które oszacują skutki eksploatacji nowych złóż – społeczne, ekonomiczne, dla środowiska – na różnych etapach produkcji.

Gorriti stwierdza w jednym z komentarzy, że ocena ta daje nowemu wówczas prezydentowi Ollancie Humali racjonalne argumenty, uzasadniające podjęcie nowych decyzji, takich, których koszty ekologiczne nie będą wyższe niż zyski, jakie kraj wyniesie

z eksploatacji złóż. Wszystkie poprzednie rządy, poczynając od Fujimoriego, szły koncernowi na rękę – wyjątkiem był konflikt wokół wzgórza Quilish, kiedy bunt miejscowych uniemożliwił eksploatację złóż i rząd, przyparty do ściany, stanął po stronie mieszkańców.

Projekt Conga zostaje zawieszony. Rząd nie wypowiada się przeciwko eksploatacji nowych złóż, domaga się tylko zmian w planach wydobywczych, które uwzględnią racje mieszkańców, ekspertów, ekologów. Dyrektorzy koncernu robią dobrą minę i wypowiadają się tak, jakby Lima nie zmieniła stanowiska.

Tymczasem w ministerstwie ochrony środowiska trzęsienie ziemi. Kilka dni po napisaniu owych krytycznych jedenastu stron o Conga do dymisji podaje się wiceminister José de Echave, ten, który kierował zespołem ekspertów. Mówi, że rząd nie ma strategii rozwiązywania konfliktów takich jak rozgrywający się wokół Conga. Krótco potem dochodzi do wymiany całego rządu.

Wydarzenia nabierają tempa dwa miesiące później. Nowy minister ochrony środowiska Manuel Pulgar, spytany w telewizji o krytyczne opracowanie na temat projektu Conga, stwierdza, że nie może go znaleźć. Prosił podwładnych o dostarczenie opracowania, ale nikt nie może tego tekstu odszukać.

(Reporterzy z zespołu Gorritiego ironizują: „dokument-duch doprowadził do zawieszenia projektu Conga”).

Z odsieczą ministrowi spieszy jego poprzednik. Publicznie zapewnia, że w ministerstwie nigdy nie powstało opracowanie krytyczne wobec Conga. Był tylko „wewnętrzny dokument, pomoc dla pamięci”.

(Reporterzy kpią: „Jaki byłby tu właściwy termin? Wyciek z pióra, zlewka, trzęsienie portkami?”).

Zespół Gorritiego z elegancką ironią ogłasza, że to oni, reporterzy, znaleźli opracowanie i dostarczają je wszystkim zainteresowanym w internecie. Dziennikarze piszą z przekąsem, że tytuł opracowania nie sugeruje, iżby chodziło o „pomoc dla pamięci” czy „dokument wewnętrzny”, lecz o *Raport 001-2011*. Oznacza to, że tekst ma charakter oficjalny, że przeszedł przez ręce ministra i trafił na biurko prezydenta.

Reporterzy wyjaśniają, że *Raport 001-2011* powstał dzięki pracy dwudziestu pięciu ekspertów i urzędników ministerstwa, niektórych w randze dyrektora generalnego; że prace trwały szesnaście dni i nocy, a pracujący nad dokumentem oficjele zajmowali się w tym czasie – za sugestią samego ministra – wyłącznie tym zadaniem. Reporterzy cytują wywiad byłego ministra, zaprzeczającego teraz istnieniu *Raportu 001-2011* i opowiadającego, jak spędził dni i noce, pracując nad sprawą Conga.

„Dlaczego zatem minister Pulgar nie mógł znaleźć raportu? – pyta Gorriti. – A może nie

chciał go znaleźć? Jeśli tak, to dlaczego?”.

III

Znalezienie odpowiedzi zajęło reporterom śledczym kilka dni. Na stronie IDL-Reporteros pojawił się tekst pod tytułem *Dziś minister, wczoraj prawie dyrektor Yanacocha*. Chodzi o to, że nowy minister Manuel Pulgar, zanim objął urząd, miał zostać ważnym dyrektorem w koncernie.

Szefostwo Yanacocha-Newmont nie kryło, jaki był cel negocjacji i prób zatrudnienia Pulgara: „poprawienie stosunków koncernu z władzami lokalnymi i regionalnymi”. Rozmowy z przyszłym ministrem trwały cztery miesiące, obejmowały spotkania osobiste i rozmowy telefoniczne. Stanowisko planowano utworzyć specjalnie dla niego.

Gdy Pulgar nie zdecydował się na pracę w koncernie, porzucono pomysł zatrudnienia kogoś innego na to samo miejsce.

Dlaczego minister ukrył przed opinią publiczną fakt, że negocjował swoje zatrudnienie z firmą, w interesie której jako minister ma podejmować decyzje? – pytał retorycznie Gorriti.

Nigdy nie otrzymał przekonującej odpowiedzi. Usłyszał oskarżenia, że zespół reporterów, którym kieruje, działa w złej wierze i postąpił wobec ministra nieuczciwie.

Eksperci i „eksperci”, czyli jak skołować opinię publiczną

I

Marco Arana zaprosił do Peru eksperta od górnictwa i jego wpływu na środowisko. Nazywa się Robert Moran, jest Amerykaninem ze stanu Kolorado, gdzie pracuje dla Environmental Defender Law Center. Od czterdziestu lat pisze ekspertyzy geochemiczne i hydrologiczne, pracował w blisko trzydziestu krajach na wszystkich kontynentach. Najlepiej zna się na zanieczyszczeniach wody, które powstają w wyniku eksploatacji minerałów.

W tych dniach, kiedy przemierzam drogę z Limy do Cajamarki i z powrotem, Grufides organizuje w stolicy dużą konferencję, której celem jest prezentacja wniosków Morana. Ich zaletą jest przystępność. Mają dwadzieścia stron, każdy może je zrozumieć. Raport sfinansowany przez Yanacocha-Newmont ma ponad dziewięć tysięcy stron, razem z mapami i tabelami, a ważne informacje są w nim rozproszone. Nawet fachowcy gubią się w gąszczu szczegółów, mętniactwie, chaosie. („Można pomyśleć, że chaos ten jest zamierzony”, sugeruje Moran).

Mowa Morana jest klarowna (streszczam niektóre wnioski):

Raport *Estudio del impacto ambiental* nie ma charakteru naukowego ani niezależnego. Wytworzyły go firmy zainteresowane realizacją projektu Conga, a w przyszłości innych.

Raport zawiera wiele użytecznych informacji, ale często omija „niewygodne” szczegóły. To wytwór piaru.

Wszystkie projekty podobne do projektu Conga mają negatywny wpływ na zasoby wodne. Nie ma powodu sądzić, że w przypadku Conga będzie inaczej.

Moran szacuje ilość wody zużytej w czasie realizacji projektu, skalę zanieczyszczeń, dewastację ekosystemów. Zarzuca władzom koncernu, że nie przedstawiły wielu koniecznych szacunków, na dodatek twierdziły, że na dłuższą metę eksploatacja złóż nie przyniesie ujemnych skutków dla środowiska i ludności. Podsumowuje:

Raport na temat projektu Conga to dokument źle opracowany i nieuczciwy, co zdumiewa, biorąc pod uwagę wielkość inwestycji – cztery miliardy osiemset milionów dolarów – jak i udział poważnych koncernów (Newmont i Buenaventura), Banku Światowego, który udziela pożyczek

sektorowi prywatnemu, oraz International Finance Corporation. Obszar projektu Conga był badany latami przez wiele instytucji konsultingowych, a raport został przejrany i dwukrotnie przyjęty przez rząd peruwiański – mimo to nie dostarcza informacji o charakterze technicznym, które by pozwoliły lokalnym społecznościom, jak i instytucjom nadzorującym, na podjęcie właściwych decyzji. To drwiny z ludzi i agend państwowych.

II

Chętnie dopisałbym pytanie o zarzuty amerykańskiego eksperta, ale powstrzymuję się. Rzecznik koncernu ma już listę moich pytań, ale wciąż nie odpowiada.

Czekam dalej.

III

Tymczasem na rozmowę zgadza się szef firmy, która robi piar dla Yanacocha-Newmont. Sandro Ventura, przed czterdziestką, był kiedyś socjologiem, ale branża *public relations* oferowała lepsze życie niż uczelnia. Widać to od razu po ubraniu: dobrej jakości sportowa koszula w drobną kratkę, eleganckie czarne buty, sztywne oprawki okularów. Gość z reklamowego klipu.

A przede wszystkim – świetna nawijka.

(Jak być otwartym na nowe argumenty i nie ulec technikom *public relations*?).

Sandro skraca dystans; od pierwszych chwil jesteśmy starymi kumplami. To w Peru, jak i w całej Ameryce Łacińskiej, częste, ale tu trzeba się pilnować: rozmawiam z zawodowym piarowcem, którego wynajmuje największy producent złota na kontynencie.

Zaczyna opowieść, jakby był działaczem Grufidesu: mówi o fatalnym klimacie społecznym, jaki koncern wytworzył wokół swojej działalności w Cajamarce.

(Dobry początek. Najpierw uspić wścibskiego żurnalistę).

Z ust Sandra pada określenie „perwersyjne stosunki” koncernu i lokalnej prasy. Mówi, że gdy były kontrakty reklamowe, prasa pisała dobrze o koncernie, gdy kontraktów nie było, pisała źle.

(W tym momencie prawie zapominam, dla kogo pracuje Sandro i jestem o krok od uznania, że rozmawiam z obiektywnym analitykiem).

Zadzwonili do nas z Yanacocha-Newmont, mówi, i poprosili, byśmy porozmawiali z miejscowymi, wysłuchali skarg, a potem zaproponowali, co zrobić dla poprawy wzajemnych stosunków. I oczywiście aprobaty ludzi dla projektu Conga.

Sandro przedstawia, co ustalił: prawdziwą przyczyną niechęci miejscowej ludności do koncernu są „zaszłości”. To znaczy brak konsultacji z ludźmi, wypadki takie jak wyciek rtęci w Choropampie, a przede wszystkim nierówności społeczne, jakie stworzyło lub powiększyło wejście koncernu do Cajamarki. O jakie nierówności chodzi? Na przykład,

niewielka część lokalnych przedsiębiorców ma w miarę stałe kontrakty z koncernem, reszta jest poza grą, przygląda się graczom na boisku. Inny przykład: nauczyciele są wściekli, że zarabiają mniej niż ochroniarze w koncernie. I mają rację, wykrzykuje Sandro, ja też byłbym wściekły! Ludzie czują się upokorzeni, bo widzą sukcesy innych, w których nie uczestniczą. Bieda w regionie zmniejszyła się, nierówności zwiększyły.

(Brzmi racjonalnie. Czekam na wnioski).

Wszystko, co mówi Sandro, przygotowuje grunt pod konkluzję: działalność koncernu nie szkodzi środowisku; ludzi przepełniają urazy, frustracje, które wyrażają w języku obrony przyrody, tymczasem nie ma dowodów na to, że koncern zanieczyszcza zasoby wodne; tekst Morana to nie ekspertyza, lecz opinia pełna przypuszczeń i hipotez, żadnych szczegółów, żadnych danych.

Jeszcze raz: problemem wokół projektu Conga, mówi Sandro, jest wybuchowy klimat społeczny, a nie zagrożenie dla środowiska. Owszem, firma niszczy pejzaż, cóż zrobić, ale w zamian buduje drogi. Co jest bardziej praktyczne? Co ważniejsze? Poza tym Yanacocha-Newmont dociera tam, gdzie nie dociera państwo, czyli do odległych andyjskich wspólnot. To państwo ma na sumieniu zaniedbania, nie koncern.

Sandro jest błyskotliwym piarowcem. Prawie przeszedłem na jego stronę.

IV

W protestach miejscowych przeciwko koncernowi mieszają się dwie postawy: krytyki nadużyć Yanacocha-Newmont i wrogości wobec jakichkolwiek działań wydobywczych. Ta druga postawa to amunicja dla ludzi z działu *public relations* firmy. Dzięki niej mogą odwoływać się do insynuacji, że zbuntowani mieszkańcy Cajamarki są „zacofani”, „przeciwni rozwojowi kraju”, a rząd w Limie często tej propagandzie przyklaskuje. Co z tego, że koncern i tak robi swoje, a Cajamarca ma z tego głównie problemy (zyski idą za granicę, względnie na konta przekupionych polityków). Ta propaganda trafia do „konsumentów informacji” – przede wszystkim ludzi z klasy średniej – i znieczula ich na prześladowania buntowników z prowincji. Jeśli do obelg „zacofani”, „przeciwni rozwojowi” dodać „skrajnie lewicowi”, a tak robi propaganda koncernu, zblatowanych mediów i rządu, to portret wroga jest gotowy. Wtedy za milczącym przyzwoleniem klas opiniotwórczych wolno bić, torturować, strzelać.

Spytałem Mirthę i Marca – każde z osobna – czy obiektem krytyki przeciwników koncernu są nadużycia firmy, czy w ogóle wszelka działalność wydobywcza.

Mirtha mówi, że nie da się rozdzielić obu postaw: jedna wypływa z drugiej. Jeśli przez lata doświadczało się jedynie nadużyć koncernu, to nadużycia te stanowią w oczach poszkodowanych istotę działalności firm wydobywczych. Sprzeciw wobec nadużyć staje się

faktycznie sprzeciwem wobec wszelkiej eksploatacji minerałów. Ludzie po prostu nie wierzą, że możliwe jest wydobywanie złota bez niszczenia ich gospodarstw, osuszania źródeł wody i zatrucia chemikaliami pozostałej.

Marco stwierdza mniej więcej to samo, dodaje, że benzyny do ognia dolały zawiedzione nadzieje: ludzie oczekiwali, że pojawienie się koncernu stworzy miejsca pracy, wyciągnie region z biedy. Sam nie jest przeciwny eksploatacji złóż, ale uważa, że powinna mieć ograniczenia terytorialne. Kluczowa jest redukcja do minimum szkód wyrządzanych w środowisku i zgoda ludności (*licencia social*). Logika koncernów jest inna, mówi: wydobywamy wszędzie tam, gdzie jest coś do wydobywania.

Niedawno Marco zdołał opublikować – drugi raz w życiu – artykuł w największej peruwiańskiej gazecie „El Comercio”, w którym poddał krytyce rządu na kontynencie, tak lewicowe, jak i prawicowe, eksploatujące w imię zwalczania biedy bogactwa naturalne bez zważania na nieodwracalne niszczenie środowiska. Pisze w nim, że w Boliwii pod rządami Evo Moralesa wydobywa się więcej minerałów niż za jego poprzednika związanego z biznesem górniczym; że Rafael Correa to największy w historii Ekwadoru entuzjasta eksploatacji podziemnych bogactw; dostaje się również Luli i żyjącemu jeszcze wówczas Hugonowi Chavezowi.

Jedynym wśród latynoskich przywódców wzorem dla Marca jest José Mujica z Urugwaju. Cytuje jego retoryczne pytania: „Czy świat ma dość zasobów, żeby siedem lub osiem miliardów ludzi osiągnęło poziom konsumpcji najbogatszych społeczeństw zachodnich? Zarządzamy globalizacją czy może to ona nami rządzi?”.

Marco wierzy, że ten sposób myślenia, dzisiaj w mniejszości, stanie się kiedyś głównym nurtem polityki na kontynencie i na świecie. Z konieczności.

V

To był news dnia.

Na scenie zjawiają się nowi aktorzy (a może statyści?): międzynarodowi eksperci, dwóch Hiszpanów i Portugalczyk. Zaprosił ich rząd, mają jeszcze raz, niezależnie od stron konfliktu, ocenić, czy projekt Conga niesie zagrożenie dla środowiska.

Do lagun, których woda ma być użyta do eksploatacji złóż, nie da się dojechać od wielu dni. Obszar wokół został zmilitaryzowany, wojsko zatrzymuje każdego, kto chce się zbliżyć.

Trzech ekspertów spędza nad lagunami tydzień. Wracają do Limy, przemawiają mową ezopową. Zalecają ocalić laguny, ale to tylko zalecenie, nic stanowczego. Jeśli jest tu coś stanowczego, to umycie rąk, bijcie się sami.

Każdy z aktorów dramatu rozumie słowa ekspertów tak, jak mu wygodnie.

Prezydent Humala sugeruje, żeby koncern rozważył ocalenie dwóch lagun, w których mają być gromadzone odpady poprodukcyjne.

Wiceprezydent Yanacocha-Newmont krytykuje relacje mediów, które niewłaściwie zinterpretowały słowa Humali – jako prośbę o ocalenie lagun, a to, w opinii wiceszefa koncernu, odbiega od zaleceń międzynarodowych ekspertów.

Ekolodzy z Grufidesu stwierdzają: „Oblicze koncernu pozostaje niezmiennie”.

Dyrekcja Yanacocha-Newmont ogłasza, że przyjmuje niektóre zalecenia ekspertów, ale nie obiecuje ocalenia lagun.

Prezydent Humala wita z zadowoleniem „nowe”, „pełne szacunku” podejście koncernu do sprawy.

Mieszkańcy Cajamarki, Celendinu i okolicznych wiosek wężą fortel. Podejrzewają, że zaproszenie ekspertów to zasłona dymna – i tak dojdzie do realizacji projektu Conga.

Przemilczeć, zastraszyć, czyli ten sam teatr i te same dekoracje

I

Któregoś z tamtych dni do mojego hotelu w Cajamarce przyszedł Wilfredo Saavedra, adwokat, znany w mieście obrońca zbuntowanych górali i środowiska. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Saavedra spędził dziesięć lat w koszmarnym więzieniu za związki z marksistowską partyzantką Tupac Amaru, których nigdy mu nie dowiedziono (był lewicowym działaczem, ale w walce zbrojnej nie brał udziału). W jego więziennej celi piętnastu więźniów siedziało, leżało, wisiało na kilku metrach kwadratowych. Bez okna i bez światła.

– Jeśli pan chce, możemy pójść do jakiejś kawiarni, bo ja tutaj – Saavedra wskazał na recepcję hotelu – nie jestem mile widziany.

Domyślam się, o co chodzi, ale i tak pytam:

– Dlaczego?

– W tym hotelu zatrzymują się ludzie, którzy robią interesy z koncernem Yanacocha-Newmont. Moje zdjęcie często pojawia się w gazetach, zawsze jako „wroga koncernów wydobywczych”.

– Nie mam z tym problemu. Usiądźmy i zobaczmy, czy ktoś pana zaczepi.

Saavedra chętnie się zgadza.

Nikt nas nie zaczepia, choć chłopcy z obsługi gapią się i wskazują sobie Saavedrę skinieniami głowy, gdy rozmawiamy, siedząc na wygodnej kanapie w lobby.

Saavedra przyszedł na spotkanie prosto z posterunku policji, dokąd został wezwany na przesłuchanie. Zarzut: zakłócanie porządku publicznego i atak na środki transportu (chodzi o to, że w czasie którejś z licznych manifestacji obrzucono kamieniami policyjne samochody, a gdzie indziej stłuczono szybę w oknie autobusu).

– Nękają mnie, chodzą za mną – mówi Saavedra. – Żona denerwuje się, płacze. Możliwe, że teraz też nas obserwują.

Potem, gdy wyszliśmy na rynek i rozglądaliśmy się wkoło, nie dostrzegliśmy nikogo, kto by za nami podążał. Przyszły żona i córka Saavedry, szczęśliwe, że męża i ojca nie zatrzymano. Dzięki temu wspólnie zjedzą lunch. A jutro? Jutro, zobaczymy.

Saavedra miał do przekazania właściwie jedną, za to ważną myśl: w Cajamarce poleje

się krew. Władze w Limie i koncern, mówił, są zblatowane. Projekt Conga ruszy prędzej czy później, a ludzie nie poddadzą się. Może dojść do masakry.

Po dwóch dniach Saavedrę zatrzymano. Przewieziono go samolotem, niczym terrorystę, na przesłuchanie do Limy. Były kamery, flesze – władza z pomocą środków przekazu zrobiła z zatrzymania spektakl. Formalnie nie przedstawiono Saavedrze zarzutów. Z powrotem przetransportowano go do Cajamarki, postawiono przed prokuratorem. Znowu – bez formalnego oskarżenia. Saavedra odmówił zeznań. Po kilku dniach został zwolniony.

Tak wygląda teatr zastraszania. Lekcja dla następnych.

II

Oskarżyć o radykalizm, tajne spiskowanie, związki z terrorystami i narkobiznesem; oddzielić „ziarno od plew”, „wichrzycieli” od „zdrowego nurtu społeczeństwa” – i uzasadnienie represji gotowe. Badacze polityki nazywają to „kryminalizowaniem protestów społecznych”.

Tak o strategii władzy wobec protestujących w Cajamarce mówi Rocío Silva Santisteban, po pięćdziesiątce, koordynatorka kilkudziesięciu organizacji praw człowieka w Peru. Rocío, urodzona w Cajamarce, ma sentyment do miasta dzieciństwa, tym bardziej boli ją to, co się tu dzieje. Czara jej gniewu przelała się czwartego lipca dwa tysiące dwunastego, kiedy do policjanta bijącego parę chwil wcześniej protestujących podeszła młoda kobieta i dwukrotnie spytała:

– Dlaczego nas tak traktujecie?

– Bo jesteście psami, w pizdu-twojej-matki.

Ktoś tę scenkę nagrał, najpewniej kamerą w telefonie komórkowym, i umieścił w internecie. Rocío oglądała to nagranie na YouTube wiele razy. Nie chodzi jedynie o porównanie demonstrantów do psów, mówi. Rzecz w tym, że pies w ustach tego policjanta to najpodlejsze ze stworzeń, gorsze od dokuczliwego insekta. To zwierzę, które należy poddać pełnej kontroli, wytresować. Obelga policjanta wobec młodej mieszkanki Cajamarki wyrażała pogardę i nienawiść władzy wobec biedoty walczącej o swoje prawa. Na przykład, o prawo do czystej wody w kranie i górskim źródleku.

Rocío przesłuchiwała wypowiedzi prezydenta, jego najbliższych współpracowników, dowódców sił mundurowych – i przeraziła się. Układają się w niepokojącą strategię, Rocío zna podobne z przeszłości. Jeden mówi, że liderzy protestów to „komuniści”, „radykałowie” i „ultralewacy”. Drugi sugeruje związki protestujących z niedobitkami partyzantki. Trzeci „ujawnia”, że protesty finansuje po cichu narkobiznes. Czwarty – że w samochodzie pewnego biskupa znaleziono amunicję. Piąty – że zastrzelonego w czasie

jednej z manifestacji uczestnika zabili sami protestujący. A prezydent Humala dorzuca swoje: że buntownicy „będą musieli ponieść konsekwencje”.

Te paranoiczne wypowiedzi i spiskowe teorie, mówi Rocío, to przygrywka do operacji policyjnych i wojskowych, które zagrażają życiu protestujących i demokracji w Peru. Rocío sądzi, że celem władzy jest zradyzalizowanie nastrojów i form protestu, być może sprowokowanie ludzi do aktów przemocy. Po co? Żeby zaprowadzić w majestacie prawa, z przyzwoleniem polityków i grup opiniotwórczych, autorytarne rządy w obronie – jakby to groteskowo nie brzmiało – demokracji. Już teraz dowiadujemy się, że państwo uruchamia aparat represji nie przeciwko mieszkańcom biednego regionu, którym zabrano ziemię i zatruto wodę, lecz przeciwko „terrorystom” i poplecznikom „narkobiznesu”. A przecież z „terrorystami” i „narkobiznesem” – każdy się zgodzi – nie prowadzi się negocjacji. Takim pokazuje się bat i pięść.

A koncern? Koncern prowadziłby swój *business as usual* w ciszy andyjskiego raj. Bez zakłóceń.

III

Mam okazję przekonać się, jak w tym teatrze pogrywają lokalne środki przekazu.

„Clarín” daje na czołówce tytuł *NIE protestom* – artykuł o tym, że lokalni przedsiębiorcy mobilizują się przeciwko autochtonom i ekologom, zapowiadają swoją demonstrację. Dzień później artykuł o tym, że przedsiębiorcy wycofują maszynę, która miała pracować przy projekcie Conga, a sześć tysięcy robotników straci pracę. (Stary numer: napuszczanie biednych na biednych).

„Panorama” zamieszcza na pierwszej stronie duże zdjęcie dzieci z czerwonymi chorągiewkami z sierpem i młotem. To dzieci towarzyszy z pewnej lewicowej partii, która odgrywa jakąś rolę w lokalnej polityce. Chodzi o stworzenie wrażenia, że krytycy praktyk koncernu i obrońcy zasobów wody w regionie to czerwona hołota, która marzy o dyktaturze komunistycznej. Peru ma w kościach wojnę domową z maoistowskim Świetlistym Szlakiem, część opinii publicznej wciąż jest podatna na tego rodzaju chwyt. Gazeta nie przejmuje się tym, że w Cajamarce nigdy nie było Świetlistego Szlaku. Nie chodzi o fakty, lecz o emocje, zasianie niepokoju.

Najbardziej niesamowite jest jednak nie to, co w gazetach napisano, lecz przemilczenia. Dzień po wielotysięcznej demonstracji przeciwko projektowi Conga, na czele której szedł prezydent regionu Gregorio Santos, miejscowe dzienniki nie napisały o niej ani słowa. News dnia w regionie, wydarzenie, którym żyła Cajamarca i na które zmobilizowano setki policjantów, nie było godne najmniejszej wzmianki w lokalnej prasie.

Koncern milczy, czyli pułapki wazenia prawdy obiektywnej

Rzecznik koncernu nigdy nie odpowiedział na wysłane e-mailem pytania.

Czy powinienem się dziwić? Przecież nie liczyłem, że firma, która działa według reguł przywodzących na myśl kinowe thrillery *Wierny ogrodnik*, *Zaklinacz deszczu*, *Erin Brokovich* bądź praktyki subtelniejszej odmiany kolonializmu, będzie korespondowała z reporterem, piszącym w egzotycznym języku. Zresztą z „New York Timesem” ludzie koncernu też nie chcieli rozmawiać.

Coby mieli powiedzieć? Żałujemy szkód, wypłacimy odszkodowania? Albo: tak, zleciliśmy inwigilację Marca Arany i innych działaczy, przepraszamy? Wolne żarty. Najpewniej szliby w zaparte: przynieśliśmy Cajamarce rozwój, nie trujemy środowiska, a za wyrządzone szkody płacimy rekompensaty.

Teraz zastanawiam się, cobym zrobił, gdyby rzecznik koncernu odpowiedział na mój e-list i zρέcznie się wykpił? Czy reporter, historyk, pisarz, badacz powinien udzielać głosu „drugiej stronie” konfliktu na równych prawach, gdy ma dość przykładów, że ta „druga strona” kłamie, dopuszcza się nadużyć, manipulacji, a także ma na koncie poważniejsze grzechy? Uzasadnieniem są reguły sztuki naukowej, dziennikarskiej, badawczej – zasadniczo słuszne i niepodważalne. Przede wszystkim – ciekawość, tu: ciekawość technik z dziedziny *public relations*, retoryki zasłaniającej brutalną prawdę o eksploatacji złota. Wykręty to niekiedy przydatne lustro w odkrywaniu prawdy. Ale i trudno uciec od wątpliwości, czy w okolicznościach takich jak te w Cajamarce prawidła profesji nie przyczyniają się do nadawania „praw obywatelskich” nadużyciom, zamętowi informacyjnemu, relatywizowaniu krzywd, produkowaniu ślepoty moralnej.

Chyba pierwszy raz cieszę się, że ktoś nie odpowiedział na zadane pytania i nie muszę zapełniać tych stron wykrętami.

Biją Marca, straszą Mirthę, czyli kinowy sequel w realu

Przez ponad rok śledziłem w internecie, co się działo wokół projektu Conga. Wymieniałem e-maile z Pablem Sanchezem i dziennikarzami obserwującymi konflikt. Sporo się wydarzyło, postanowiłem wrócić.

Projekt Conga znajduje się w stanie – powiedzmy – „pełzającym”. Oficjalnie jest zawieszony, faktycznie koncern Yanacocha-Newmont prowadzi przygotowania do eksploatacji złoża. Miejscowi są przekonani, że wydobywanie ruszy prędzej czy później.

Pierwsze zaskoczenie na miejscu: lokalna gazeta „Panorama”, tuba koncernu, publikuje niespotykany raczej na tych łamach artykuł *Cajamarca – raj nieformalnej ekonomii*. Gorzka analiza tego, co w minionych latach stało się z miastem.

Ze oczekiwaniami, jakie obudziło wejście koncernu, przyciągnęły tysiące migrantów w nadziei na pracę. Ze migracje stworzyły popyt na mieszkania i zapotrzebowanie na usługi. Tymczasem nowoczesny przemysł wydobywczy nie potrzebuje przesadnie licznej siły roboczej.

Migranci – pisze gazeta – stali się problemem miasta i regionu, źródłem nieobecnych wcześniej, przynajmniej na taką skalę, konfliktów, chaotycznego rozrastania się niewielkiej, spokojnej Cajamarki. Wielu zasiliło grupy bezrobotnych, szarą strefę nieformalnej gospodarki, bandy złodziei, armię pracowników seksualnych.

Gwałtownie wzrosła liczba drobnych napadów rabunkowych, a ostatnio plagą stały się zabójstwa taksówkarzy.

Robię bilans roku, tego między obydwoma podróżami.

Trzy miesiące po pierwszej, czwartego lipca dwa tysiące dwunastego, policjanci zastrzelili trzech demonstrantów, którzy otoczyli ratusz w Celendinie pod hasłem *Conga no va*, a także szesnastoletniego chłopca, który nie brał udziału w manifestacji. Według policji, protestujący próbowali wdrzeć się do budynku i użycie siły było konieczne. (Wilfredo Saavedra, który alarmował, że dojdzie do rozlewu krwi, pomylił się co do skali tragedii: nie było masakry, było „tylko” kilku zabitych). Zginęli:

Joselito Sánchez Huamán

José Faustino Silva

Paulino García

Tego samego dnia w Cajamarce policja zatrzymała Marca. Wiele razy oglądałem na YouTube scenę brutalnego najścia: siedzącego na ławce na głównym placu miasta z zawieszonym na sobie hasłem „Vida – si, oro – no” (Życie – tak, złoto – nie) atakują od tyłu uzbrojeni w pałki i tarcze policjanci. Szarpiają, popychają, a następnie prowadzą jak przestępcę z rękami zakutymi w kajdankach do policyjnej suki.

Dopiero teraz, na miejscu, poznaję szczegóły z pierwszej ręki. Marco był na komisariacie bity i kopany. Policjanci złamali mu jedną z kości policzkowych. Przez wiele godzin Mirtha, w roli adwokatki, nie była w stanie zmusić dowódców policji, żeby przewieźli go do szpitala. Marca dopadły trudności z oddychaniem – cierpi na chorobę płuc.

W nocy na posterunek przybyła ze stolicy Rocío. Jeszcze w Limie obdzwoiła ludzi z otoczenia prezydenta Humali – bez skutku. („Bałam się, że zabiją Marca”). Nic nie dały jej interwencje u dwóch prokuratorów. Prokurator z Cajamarki odsyłał ją do prokuratora z innej miejscowości, Chiclayo, a prokurator z Chiclayo odesłał do prokuratora z Cajamarki. Nikt nie miał odwagi podjąć decyzji o przewiezieniu duszącego się Marca do szpitala. A jego stan pogarszał się z godziny na godzinę.

– Ostatnią nadzieją był szef policji, generał Raúl Salazar – opowiada Rocío. – Ku mojemu zaskoczeniu, Salazar był w Cajamarce tamtego dnia, zanim przyjechałam. To pokazuje, jak wielkie znaczenie dla władzy ma ten konflikt. No i że represje aplikuje sama góra; to nie nadużycia lokalnych szeryfów. Salazar zostawił wizytówkę bratu Marca, który przyjechał na komisariat. Zadzwoiłam do niego, było już po pierwszej w nocy. Powiedział, że decyzja o przewiezieniu Marca do szpitala nie leży w jego kompetencji, może o tym zdecydować tylko prokurator. Zaczęłam krzyczeć. „Ten człowiek może za chwilę umrzeć. Co pan wtedy powie? Czy naprawdę chce pan, żeby prasa na świecie znowu napisała o Peru, że to kraj, w którym łamie się prawa człowieka...”. Salazar zamilkł, a zaraz potem poprosił, żebyśmy rozłączyli się na pięć minut. Po chwili oddzwonił, Marco był wolny. Sądzę, że zatelefonował do kogoś z samej góry. Do kogo? Obstawiam, że do ministra spraw wewnętrznych.

– Jaki był polityczny sens spektakularnego zatrzymania Marca i pobicia na komisariacie? – dopytuję.

– Dać lekcję jemu i innym, ewentualnie chętnym do naśladowania. To zatrzymanie nie musiało zakończyć się happy endem.

Nowe wątki w sprawie zabójstwa Esmunda Becerry. Ósmego września dwa tysiące dwunastego prasa lokalna doniosła:

Pracownik Yanacochy oskarżony o zabójstwo lidera-ekologa zatrzymany
Agenci policji kryminalnej zatrzymali Jesusa Eliasa Salcedo, lat trzydzieści osiem, gdy wsiadał do autobusu jadącego w stronę kopalni Yanacocha. Podejrzewa się, że jest pomysłodawcą zabójstwa lidera-ekologa Esmunda Becerry...

Rzecznik koncernu Yanacocha-Newmont potwierdził, że Elías Salcedo jest pracownikiem firmy od dwa tysiące drugiego roku. Oświadczył, że nie zna powodów zatrzymania. Śledztwo trwa. Ale czy można wierzyć – mając w pamięci całą tutejszą historię – że do czegoś doprowadzi?

Marco nie odrobił lekcji, którą dali mu policjanci w areszcie. Robi swoje. Kilka miesięcy później, dwunastego grudnia, napisał na Facebooku: „Napięta atmosfera wokół strażników lagun. Yanacocha oświetla reflektorami namioty strażników, które znajdują się na posesji rodziny Chaupe”.

Rodzina Chaupe to ostatni autochtoni na terenie projektu Conga, którzy nie dali się koncernowi. Rodzice, dwie dorosłe córki, dwóch dorosłych synów, synowa i wnuk mieszkają w drewnianej chacie niedaleko laguny Azul, na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów nad poziomem morza. Wszyscy inni wkoło poddali się: to znaczy sprzedali ziemię koncernowi i wyjechali. Inżynierowie i planiści firmy Yanacocha-Newmont zaczęli przygotowania do eksploatacji złota. Robią pomiary, instalują maszynę. Nie zdołałem tam dojechać, wojsko pilnowało całego obszaru wokół Conga, patrole zawracały każdego, kto chciał się zbliżyć.

Chaupe są opoką oporu. W oczach miejscowych stali się nią po wydarzeniach dziewiątego sierpnia dwa tysiące jedenastego. Tamtego dnia na ich posesję zajechał oddział policjantów. Siłą wyciągnęli z chaty matkę Maximę, lat czterdzieści dwa, jej męża Jaimego, lat czterdzieści siedem, i ich osiemnastoletnią córkę Igildę. Carlos Enrique, najmłodszy syn, wybiegł z domu i gnał na oślep, krzycząc, że mordują matkę i ojca.

Policjanci wynieśli łóżka, ubrania, żywność, a następnie spalili chatę. Jedyne, co powiedzieli, jak opowiadała potem doña Máxima, to że „ziemia należy do kopalni”. Wrzeszczącą w niebogłosy Igildę ciągnęli za włosy i wlekli po ziemi do policyjnej suki. Pobili Maximę, która rzuciła się ratować córkę. Do Jaimego, który z kamieniami w rękach wołał, żeby puścili żonę i córkę, oddali kilka strzałów na postrach.

Następnego dnia zajechali ponownie, co najmniej pół setki mundurowych w kilku busikach, a wraz z nimi ludzie z koncernu. Inżynier, który wyglądał na szefa ekipy,

instruował innych, co i gdzie będą robić, gdzie ulokują platformy, gdzie maszyny.

Ale Máxima i Jaime nie wyjechali. Spali bez dachu nad głową, zawinięci w wełniane koce. Przetrwali. Odbudowali chatę i mówią, że *Conga no va*. Ziemia należy do nich, dobrowolnie jej nie sprzedadzą. Ruchy protestu z regionu i z Limy wybrały Maximę kobietą roku dwa tysiące dwunastego.

Działacze i współpracownicy Grufidesu, którzy próbują odwiedzać rodzinę Chaupe, są zazwyczaj zawracani przez patrole policji lub wojska; rzadko udaje się komuś dojechać.

Udało się Rocío. Była pod wrażeniem, szczególnie doñi Maximy, jej wewnętrznej siły, charyzmy. „Ludzie z Yanacocha-Newmont – dzieliła się potem swoimi obserwacjami – nie są w stanie pojąć oporu i uporów na wysokości ponad czterech i pół kilometra, w morderczym klimacie, w biedzie. Chaupe mogliby dostać za swoją ziemię dobrą cenę, ale nie chcą jej sprzedać. Dla menadżerów w biznesie wydobywczym wszystko daje się przeliczyć na forszę. Nie potrafią zrozumieć, że obrona ziemi i domu może być kwestią godności”.

Ostatnio na celowniku koncernu i... władzy jest Mirtha. Spójnik „i” zmienia obraz konfliktu: coraz trudniej zorientować się, co jest działaniem firmy, co policji, co rządu. Żłota koalicja działa solidarnie. Jeszcze w Polsce dostałem wiadomość, że nieznani sprawcy włamali się do mieszkania Mirthy, poprzestawiali meble, niczego nie ukradli, zostawili otwarte drzwi. Po kilku tygodniach – powtórka. Brak zainteresowania włamywaczy cennymi przedmiotami, na przykład laptopem i aparatem fotograficznym, które leżały na wierzchu, Mirtha odczytuje jako pogroźkę: przestań mieszać w sprawie kopalń.

W podobny sposób włamano się do mieszkania Ivett, sekretarki w biurze Grufidesu. Pablo Sánchez zauważył, że tak jak przed kilku laty znowu ktoś za nim chodzi i robi zdjęcia, zarówno w Cajamarce, jak i w Limie. Innemu pracownikowi stowarzyszenia ktoś powybił szyby w samochodzie.

Dwudziestego szóstego grudnia dwa tysiące dwunastego Marco umieścił na Facebooku dramatyczny alarm:

Czy ktoś zna właściciela volkswagena C8C-208, kolor beżowy metalik? To kapuś, cyngiel, pracownik Conga? Jechał za mną kilka przecznic, robił zdjęcia. Gdy zatrzymałem się, fotografował dalej, a kiedy chciałem go złapać, naubliżał mi i uciekł.

Kilka godzin później:

Dziękuję wszystkim przyjaciołom i przyjaciółkom, którzy pomogli szybko

zidentyfikować typa, próbującego po chamsku i bezczelnie mnie dziś zastraszyć. Dzięki wam możemy zdemaskować siatkę szpiegowską ludzi wynajętych przez potęgę ekonomiczną koncernów wydobywczych, którym wydaje się, że mogą bezkarnie powstrzymać większość mieszkańców Cajamarki. Conga nie przejdzie!

Marco i Mirtha zwrócili się do Komisji Praw Człowieka Obu Ameryk z prośbą, żeby zażądała od państwa peruwiańskiego ochrony dla działaczy Grufidesu.

Mirtha, którą odwiedzam w jej biurze, mówi, że niepokoi się teraz dużo bardziej niż kiedyś: ma półtoraroczną córeczkę. Po ostatnich włamaniach wpadła w rozpacz, Marco z trudem ukoił jej płacz i przerażenie. Uważa, że włamań dokonali policjanci albo ludzie służb specjalnych, rolę najemników koncernu odgrywają obecnie funkcjonariusze państwa.

Kilka dni przed naszym spotkaniem policjanci czekali, aż Mirtha wyjedzie sprzed domu i parę ulic dalej zatrzymali ją pod pretekstem rutynowej kontroli samochodu. Bez nakazu sędziego zarekwirowali auto, twierdząc, że było użyte w napadzie rabunkowym w Limie siedem lat temu. Po dwóch dniach zwrócili – bez słowa wyjaśnienia.

– Jutro to mnie mogą zatrzymać na dwa dni, a potem wypuścić bez wytłumaczenia, dlaczego zarekwirowali dwa dni z mojego życia – mówi.

Nie myśli się poddać, ale pytanie o cenę zaangażowania dopada ją częściej niż kiedyś.

– Nigdy wcześniej nie planowałam drogi ucieczki, gdyby po mnie przyszli. Teraz, kiedy mam córeczkę, planuję ciągle – trasę ucieczki i miejsce, w którym się ukryjemy. Mam przemyślane różne warianty.

Porwanie Inki, czyli historia, która nigdy się nie kończy

Na głównym placu Cajamarki, przy którym znajduje się mój hotel, doszło pięćset lat temu do tragicznego zdarzenia. Rok wcześniej zwrócił mi na to uwagę Milton i uświadomił, że autochtoni opowiadają o tym zdarzeniu do dziś. Szczegółowo i po kolei odtworzył je ze starych relacji i dokumentów dziewiętnastowieczny historyk:

„Zdobywcy weszli do miasta Cajamarca późnym popołudniem piętnastego listopada 1532 roku. Pogoda, piękna w ciągu dnia, zepsuła się tak, że groziła burza i zaczął padać deszcz zmieszany z gradem, gdyż było niezwykle chłodno. Pizarro jednak tak bardzo pragnął upewnić się co do usposobienia Inki, że postanowił wysłać natychmiast poselstwo do jego kwatery...”. Wysłannicy oznajmili Ince o imieniu Atahualpa, co następuje: „są poddanymi potężnego władcy królującego za morzami i pojawili się tu przyciągnięci wieściami o wielkich zwycięstwach Atahualpy, aby mu ofiarować swoje usługi i nauczyć go prawdziwej wiary, jaką sami wyznają...”.

Konkwistadorzy zaprosili Inkę na spotkanie. Andyjski władca, nie podejrzewając podstępny, przyjął zaproszenie. Uzbrojeni przybysze porwali go i uwięzili. Inka błagał o wolność, obiecał tyle złota, że wystarczy, by pokryć posadzkę i wypełnić nim całą wielką salę, w której się znajdowali. Poddani wodza spełnili żądanie, zebrali złoto, srebro i dostarczyli okup. „Historia nie zna precedensu – komentuje dziejopis – aby tak olbrzymia zdobycz przypadła w udziale tak małej grupce żołnierzy-awanturników”.

Ale Inkę i tak czekała śmierć.

- Cóż uczyniłem ja sam albo moje dzieci, aby doznać takiego losu? I to spotyka mnie od ciebie – ciągnął, zwracając się do Pizarra – który doznałeś tylko przyjaźni i życzliwości od mojego ludu, od ciebie, z którym podzieliłem się moimi skarbami i który z rąk moich otrzymywał tylko dobrodziejstwa!...

Wyrok na Inkę ogłoszono przy odgłosie trąb na wielkim placu w Cajamarce. W dwie godziny po zachodzie słońca hiszpańscy żołnierze zgromadzili się przy świetle pochodni na placu, aby być świadkami egzekucji. Było to 29 sierpnia 1533 r. Wyprowadzono Atahualpę z łańcuchami na rękach i nogach...

Tuż przed egzekucją Inka wyrzekł się swojej religii i zgodził przyjąć chrzest. Obiecano mu lżejszą śmierć: zamiast spalenia na stosie uduszenie garotą.

Teraz widzę, że ciągle powracanie Milтона do wydarzeń sprzed pięciu wieków to nie chwyt retoryczny. Pablo opowiedział mi o ludowym pastiszu obrazu, który – w oryginalnej wersji – przedstawia hiszpańskich konkwistadorów bijących autochtonki handlujące na ulicach Cajamarki. We współczesnej przeróbce konkwistadorów przemalowano na policjantów.

W sklepiku z wyrobami miejscowego rzemiosła sprzedają dwa komplety szachów: jeden klasyczny – Hiszpanie kontra Inkowie, drugi współczesny: poszukiwacze złota z koncernów wydobywczych kontra autochtoni.

Żywotność opowieści o zabójstwie Inki, powracanie miejscowych do historii podboju pomaga zinterpretować pewna książka o nienawiści do Zachodu. Chodzi o nienawiść ludów dotkniętych niegdyś konkwistą, wyzyskiem, niewolnictwem i innymi zbrodniami kolonializmu. Jej autor, szwajcarski dyplomata Jean Ziegler, pisze, że „pamięć kolektywna rządzi się zasadami, których nie jest w stanie do końca wyjaśnić żadna analiza”. Że „jest chyba najbardziej enigmatycznym tworem spośród wszystkich struktur społecznych”. Ziegler przypomina pewną teorię: „podobnie jak jednostki, tak i społeczeństwa mogą znaleźć się w stanie szoku i paralizującego rozbicia wywołanego nieoczekiwaną napaścią z zewnątrz, której towarzyszy niebywała przemoc niemieszcząca się w żadnej istniejącej wcześniej kategorii. A jak reaguje społeczeństwo dotknięte takim szokiem? Spycha traumatyzujące wydarzenie, z którym nie potrafi sobie poradzić jego świadomość, w najgłębsze zakamarki pamięci”.

Wspomnienia o traumatycznych zdarzeniach wracają po długim czasie. Ofiary, a najczęściej dopiero ich potomkowie, zaczynają mówić o krzywdach, upominają się o godność przodków i swoją, o publiczną pamięć o zbrodniach, zadośćuczynienie.

(Zaczynam rozumieć, dlaczego Milton uparcie opowiada historię sprzed pięciu wieków).

W Cajamarce przeszłą traumę wzmacniają krzywdy dzisiejsze. Przeszłość autochtonów rozgrywa się dziś – w tym samym miejscu, na tym samym placu.



DYMIĄCA SELWA, TĘCZOWA RZEKA

Doña Mariana i inni

Pierwsze zaczęły umierać zwierzęta.

Nocne ptaki, zaciekawione pióropuszcami ognia, który dobywał się z wyrastających nad ziemią palników, podlatywały zbyt blisko i zamieniały się w płonące straszydła. Ostatni ptasi krzyk, potem nieprzyjemny swąd spalonych piór.

Ludzie znajdowali martwe węże, jaszczurki, dzikie świnie – wszystko oblepione ciemną, oleistą mazią.

Krowy, które piły wodę ze strumieni, sikały uryną w kolorze krwi, potem padały. Świnie też. Jednemu chłopu w ciągu tygodnia padło sześćdziesiąt świń – wszystkie, jakie miał. Opowiadają, że gdy kroili je, żeby upiec na ruszcie, z trzewi śmierdziało jak nigdy. Upieczone mięso miało dziwny smak. Jakby chemiczny. Tak samo usmażone martwe ryby, które wyławiali z rzeczulek i strumieni. Psy nie chciały tego jeść. Zresztą one też padły.

Potem zaczęły chorować dzieci.

Najpierw były kąpiele w rzece Aguarico, zabawa w łapanie tęczy unoszącej się na powierzchni. W specjalnych zbiornikach, przypominających stawy czy małe jeziora, gdzie gromadzono resztki nafty wymieszanej z wodą i szlamem, dzieci ćwiczyły nurkowanie. Zbierały oleistą maź w dłonie – kto zebrał więcej, ten wygrywał. Smarowały mazią ciała. To były zabawy w „Murzyna” i w „perfumowanie”.

Dorośli napełniali mazią wiadra. Malowali nią na ścianach domów.

Gdy zauważyli, że zwierzęta chorują, a na ciałach dzieci pojawiają się bąble, ropnie oraz czerwone, białe i brązowe przebarwienia, poszli do wielkiej firmy i powiedzieli: przez waszą ropę zdychają nasze zwierzęta i chorują dzieci. Nic podobnego, usłyszeli, niczego się nie bójcie. Możecie się kąpać w nafcie. Nafta nie szkodzi, nafta leczy. Łysym przywraca owłosienie, likwiduje świąd na skórze, przynosi ulgę chorym na reumatyzm.

Więc chorzy na reumatyzm szli się kąpać do naftowych stawików, łysi smarowali mazią łysiny, chorzy na świąd – chorobowe zmiany na skórze. Mazią leczyli też choroby skórne psów, aż zwierzętom powypadała sierść i nagusieńkie wyzdychały.

Słucham tych opowieści w Lago Agrio, osadzie w ekwadorskiej części Amazonii, sześć do ośmiu godzin drogi autobusem na wschód od stolicy Quito. Miejscowi nazywają ten region

Oriente. Oficjalna nazwa prowincji to Sucumbíos.

Opowiadają: Eleodoro Jaramillo, lat osiemdziesiąt, José Briceño, siedemdziesiąt siedem, Mariana Jiménez, siedemdziesiąt dwa.

Lago Agrio jest miasteczkiem, konglomeratem osiedli i wiosek, dżunglą, pustkowiem – wszystkim naraz. Wieśniacy mieszkają w rozrzuconych po dżungli osadach i – gdzie się (jeszcze) da – uprawiają maniok, kukurydzę, słodkie ziemniaki. Część miejska ma pięć ulic na krzyż, trochę sklepików, kilka hosteli i knajpek, w których zazwyczaj przesiadują turyści. W samym Lago Agrio nie ma nic do zwiedzania, to baza wypadowa dla wypraw w głąb bajecznej przyrody. W miasteczku działa sporo biur podróży organizujących wycieczki do selwy. Oczywiście, jest także siedziba burmistrza, posterunek policji, lokalny sąd.

Lago Agrio jest wrzucone w selwę – ucywilizowaną na dobre i złe. Dzięki drogom można sycić oczy intensywną zielenią puszczy, nie wysiadając z auta. Już kilka minut po wyjeździe z miasteczka człowiek odnosi wrażenie, że znajduje się na zielonym pustkowiu, które przecinają pasma asfaltu.

Wzdłuż drogi wije się gruby wąż. Tam, gdzie przykrywają go krzaki i trawy, jakoś wkomponowuje się w pejzaż, nie narzucając swojej obecności. Ale wąż co rusz wyłazi na wierzch. Okazuje się rurociągiem. W niektórych miejscach stalowy gad ma rodzeństwo – stare rurociagi ciągną się kilometrami obok nowszych.

Ta „brzydka plama w krajobrazie idealnym” najbardziej razi tam, gdzie nagie rury ciągną się ponad strumieniami i rzeczkami. Wyobraźnia pracuje: co dzieje się z wodą, roślinnością, fauną, gdy rury pękają. A pękają. Usłyszałem tu, że w czasie ponad dwudziestu wielkich wycieków – małych nikt nie liczy – gdy za eksploatację odpowiadał amerykański koncern Texaco, do dżungli wylały się dziesiątki milionów litrów ropy. (Rząd Ekwadoru szacował – o czym dowiem się później – że wyciekło w przybliżeniu dwa razy więcej ropy niż podczas katastrofy tankowca koncernu Exxon Valdez u wybrzeży Alaski; zagraniczni eksperci mówili nawet: „To Exxon Valdez razy dwadzieścia”).

W pewnej chwili auto wypełnia się duszącym smrodem. Skądś go znam: ropa, rozgrzana smoła, „ogólnochemiczny” odór? Mój przewodnik, Donald – opowiem o nim później – informuje, że niedaleko są stacja oddzielająca ropę od wody i gazu oraz sztuczne jezioro z odpadami poprodukcyjnymi.

Jednak naprawdę mocne wrażenie robią wzbijające się w górę pióropusze ognia z palników, w których płonie towarzyszący wydobywaniu ropy gaz. Te ogniste kikuty wyglądają jak intruzi, najeźdźcy z innego uniwersum. W środku zielonej selwy, w sąsiedztwie palm i drzew, wśród obfitej, soczystej roślinności stalowe maszty z jęzorami ognia na szczycie.

Doña Mariana Jiménez patrzy na te ogniste wyziewy już czterdzieści lat. Siedzę teraz w jej chacie, podzielonej na część mieszkalną z barłogiem i telewizorem, składzik klamotów, którymi każde domostwo obrasta przez lata, i duże pomieszczenie służące za warsztat, kurnik i salonik gościnny, gdy pada deszcz. Właśnie leje, dlatego jesteśmy w środku, ale przy samym wejściu, bo parę kroków dalej, w głębi chaty, jest nieznośnie parno, a doña Mariana ma chore płuca i z trudem oddycha.

Mówi:

– Przyjechaliśmy tu w siedemdziesiątym drugim, bo rząd obiecał nam ziemię.

Dostaliśmy poletko w dżungli, ale Texaco zaczęło nam je zabierać, kawałek po kawałku. Mówili, że to ich, że kupili. My na to, że rząd dał nam tę ziemię. Jeśli nie mamy prawa tu być, to po co rząd nas tu osiedlił? Nie wiedzieliśmy, że można iść na skargę. Do kogo? Teraz to są różne organizacje: Front Obrony Amazonii (Frente de Defensa de la Amazonía – FDA), Stowarzyszenie Poszkodowanych (Asociación de Afectados por Texaco – AAT), rady mieszkańców. Wtedy każdy był zdany na siebie.

Na początku w różnych miejscach widzieliśmy tylko znak Texaco, nic innego nie było. Dopiero potem zbudowali wielkie pompy, wykopali baseny na resztki, jeden jest, o tam, trzysta metrów stąd. Palili gaz. Hałas przy tym był straszny, a jeszcze gorszy smród. Nie znaliśmy takiego. W powietrzu unosiła się czarna chmura.

Deszcze brudziły na czarno ubrania, mówiliśmy na nie „deszcze naftowe”. Plam z nich nie dało się sprać. Po większej ulewie, gdy wszystko parowało, chodziłam trzy dni nieprzytomna. Bóle głowy, wymioty.

Mam siedmioro dzieci, troje zmarło, trzy razy poroniłam. Wiele kobiet traciło ciążę. Operowali mi macicę, teraz choruję na płuca. Lekarze w Quito powiedzieli, że to od chemikaliów. Wie pan, czym myśmy tu oddychali, jaką wodę żeśmy pili? Córka Alba choruje na gardło. Lekarze powiedzieli nam: wyjedźcie stąd. Ale dokąd? Mieszkamy tu, bo nie mamy dokąd pójść...

Nicolás Soto miał mniej szczęścia. Usuwał przed laty wycieki ropy z rzek i strumieni, wchodził do skażonej wody bez odzieży ochronnej, mokre ubranie wysychało potem na nim. Czuł się coraz słabiej. W szpitalu Eugenia Espejo w stolicy wykryto nowotwór. Operacja, potem tylko trzy z zalecanych piętnastu dawek chemii. Rodzina nie miała pieniędzy na pozostałe, nawet na bilet do Quito. „Nie sądziłem, że zanurzanie w nafcie, która wyciekła, mnie zabije. Ludzie z firmy mówili: nic złego się nie stanie, przeciwnie – ropa jest zdrowa na kości”.

Dwudziestego ósmego października dwa tysiące dziesiątego Nicolás Soto zmarł. Zostawił żonę i dwóch synów.

Takich jak on, jego żona i synowie jest tutaj wielu. W każdej wiosce, wspólnocie, osadzie.

El Cóndor, Enocanqui, Tiputini, La Primavera, San Antonio, San Carlos, Nueva Jerusalén, San Pedro, Bella Unión, Barrios Los Ángeles, La Joya de las Sachas, Centinela del Sur...

Czytam kilkanaście świadectw z raportów, które nigdy nie trafią do szerokiego obiegu:

Straciłam dwie córki, Gracielę i Rosę, jedna - dwadzieścia dwa lata - miała białaczkę, druga - dwanaście - chorowała na wątrobę po zjedzeniu zatrutych ryb.

(rodzina Mashumar, mieszka w sąsiedztwie stacji produkcyjnej Auca Sur)

Moja córka, Bertha Mercedes Ordóñez Carrión, zmarła w osiemdziesiątym siódmym roku na białaczkę w szpitalu Pabla Artura Suareza. Miała trzynaście lat. Przez sześć miesięcy spałam przy jej łóżku, czuwając nad jej snem, chwytając się nadziei, że wyzdrowieje. Wydałam majątek na leczenie, ale odeszła [...]. Mamy drugą córkę, która cierpi na schorzenia układu nerwowego, jest opóźniona. Czerpaliśmy wodę ze studni znajdującej się dziesięć metrów od stawów [z resztkami po wydobyciu ropy], innej nie mieliśmy skąd brać.

(rodzina Ordóñez, mieszka w sąsiedztwie złoża Shushufindi 33)

Nasza studnia jest dziesięć metrów od zanieczyszczeń. Mąż umarł na raka żołądka, miał pięćdziesiąt cztery lata. Leczyli go, ale nie dało się nic zrobić.

(rodzina Gaibor, w sąsiedztwie stacji w Shushufindi)

Dwójka moich dzieci, siedem lat i trzy lata, umarła z potwornymi bólami żołądka.

(rodzina Manobanda, w sąsiedztwie złoża Shushufindi 56)

Lekarze powiedzieli nam, żebyśmy wyjechali do Quito leczyć dzieci, że chorują przez zanieczyszczenia. Ale nie mieliśmy pieniędzy, nie mogliśmy pojechać i wszystkie umarły. Jedno miało trzy lata, drugie - dwa, trzecie - pięć miesięcy.

(rodzina Yumbo, w sąsiedztwie złoża w Sacha)

Jeden z naszych synów zmarł w wieku pięciu lat, miał silne bóle żołądka, głowy i serca. Ludzie z firmy powiedzieli, że to było na tle nerwowym. Sam mam potworną astmę. Truje nas woda ze studni i powietrze pełne wylęgów ze stacji i z palników gazowych.

(rodzina Matango, w sąsiedztwie stacji Sacha Central)

W naszej rodzinie na raka zmarły dwie osoby. Pedro na białaczkę i José na jakąś chorobę kości.

(rodzina Simbaña, w sąsiedztwie złoża Sacha 9)

Mąż umarł na białaczkę w wieku sześćdziesięciu lat, jedna z córek na raka, miała dwanaście lat, synowa, trzydzieści pięć – na wylew. Badali ich w Coce, ale nie było tam warunków do leczenia i nie mieliśmy pieniędzy, więc umarli.

(rodzina Núñez, w sąsiedztwie złoża Sacha 20)

Mamy sąsiada, któremu zmarło troje dzieci. Jedno wpadło do strumienia, którym płynęła nafta, zachłysnęło się i umarło. Dwoje pozostałych zmarło w wieku kilku miesięcy, bo kąpali je w strumieniu zatrutym naftą. Jego żona poroniła trzy razy i kiedy zdiagnozowali jej raka, wyjechała na leczenie do Guayaquil. Gdy tam była, u jej córki wykryto białaczkę.

(rodzina Encarnación, w sąsiedztwie złoża Aguarico 4)

W tej wiosce zmarło szesnaście osób na raka...

(rodzina Ramírez, w sąsiedztwie złoża Sacha 2)

Coraz częściej wykrywają tu raka macicy i doktor Vicente Aguilera powiedział nam, że to przez zanieczyszczenia.

(rodzina Camacho, w sąsiedztwie złoża Sacha 59)

Po dwudziestu siedmiu latach na gospodarstwie mąż umarł na raka płuc. Nie palił. Ale w pracy pił wodę ze strumieni zatrutych przez naftę, bo innej wody nie było.

(rodzina Ballas, w sąsiedztwie złoża Shushufindi 49)

Misjonarze i nafcjarze

Gdy Emergildo Criollo z ludu Kofanów usłyszał po raz pierwszy odgłos helikopterów poszukiwaczy ropy, myślał, że za chwilę runie niebo i skończy się świat. Miał sześć lat, Lago Agrio nie istniało, a wokół była dziewicza kraina: selwa i obfita w ryby rzeka Aguarico. Kofani, Huaorani, Sekojowie, Sionowie i inne ludy autochtonów – w sumie około ćwierć miliona ludzi – żyły z fauny i flory Amazonii, w rajskiej niemal z nimi harmonii. W tej bajkowej narracji miejscowych pobrzmiwa nostalgia za krainą, która odeszła, lecz nie ma w niej, jak się zdaje, przesady.

Przeraźliwy hałas latających maszyn wygnał autochtonów w głąb puszczy. Z ukrycia wyszli po wielu tygodniach.

Kofani, lud Emergilda, zamieszkiwali te tereny na długo, zanim hiszpańscy konkwistadorzy postawili na nich stopę. Polowali, łowili ryby, uprawiali jukę – zwykle przez trzy lata w jednym miejscu. Potem wędrowali, żeby ziemia odpoczęła, a fauna na nowo się rozmnożyła. Osiedlali się w innej okolicy, znowu na trzy lata. Potem szli dalej, a po dłuższym czasie wracali na stare miejsce. Ten model życia trwał z przerwami całe wieki.

W latach pięćdziesiątych zeszłego stulecia zjawili się ewangeliccy misjonarze ze Stanów Zjednoczonych. Ich awionetki lądowały na brzegach rzek. Stawiali krzyż, budowali drewniane chaty, jedna z nich była świątynią, namawiali nastawionych z rezerwą, nieraz wrogo, autochtonów do okrywania ciał i wiary w Jezusa Chrystusa.

W pięćdziesiątym szóstym wojownicy z ludu Huaorani poćwiartowali pięciu misjonarzy z Letniego Instytutu Językowego (Summer Institute of Linguistics – SIL). Miejskowa opowieść podawana z pokolenia na pokolenie głosi, że Huaorani wzięli białych ludzi, którzy spadli z nieba, za ludożerców.

Misjonarze nie wystraszyli się. Z czasem zdołali przekonać niektórych Huaorani, a także inne miejscowe ludy, w tym Kofanów, żeby porzucili swoje siedliska i zamieszkali we wspólnotach zarządzanych przez misje.

Emergildo, którego rodzice posłali do szkoły założonej przez misjonarzy, pamięta, że z ustawionego na terenie misji projektora pokazywali dzieciom i dorosłym straszny film: ukazywał obrazy grzeszników płonących w ogniu piekielnym.

Z dystansu lat widać, że biali przybysze mogli mieć motywy nie tylko religijne.

Emergildo, podobnie jak tysiące mieszkańców regionu, uważa, że misjonarze zakładali misje i dążyli do przesiedleń autochtonów na zamówienie naftiarzy z koncernu Texaco. Te podejrzenia miejscowych, które narastały przez wiele lat, znalazły potwierdzenie w zaskakującej spowiedzi człowieka „z drugiej strony”.

„Misje SIL poznałem w czasie pracy w Korpusie Pokoju. Organizacja ta rozpoczęła działalność w Ekwadorze i w wielu innych krajach pod pozorem badania, nagrywania i tłumaczenia lokalnych dialektów” – pisze John Perkins w książce *Hitman. Wyznania ekonomisty od brudnej roboty*. Perkins pracował przez wiele lat dla firmy konsultingowej Main i w ramach „brudnej roboty” namawiał między innymi przywódców krajów Południa – od Ameryki Łacińskiej przez kraje arabskie po daleką Azję – do zadłużania się w zamian za amerykańskie inwestycje. Częścią dealu były kontrakty dla amerykańskich korporacji eksploatujących surowce naturalne. Jednym z krajów, w których działał Perkins, był Ekwador.

W pierwszych latach wydobywania ropy SIL intensywnie pracował z plemieniem Huaorani w Amazonii. Po pewnym czasie dało się zauważyć interesujący schemat. Gdy geolodzy informowali centralę koncernu naftowego, że jakiś obszar posiada charakterystyczne cechy zwiększające prawdopodobieństwo występowania ropy pod powierzchnią ziemi, SIL wkraczał do akcji, zachęcając tubylców do opuszczenia tych terenów i przeniesienia się do misyjnych rezerwatów, w których mieli otrzymywać darmową żywność, mieszkanie, ubrania, opiekę medyczną oraz wykształcenie. Warunkiem było przekazanie ich terenów koncernom naftowym.

Perkins opowiada, że misjonarze stosowali wybiegi, podstępny, zachęty, żeby autochtoni zgodzili się porzucić swoją ziemię i zamieszkać w rezerwach.

Najczęściej powtarzała się opowieść o przekazywaniu tubylcom darów żywnościowych z dodatkiem środków przeczyszczających, a następnie ofiarowywanie lekarstw, które usuwały objawy rozwolnienia. Na terytorium Huaorani SIL dokonywał zrzutów pojemników z jedzeniem. W podwójnym dniu tych pojemników ukrywano miniaturowe radiostacje, których transmisji przysłuchiwał się personel wojskowy z bazy Shella. Gdy członek plemienia został pokąsany przez jadowitego węża albo poważnie zachorował, na miejsce przybywał przedstawiciel SIL, często przywożony helikopterem należącym do koncernu, wyposażony we właściwe lekarstwo lub surowicę.

W pierwszych latach eksploracji znaleziono ciała pięciu misjonarzy przebitych włóczniami Huaorani. Tubylcy chcieli w ten sposób odstraszyć SIL, jednak ostrzeżenie zostało zignorowane, a wręcz odniosło efekt

odwrotny od zamierzonego. Rachel Saint, siostra jednego z zamordowanych, rozpoczęła w Stanach Zjednoczonych objazdową kampanię, podczas której w licznych wystąpieniach telewizyjnych apelowała o wsparcie finansowe dla SIL i koncernów naftowych, które, jak twierdziła, pomagały ucywilizować i wykształcić „dzikusów”.

Gdy książka Perkinsa ukazała się w Stanach, dyrekcja SIL – który istnieje do dziś – zarzuciła autorowi kłamstwa. Stanowczo zaprzeczyła związkom z firmami naftowymi i oskarżeniom o przyjmowanie datków od tychże czy sprzyjanie eksploatacji ropy na terenach, które zamieszkiwali autochtoni.

SIL przedstawia pracę misjonarzy jako rodzaj poświęcenia. Rzeczywiście, ze szczególnej perspektywy, da się przedstawić ich losy jako opowieść o dobrodziejstwie i ofierze. Zamieniali wygodne życie na przedmieściach w USA na spartańskie warunki i harówkę w dżungli, bez wygód klasy średniej, w tropikalnym klimacie. Namawiając autochtonów do przyjęcia wiary w Jezusa, nieśli oświatę: uczyli ich czytać i pisać, zakładali szkoły, pomagali przystosować się do nowych warunków po wkroczeniu kompanii naftowych.

Gdy zderzenie autochtonów z przybyszami zbierało żniwo w postaci chorób, nieraz śmiertelnych, na które miejscowi byli kompletnie nieodporni, misjonarze ratowali pozostałych przy życiu szczepionkami. Często skutecznie. Zdołali zahamować masowe w pewnym momencie zgony wśród Kofanów, Huaorani i innych ludów Amazonii. A gdy nacierze coraz brutalniej wkraczali na tereny wspólnot, zostawiając zbyt mało miejsca nawet na przydomowe uprawy, niektórzy misjonarze wspierali u władz protesty i skargi autochtonów, wyznaczanie nieprzekraczalnych granic terytorium i ubieganie się o tytuły własności.

Późniejsza pomoc i wsparcie nie odkupiły win. Nawet jeśli, jak twierdzi dyrekcja SIL, nie było tajnego dealu z Texaco, to według miejscowych i niektórych badaczy misjonarze odegrali rolę – w najbardziej życzliwej interpretacji – „pożytecznych idiotów”. Ich działalność przysłużyła się naftowemu biznesowi. Judith Kimerling, amerykańska prawniczka, która po wielomiesięcznych badaniach terenowych jako pierwsza opisała tutejsze zniszczenia środowiska i lokalnych wspólnot, stwierdza wprost: „Koncerny naftowe często współpracowały z misjonarzami, żeby spacyfikować autochtonów i uczynić ich ziemię gościnną dla działalności nacierzy”.

Kimerling rzuca światło na motywy pomocy humanitarnej, jaką nieśli misjonarze.

Wmawiali autochtonom, że są zacofanymi dzikusami – a ich kultura jest „prymitywna” i „grzeszna” – i że muszą się zmienić, unowocześnić, porzucić swoje tradycje i przyjąć „cywilizowany” model życia. Misjonarze kontrolowali transport powietrzny, środki komunikacji i najlepsze szpitale

w regionie Oriente. Ich usługi były kosztowne i warunkowe, używali ich do manipulowania ludźmi i pogłębiania zależności. Na przykład, w ewangelickiej misji Alas de Socorro odmówiono przewiezienia kobiety z ludu Huaorani i jej umierającego dziecka do szpitala, ponieważ wioska uczestniczyła w kongresie COFENIAE^[18], w czasie którego krytykowano misjonarzy.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku prezydent Jaime Roldós wygnał misjonarzy SIL z Ekwadoru. Oskarżył ich o spiskowanie z nacierzami, podstępne podżeganie do przesiedleń w celu zagarnięcia ziemi pod wydobycie ropy. W czasach zimnej wojny Roldós był jedynym przywódcą Ekwadoru, który stawiał czoło koncernom naftowym. Wkrótce zginął w zagadkowym wypadku lotniczym, a cień podejrzenia prasa latynoamerykańska rzuciła na CIA. (Amerykański wywiad był w tamtym czasie zamieszany w zamachy stanu na kontynencie, obalenie postępowych rządów, polityczne zabójstwa i szkolenie szwadronów, które mordowały działaczy społecznych).

Po wygnaniu misjonarzy wielu autochtonów zapragnęło opuścić misyjne rezerwy i wrócić do dawnych osad. Nagle odkrywali, że ich ziemi już nie ma, a ściślej – jest poszatkowana przez pola naftowe, stacje separacyjne, rurociągi i stawy pełne toksycznych odpadów. Jedni poszli na włóczęgę w nieznaną – do miast, inni najęli się do czarnej roboty przy usuwaniu odpadów poprodukcyjnych, jeszcze inni skończyli jako przydrożni żebracy.

Emergildo Criollo został na terenie dawnej misji, w wiosce Dureno.

Kofani przestali migrować. Bali się wędrować po selwie penetrowanej przez niechcianych przybyszów i wielką hałaśliwą maszynierię, gdzie padały zwierzęta, a rzeki i powietrze cuchnęły naftą. Ich dawny świat rozpadł się. Niemal zniknął.

Kontrakt z rządem Ekwadoru nacierze z Texaco podpisali w sześćdziesiątym czwartym. Ekwador nie miał prawa, które chroniło środowisko naturalne i mieszkających w Amazonii autochtonów. Miejscowych traktowano niemal na równi z fauną: nie uznawano ich prawa do ziemi, na której mieszkają, ochrony dziedzictwa kulturalnego, osobnych języków. Politycznie i prawnie amazońscy tubylcy byli nie-istniejącymi mieszkańcami swojego kraju.

Tak tu było od czasów konkwisty. Hiszpanie zmuszali autochtonów do udziału w ekspedycjach w poszukiwaniu El Dorado. Jezuici i franciszkanie próbowali robić mniej więcej to samo, co misjonarze SIL czterysta lat później: prócz nawracania na „prawdziwą” wiarę, organizowali autochtonów we wspólnoty zarządzane przez misje, przynieśli im stalowe narzędzia, uczyli uprawiać banany i trzcinę cukrową. Hiszpanie przywlekli też choroby, nowe metody wojowania, wprowadzili wrogość między miejscowymi. Co jakiś czas autochtoni odplacali się rebeliami i masakrami białych osadników i misjonarzy.

Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku Kofani, Sionowie i Sekojowie mieszkający nad rzeką Putumayo padli ofiarą boomu kauczukowego. Kres ich wyzyskowi i eksterminacji położyło śledztwo Rogera Casementa, wysłannika rządu Wielkiej Brytanii, przeciwko koncernowi kauczukowemu Peruvian Amazon Company i jego właścicielowi Juliowi C. Aranie.

„Nie istniały poważne statystyki, to, co napisano na ten temat, było niejasne, liczby różniły się znacznie w zależności od źródła – rozważa Roger Casement w powieściowej narracji *Marzenia Celta* Maria Vargasa Llosy. – Najbardziej wiarygodny wydawał się rachunek wykonany przez nieszczęsnego podróżnika i etnologa francuskiego Eugène’a Robuchona (zaginionego z niewyjaśnionych przyczyn w Putumayo w roku tysiąc dziewięćset piątym, kartografując region pozostający pod zarządem Julia C. Arany), według którego siedem lokalnych plemion – Huitoto, Ocaina, Muinane, Nonuya, Andoque, Rezigaro i Bora – liczyło w sumie jakieś sto tysięcy głów, zanim kauczukowa gorączka sprowadziła tu »cywilizowanych«. Juan Tizón^[19] uważał tę liczbę za mocno przesadzoną. Tak czy owak, obecnie tu żyło nie więcej niż jakieś dziesięć tysięcy Indian. Oznaczało to, że reżim wprowadzony przez firmy kauczukowe doprowadził do śmierci trzech czwartych populacji autochtonicznej. Niewątpliwie wielu z nich padło ofiarą ospy, malarii, beri-beri i innych chorób. Jednakże przeważająca większość zginęła z powodu wyzysku, głodu, okaleczeń, dybów, morderstw”.

Gdy do Ekwadoru wkraczali amerykańscy nafcjarze, rządzący w tym kraju nadal prowadzili politykę w taki sposób, jak gdyby miejscowe społeczeństwo tworzyli tylko biali Kreole. Autochtoni mieli dopiero powalczyć o swoje prawa. Niekiedy brutalnie.

Przed podpisaniem kontraktu z Texaco nie przeprowadzano badań, które oszacowałyby wpływ eksploatacji ropy na środowisko Amazonii. Rządzący wówczas wojskowi nie wiedzieli, i chyba nie chcieli wiedzieć, co i jakim kosztem nafcjarze ze Stanów Zjednoczonych zamierzają robić na terytorium ich kraju. Generałowie chcieli jednego: dolarów. W zamian za słono opłacone prawa do eksploatacji ropy Texaco dostało swobodę działania oraz ochronę policji i armii.

Eksploatacja ropy napędziła gospodarkę Ekwadoru. Jeszcze niedawno jeden z najbiedniejszych krajów regionu zaczął notować co roku siedmioprocentowy wzrost, a w ciągu dekady dochód na głowę mieszkańca zwiększył się z dwustu dziewięćdziesięciu do tysiąca czterystu dziewięćdziesięciu dolarów. Tego typu szacunki mówią sporo o gospodarce, niewiele o społeczeństwie: większość nie odczuła prosperity, elita polityczna – owszem. Ekwador nie zdołał obronić się przed przekleństwem większości krajów naftowych: uzależnieniem od zysków z ropy. Okresowe spadki jej cen na rynkach światowych dotkliwie uderzały w same fundamenty tutejszej ekonomii.

Amazonia, dzisiaj traktowana jako płuca Ziemi i skarb ludzkości, była dla generałów społecznym śmietniskiem. Gdy mury więzień pękały z powodu przeludnienia, nadwyżkę więźniów deportowano do amazońskich lasów. Gdzieś na odludziu, w środku „zielonego piekła”, jak nazywają czasem dżunglę ludzie nieumiejący się po niej poruszać, wsadzano więźniów do łodzi i kazano wiosłować przed siebie. Ile dadzą radę. Ci, którzy zdołali przeżyć, zakładali osady, nawiązywali kontakty z miejscowymi, płodzili dzieci z autochtonkami. Ilu zginęło, zmarło od ukąszenia jadowitych insektów, w walce z dzikimi zwierzętami, z powodu tropikalnych chorób – nie wiadomo.

Zanim Lago Agrio stało się miasteczkiem otoczonym satelickimi wioskami, koncern Texaco wybudował w środku selwy lotnisko. Nie było dróg łączących ropodajną krainę z resztą kraju, dotrzeć tam można było tylko drogą powietrzną. Transportowano nią sprzęt do pierwszych odwiertów.

Koncern zbudował osadę dla personelu, który miał tu zamieszkać na lata. „Amerykańskie Lago Agrio” bardzo różniło się od reszty miasteczka i okolicznych osad. Kolejni moi rozmówcy – Emergildo, pani Mariana i kilkoro innych – wspominają ogromny teren oddzielony stalowym, wysokim płotem. Za nim – luksusy, jak w bogatych rejonach Kalifornii czy Florydy z amerykańskich filmów. Przestronne domy, oczywiście z klimatyzacją, własne szkoły, opieka lekarska. Miejscowi mieli tam prawo wstępu jedynie jako sprzątacze, śmieciarze, służba.

„Osiedla koncernu naftowego były wyspami dobrobytu w morzu biedy: klimatyzacja, gorące prysznice, prąd 24 godziny na dobę, filmy, dobre jedzenie i woda zdatna do picia – luksusy nieznane w okolicznych wspólnotach – pisze Kimerling. – Robotnicy pracujący dla koncernu donoszą, że Unocal^[20] przeznaczył od dwóch i pół do trzech milionów na budowę nowego obozowiska z ozdobnymi ogrodami i trawnikami, kortami do squasha, talerzami telewizji satelitarnej, sauną, jacuzzi i basenem. Również zagraniczni pracownicy twierdzą, że »nie dba się o koszty« i »zmarnowano miliony dolarów« na loty helikopterami do stolicy bądź do puszczy – na łowienie ryb lub polowania na krokodyle”.

Pierwsze odwierty, zrobione w sześćdziesiątym siódmym, potwierdziły diagnozy geologów: miejsce, które nazwano teraz Lago Agrio, stoi na ropie, a ogromne złoża rozciągają się dalej na południe. Pozostało połączyć amazońskie zasoby z klientami stacji benzynowych w Stanach Zjednoczonych. Koncern Texaco skonstruował rurociąg, długi na ponad pięćset kilometrów, w większości na powierzchni ziemi, który ciągnie się z Lago Agrio, przez Amazonię, Andy, nieraz wspina się na wysokość ponad czterech tysięcy metrów nad poziom morza, i kończy bieg w porcie Esmeraldas nad Pacyfikiem. Tankowce zabierały ropę do kalifornijskich rafinerii, a stamtąd paliwo trafiało do stacji benzynowych Texaco w Stanach Zjednoczonych.

Rząd Ekwadoru budował w tym czasie drogę, która połączyła niedostępny, faktycznie odcięty region z resztą kraju. Texaco wzięło na siebie budowę sieci dróg wewnątrz regionu Oriente. W siedemdziesiątym pierwszym gotowa była szosa z Quito do Lago Agrio – dwieście osiemdziesiąt kilometrów. Dwa lata później sieć dróg łączących Oriente ze światem zewnętrznym, a także poszczególne miasta i wioski regionu, liczyła już prawie siedemset pięćdziesiąt kilometrów. Dzięki drogom koncern Texaco mógł łatwiej i taniej przewozić sprzęt, zbudować stacje oddzielające ropę od wody i gazu, skończyć budowę rurociągu.

Ale drogi odegrały jeszcze inną rolę.

Dla rządzących wojskowych droga prowadząca do Amazonii spełniała rolę politycznego wentyla bezpieczeństwa. W Ekwadorze był głód ziemi, niektóre obszary, tak na wsi, jak i w miastach – przeludnione. Migracje do amazońskiego Oriente rozładowały społeczne niepokoje. W stronę Lago Agrio podążali biedacy, nędzarze, rozbitkowie z całego kraju, ludzie szukający swojej szczęśliwej gwiazdy. Wędrowali z nadzieją na kawałek ziemi albo pracę przy eksploatacji czarnego złota.

Napływ kolonistów – głównie biedaków, ale też agropodsiębiorców, spekulantów ziemią i wojskowych – zburzył dotychczasowe życie autochtonów. W promieniu kilkunastu kilometrów od każdej z dróg, z obu jej stron, wycinano selwę pod budowę osad, wiosek, miasteczek. Wywłaszczono setki tysięcy hektarów należących do wspólnot miejscowych, dochodziło do typowych dla wielu krajów Południa konfliktów między najbiedniejszymi: jedni wykluczeni, walcząc o przeżycie, stawali się wrogami innych o niemal identycznym statusie, również walczących o przeżycie. O miskę juki, kukurydzy, kiść bananów.

Pierwsze galony ropy popłynęły rurociągiem dwudziestego szóstego czerwca siedemdziesiątego drugiego roku. Niespełna dwa tygodnie później w małej osadzie na wybrzeżu urodził się człowiek, który miał dać się we znaki amerykańskim nafciarzom jak nikt wcześniej.

[18] Confederación de las Nacionalidades Indígenas de las Amazonía Ecuatoriana; Konfederacja Ludów Autochtonicznych Ekwadorskiej Amazonii.

[19] Osoba blisko związana z firmą Peruvian Amazon Company.

[20] Firma naftowa z Kalifornii.

Pablo

Teraz żyje między andyjską stolicą a amazońskim tropikiem... Na umówione spotkanie przyjeżdża spóźniony dwie godziny. Pogoda w Lago Agrio uniemożliwiła punktualny start samolotu.

Pierwsza z naszych trzech rozmów odbywa się w jego biurze w Quito.

Ludzie, z którymi pracuje, oprowadzili mnie już po skromnym lokum w dwukondygnacyjnym domu, odpowiedzieli na kilka pytań – no, ale bez niego nie ma rozmowy. Kilka razy wymieniali enigmatyczne uwagi, że dzisiaj nikt się nie kręci przed biurem, dziś spokój. Nie wiem, o co chodzi.

Wreszcie przyjeżdża.

Ma nie więcej niż sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, krótko przycięte, gęste ciemne włosy, sportową białą koszulę, spodnie od garnituru. Te spodnie to z powodu wywiadu w telewizji, który ma mieć wieczorem. Normalnie woli dżinsy. Kalendarz nabity do samej północy, dwie godziny spóźnienia komplikują dzień jeszcze bardziej. Dlatego dzisiaj porozmawiamy krótko, ukradzione godziny odrobimy następnego dnia, a potem jeszcze w Lago Agrio.

Uśmiecha się, ale ten uśmiech nie informuje o luzie czy zadowoleniu. Pablo jest skupiony, przejęty, cały na serio. Rozmawia, patrząc w oczy. Uderza pewnością co do tego, o czym mówi, ale to nie arogancja. Raczej spokój kogoś, kto nie ma nic do ukrycia.

– W zeszłym tygodniu obserwowali nasze biuro – wyjaśnia zagadkę, nad którą się zastanawiałem. – Dwóch mężczyzn siedziało przez cały dzień w samochodzie. Następnego dnia też. Stara taktyka, żeby zasiać niepokój, przestraszyć. Teraz i tak jest spokojnie. Kiedyś za nami jeździli, były włamania, napady, pobicia...

Trzeba poznać całą jego historię, żeby przekonać się, że to nie paranoja.

Był szóstym dzieckiem José Fajarda i Marii Mendozy. Jednym z dziewięciu braci, którzy mieli tylko jedną siostrę.

– Było nas tak dużo – mówi nieco figlarnie – ponieważ w wiosce nie było prądu i rodzice nie mieli telewizji. Wieczorami, z braku czegoś lepszego, zajmowali się sobą.

Pablo Fajardo urodził się w prowincji Manabí na wybrzeżu Pacyfiku. Rodzice mieli skrawek ziemi. Plonów ledwie starczało, żeby nie chodzili głodni. Gdy Pablo zaczynał

pierwszą klasę, droga z wioski do szkoły zajmowała mu godzinę.

Na region spadła wyniszczająca plaga. Susza. Fajardowie, jak wielu sąsiadów, zostawili wymarłe poletko i ruszyli wybrzeżem, na północ. Osiedlili się w prowincji Esmeraldas. Od małego, razem ze starszymi braćmi, Pablo musiał pomagać ojcu w polu. Mama rodziła kolejnych braci, niańczyła ich, przygotowywała strawę. Tutaj skończył podstawówkę i pierwszą klasę szkoły średniej.

Przyszła następna susza. Zdesperowany ojciec zapakował wszystkich do autobusu jadącego na wschód. Znaleźli się w sercu ekwadorskiej Amazonii. Pablo miał wtedy czternaście lat.

Gdy wysiedli w Lago Agrio, pod stopami mieli ciemną śliską maź, którą dzieciaki od razu ubrudziły sobie buty i nogi.

Ropa była wszędzie: w powietrzu, wodzie, jedzeniu. Czyli w nozdrzach, płucach, ustach. Ciężarówki należące do Texaco spryskiwały ropą drogi gruntowe, żeby się nie kurzyło. W porze suchej na drogach tworzyła się skorupa zastępująca asfalt, ale gdy padał deszcz, drogi stawały się niebezpieczną ślizgawką. Ludzie wspominają, że z powodu tej śliskiej nawierzchni nagminnie dochodziło do zderzeń samochodów i potrażeń pieszych, również śmiertelnych. Jeden z miejscowych, którego wypytywałem o tamte lata, zapamiętał dramatyczny poślizg ciężarówki cysterny i stoczenie się całego ładunku do rowu, którym płynął strumień. Żadnym sposobem nie dało się wyciągnąć cysterny z wielotonowym obciążeniem, więc ropę spuszczone do strumienia. W Lago Agrio nikt nie dochodził winy firmy czy kierowcy, nie wszczynano śledztw. Policja i armia były, jak prywatna ochrona przemysłu naftowego, całkowicie na usługach koncernu.

– Osiedliśmy w Shushufindi, pięćdziesiąt kilometrów od Lago Agrio, u samych wrót instalacji Texaco.

Widok nowego miejsca oczami czternastoletniego Pabla: po ulicach chodzą uzbrojeni *pistoleros*. Ludzie ostrzegają, żeby trzymać się z daleka od niektórych barów, gdzie piją uzbrojeni mężczyźni. Wizyta w takim barze grozi pobiciem, a nawet utratą życia. Reputację miejsca streszcza zasłyszany bon mot: „więcej tu burdeli niż szkół”.

Jest również jawna segregacja, choć wtedy Pablo nie zna tego słowa. Widzi, że menadżerowie Texaco mieszkają odgradzeni od miejscowych, z czasem dowie się o ostentacyjnych luksusach za płotem. Miejscowi żyją nie tylko bez prądu, kanalizacji, nie tylko w dżungli naturalnej, lecz również społecznej. (Kimerlig podaje twarde dane: w Shushufindi jedynie 0,2 procent domostw ma prąd i wodę z publicznej kanalizacji). Region przyciąga głodnych ziemi i pracy, lecz także wyjętych spod prawa. Na nowym miejscu walka o życie – dosłownie – toczy się każdego dnia.

Z Lago Agrio jest dwadzieścia minut do granicy z Kolumbią, przechodzi tędy kontrabanda, oczywiście, też kokaina. Rywalizujące gangi biją się o wpływy. A w tle kolumbijskie grupy zbrojne, nieraz przekraczające granicę: FARC i paramilitarni.

Wziętą profesją w okolicy jest *sicario* – płatny zabójca.

W strumieniu przepływającym niedaleko domu Pablo dostrzega tęczowe plamy. Od ludzi, którzy przybyli w te rejony wcześniej, słyszy rozmaite historie. Na przykład, że kiedyś były tu ryby, a teraz nie ma. Ci ludzie ostrzegają: lepiej się w tej wodzie nie kąpać, wielu się od niej pochorowało. Więc Pablo nie kąpie się, choć w upale i duchocie trudno nie ulec pokusie. Pije za to wodę o wyraźnie kwaśnym smaku. Studnia Fajardów znajduje się czterysta–pięćset metrów od stacji Texaco. Tam metodą separacji uzyskuje się ropę, która płynie dalej rurociągiem do portu Esmeraldas. Resztki i odpady zostają na miejscu – w ziemi, wodzie, powietrzu.

Dokładnie wtedy, gdy rodzina Fajardów osiedla się w Amazonii, helikopter innego koncernu naftowego, Elf, znajduje na terytorium ludu Huaorani zwłoki biskupa Alejandra Labaki i towarzyszącej mu zakonnicy Inés Arango Velásquez. Biskup i siostra udali się z misją do autochtonów, mieli przekonywać do zgody na wydobycie ropy na ich terytorium. Ciało biskupa zostało przybite do ziemi, rozciągnięte przez siedemnaście włóczy, nakłute w osiemdziesięciu dziewięciu miejscach. Okrucieństwo egzekucji sprawia, że rząd Ekwadoru po raz pierwszy przyznaje na głos, że w Oriente istnieje konflikt między autochtonami a przemysłem naftowym.

Autochtoni opierali się nafciarzom, od kiedy tylko zjawilo się Texaco i trysnęły pierwsze galony ropy. Niektóre wspólnoty wycofały się głęboko do selwy, by uniknąć kontaktu z przybyszami. Inne próbowały adaptować się do nowych warunków, poddały się działaniom misjonarzy. Były i takie, które blokowały drogi, napadały na stacje wydobywcze i produkcyjne.

W te półpartyzanckie, chaotyczne wybuchy sprzeciwu porządek wkracza dopiero w latach osiemdziesiątych. Powstaje Konfederacja Ludów Autochtonicznych Ekwadorskiej Amazonii, która wyraża racje oryginalnych mieszkańców regionu w języku polityki. Mówi o prawach ludności i ochronie środowiska. Tradycyjnym protestom, takim jak marsze czy blokowanie dróg, towarzyszy nagłaśnianie zniszczeń, jakich dokonują koncerny naftowe. Wdzięcznym obiektem oskarżycielskich kampanii są szczególnie te, które swoją aktywność anonsują jako „odpowiedzialną za środowisko naturalne”.

Ten ruch protestu to część przebudzenia autochtonów na kontynencie. Początkowo postulują całkowite wstrzymanie wydobycia ropy. Z czasem porzucają ten postulat, żądają jedynie prowadzenia eksploatacji „w sposób odpowiedzialny”, z zachowaniem wysokich

standardów ochrony środowiska. Chcą naprawienia wyrządzonych szkód i inwestowania części zysków z ropy na miejscu.

Ludzie traktowani jeszcze niedawno jako część fauny Amazonii wymuszają uznanie ich jako integralnej części wieloetnicznego społeczeństwa. Są gotowi uznać, że kraj żyje z eksportu surowców i nie ma na to rady. Bez ich wydobywania państwo o nazwie Ekwador nie potrafi funkcjonować. Niechętne uznanie tej prawdy ukazuje drogę, jaką przeszło wiele wspólnot od momentu, w którym huk pierwszego helikoptera nad terytorium Kofanów wystraszył Emergilda i przywiódł myśli o niechybnym końcu świata.

Pablo idzie do pracy. Musi – ojciec sam, bez wsparcia synów, nie podoła. Pracuje maczetą. Firma, w której dostaje robotę, uprawia palmy afrykańskie; z nich produkuje się olej spożywczy. Pablo wycina dżunglę pod nowe uprawy, przygotowuje ścięte palmy do ekstrakcji. Wiezorami chodzi do szkoły.

Trzy lata po przybyciu do Shushufindi don José i doña María rozwodzą się.

Pablowi przypada rola opiekuna czterech młodszych braci. Musi teraz nie tylko uczyć się i zarabiać, ale także gotować, ojcować, matkować.

Czasem nie daje rady. Przerywa naukę, potem do niej wraca – tak kilka razy. Szkoła średnia zabiera mu siedem lat.

Ma siedemnaście, gdy spotyka pracujących w regionie kapucynów z Hiszpanii. Robi się głośno o szkodach, jakie lokalnym społecznościom wyrządziło wydobywanie ropy. Ludzie nabierają odwagi, mówią głośno o krzywdach, bo oto po osiemnastu latach eksploatacji tutejszych złóż Texaco ma zwinąć działalność w Ekwadorze. To ośmiela krytyków.

Wielu miejscowych od dawna choruje. Mnożą się nowotwory, przedwczesne zgony, choć skala szkód nie jest jeszcze znana. Kapucyni mówią ludziom o godności, prawach, rewindykacjach. Na spotkaniach poszkodowanych dyskutuje się o zniszczeniach środowiska, chorobach, jakie wywołała eksploatacja ropy, a także, co to takiego prawa pracownicze i sprawiedliwe wynagrodzenie. Wielu biednych osadników pracuje przy uprawie palm, tak jak Pablo, inni w Texaco lub miejscowej firmie naftowej Petroecuador.

Jedna z takich grup, na spotkania której Pablo przychodzi nocą, po szkole, wybiera go na lidera. Mówi klarowniej niż inni, dobiera trafniejsze argumenty, bije od niego wewnętrzną siłą, którą zaraża sąsiadów.

Po latach przyzna, że to nie była decyzja, lecz odruch. Że ludzie mają samoistne talenty lub skłonności, które popychają ich w tę lub inną stronę – to się dzieje poza świadomością, poza rozumem. Nazwijmy to instynktem. Jego instynkt kazał mu reagować niezgodą, protestem na jawną niesprawiedliwość. Inni musieli wyczuć, że jest właściwym człowiekiem. Że można mu zaufać i że będzie ich głosem.

Z tego powodu zaczynają się nowe kłopoty.

Ci, którzy pracują przy palmach i są wyzyskiwani jak niewolnicy – przeciętna miesięczna pensja pięćdziesiąt dolarów – przychodzą do Pabla ze skargami. Pablo w asyście braci idzie wtedy do dyrekcji i żąda. Podwyżek, odzieży ochronnej dla narażonych na zatrucie chemikaliami, skrócenia czasu pracy.

W dyrekcji nazywają go wywrotowcem.

Widzi, że chodzą za nim po fajrancie.

Po kilku skargach złożonych w imieniu robotników zostaje zwolniony.

Najmuje się do nieco lepiej płatnej, lecz brudniejszej i niebezpiecznej dla zdrowia pracy przy oczyszczaniu sprzętu i usuwaniu poprodukcyjnych odpadów ropy. Dopiero tam, w pełni i do końca, przekonuje się, jak bardzo nacierze zdewastowali środowisko tej części Amazonii.

Jedziemy na inspekcję

Przez dwa dni jeździłem z Donaldem Moncayo po okolicy. Krążyliśmy pikapem po dżungli i wioskach w promieniu plus minus osiemdziesięciu kilometrów wokół Lago Agrio. Donald jest stąd, zna każdą drogę, każdy objazd, drzewo, kamień. I każdy wyciek. Tak jak Pablo, rok młodszy od niego, pochodzi z rodziny drobnych rolników. Na prośbę Pabla zgodził się poświęcić czas i pokazać, jak do dziś, jeszcze po wielu latach, widać i czuć skutki dewastacji środowiska z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Opowiada po drodze:

– Kiedy ryby w strumieniach dusiły się od toksyn i wyskakiwały z wody, kury łapały je w powietrzu.

Anegdota jak z powieści realizmu magicznego. Wątpię, czy kura może złapać w locie wyskakującą z wody rybę, lecz nie mam jak tego sprawdzić. A czy kura w ogóle skusiłaby się na rybę? Zresztą kury chyba nie polują. Przyjmuję to jako lokalną opowieść, za pomocą której ludzie przekazują, że ich świat stanął na głowie, że zatruta natura oszalała, a życie wypadło z naturalnych torów.

Na część ciężarową pikapa Donald załadował ręczne stalowe wiertło. Dzięki niemu będzie mógł pokazać, jak głęboko ziemia jest przesiąknięta naftą. W czasie tej naszej „inspekcji” nieodzowne będą silne ręce Donalda, nabite ciało, choć słabość mojego przewodnika do suto zastawionego stołu też jest widoczna.

Zjeżdżamy z głównej szosy. Przez następne dwadzieścia minut jedziemy wyboistą drogą gruntową w dżungli.

Pierwszy przystanek: pokryta trawą polana wielkości boiska do piłki nożnej, może większa. Wsiadamy z pikapa, Donald składa wiertło, wciąga gumowe rękawice, mnie każe włożyć drugie i zaczyna wiercić. Przebija się przez trawę w głąb ziemi. Wiertło ma na końcu coś w rodzaju wewnętrznej łopatkki i kiedy Donald wyciąga je do góry, z głębin wydobywa dużą garść ziemi. Dokręca wiertłu coraz dłuższe ramię – tak że w końcu wyciąga ziemię z głębokości mniej więcej dwóch metrów.

– Zobacz, powąchaj. – Podaje gliniastą grudę.

Jest ciemnobrązowo-czarna. Jakby osmalona. Cuchnie naftą na odległość.

– Toksyny nadal zatrują środowisko, a mówili, że ten zbiornik został oczyszczony. Przysypali go jedynie ziemią.

- Kto?
- Texaco.
- Ile takich zbiorników jest w okolicy?
- Około tysiąca.

Donald pokazał mi kilkanaście podobnych miejsc. Wszystkie w sercu dżungli. Do niektórych nie da się dojechać samochodem, czasem trzeba trochę podejść, a po drodze ścinać krzaki i gałęzie drzew maczetą.

Niektóre baseny, jak nazywają tu zbiorniki z odpadami poprodukcyjnymi, nie są nawet przykryte ziemią. Naftowy szlam znajduje się na powierzchni. Toksyny krążą stale: na nie pada deszcz, woda paruje razem z nimi i spada z kolejnym deszczem.

W kilku nawierconych przez Donalda punktach, niedaleko od basenów, nafta wypływa na powierzchnię, robiąc od razu niewielką kałużę.

W miejscu oznaczonym jako Shushufindi 61 Donald stanął na porośniętej powierzchni basenu i wprawił w ruch podłoże w promieniu kilkunastu metrów wokół siebie. Bujał się na nim jak na powierzchni bagna.

Zeszliśmy do pobliskiego leśnego strumienia. Po drodze znowu maczeta w ruch – żeby wejść w głąb selwy, gdzie płynie woda. Kiedy Donald poruszył patykiem ziemię przy brzegu, na powierzchni wody ukazała się po chwili naftowa tęcza.

Gdy Texaco wkraczało do Ekwadoru, nie było prawa nakładającego na firmę obowiązek dbania o środowisko. Jednak w siedemdziesiątym pierwszym, tuż przed rozpoczęciem eksploatacji na wielką skalę, wprowadzono pakiet ustaw, które nakazywały koncernom naftowym chronienie „fauny, flory i innych bogactw”, a także „zapobieganie zanieczyszczeniom zasobów wodnych, atmosfery i ziemi”.

Texaco odpowiedziało po swojemu. Rok po uchwaleniu nowego prawa biuro firmy na Florydzie wysłało do dyrekcji oddziału w Lago Agrio tajną instrukcję, która nakazywała informowanie centrali i uruchamianie planu awaryjnego wyłącznie w przypadku „większych wycieków” ropy do środowiska. Jako „większe wycieki” instrukcja definiowała te, które zwróciły uwagę środków przekazu lub organów kontroli państwowej. Kluczowy dowód intencji to polecenie, żeby „nie przechowywać raportów [o wyciekach], a wszystkie dawne usunąć z biur i zniszczyć”.

W siedemdziesiątym siódmym ekwadorskie biuro do spraw surowców naturalnych odkryło parę mniejszych wycieków i innych zaniedbań. Chcąc zapewne pokazać, kto tu rządzi, nałożyło na Texaco grzywnę. Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dolarów. Dyrektorzy i menadżerowie firmy musieli dusić się ze śmiechu.

– Koncern świadomie niszczył środowisko w Amazonii.

– Co znaczy „świadomie”?

– Że wiedzieli, jakie szkody wywołuje sposób wydobywania ropy w Lago Agrio. Że nie dotrzymywali standardów, jakie obowiązywały w tamtym czasie choćby w Stanach Zjednoczonych.

Esperanza Martinez, wiek średni, ciemne długie włosy z fioletowymi kosmykami, mówi z pasją i kompetencją, którą zdradzają szczegóły techniczne, cyfry, cytowane z pamięci przepisy krajowe i międzynarodowe. Siedzimy w biurze Oil Watch w Quito, lokalnej placówce organizacji, która monitoruje działalność koncernów naftowych na różnych kontynentach. Esperanza tłumaczy technologię ekstrakcji ropy oraz to, w jaki sposób wydobywanie zagraża środowisku, i co się robi, żeby ograniczyć szkody.

Złóża znajdują się około dwóch kilometrów pod ziemią. Odwierty zostawiają po sobie toksyczny szlam, toksyczne płyny, toksyczne substancje. Po drodze do złóż ropy zdarza się, że substancje trujące mieszają się z podziemnymi zasobami wody pitnej. W Stanach Zjednoczonych muł, jaki zostaje po odwiertach, zabezpiecza się kosztownymi metodami. W Amazonii Texaco zostawiło niezliczone baseny substancji toksycznych na otwartym powietrzu. Mają one zazwyczaj głębokość dwóch–trzech metrów, dochodzą do granicy podziemnych zasobów wody, nieraz je zatrują. Z powodu bliskości osiedli ludzkich do basenów z toksycznym szlamem wpadały zwierzęta domowe. W Stanach Zjednoczonych nieogrodzone zbiorniki wolno zostawiać tylko tam, gdzie toksyny nie mają szansy wymieszać się z zasobami wody pitnej. W Ekwadorze cała poprodukcyjna trucizna wsiąkała w ziemię i spływała do rzek, potoków, strumieni.

W roku siedemdziesiątym szóstym menadżer Texaco urzędujący w Quito informował prezesa zarządu firmy, że rząd Ekwadoru domaga się zabezpieczenia zbiorników z odpadami – ogrodzenia ich i przykrycia – z powodu zanieczyszczeń, których są przyczyną. Szefostwo zignorowało żądanie. Cztery lata później, w odpowiedzi na kolejne, od władz lokalnych, menadżerowie Texaco policzyli koszt budowy nowych, stalowych zbiorników na odpady. Wyszło ponad cztery miliony dolarów. Uznali, że to za dużo.

Ubocznymi produktami wydobywania ropy są gaz i tak zwana woda produkcyjna. Gaz spala się. W Stanach Zjednoczonych wymaga się, żeby płomień z palników palił się pionowo. Wymieszany z tlenem wytwarza mało dymu. Texaco ustawiało palniki tak, że płomień palił się poziomo, a ogień dosięgał resztek ropy na powierzchni basenów z odpadami i spalał je. Taki sposób wytwarza ogromne chmury czarnego dymu. W Lago Agrio zatruwały one powietrze, faunę i florę, okoliczne wsie, a w czasie opadów również ziemię i wodę.

Texaco ignorowało przyjęte w Stanach zasady utylizacji wody produkcyjnej. Zawiera ona zazwyczaj dużo soli, metali ciężkich, substancji rakotwórczych. W Stanach Zjednoczonych wodę taką bada się i tylko wtedy, gdy spełnia kryteria czystości, można ją odprowadzić do środowiska. Jeśli przekroczone zostaną granice toksyczności, wtryskuje się ją nieczynnymi szybami naftowymi na głębokość, na przykład, dwóch kilometrów, tak żeby nie zatruwała podziemnych zasobów wody pitnej. Takie standardy obowiązują w Stanach Zjednoczonych od lat czterdziestych dwudziestego wieku.

„Z wodą produkcyjną należy obchodzić się nadzwyczaj ostrożnie nie tylko dlatego, że może wyrządzić szkody rolnictwu, lecz również dlatego, że mogłaby zanieczyścić jeziora i rzeki będące źródłem wody pitnej, jak też służącej do nawadniania” – napisał pewien inżynier zatrudniony w Texaco w instrukcji branży naftowej *Primer of Oil and Gas Production* z sześćdziesiątego drugiego roku. W ekwadorskiej Amazonii Texaco nie przeprowadzało żadnych badań wody produkcyjnej. Spuszczało ją do strumieni, rzek i dżungli. Wtryskiwanie pod ziemię uznano za zbyt kosztowne.

Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy koncern opuszczał Ekwador, kanadyjska firma audytowa HBT Agra przeprowadziła badania wody produkcyjnej. Potwierdziły one, że odpady ropopochodne i wodę produkcyjną wylewano do środowiska naturalnego. W różnych stacjach separacyjnych Texaco standardy toksyczności były przekroczone od kilku do kilkudziesięciu razy (w porównaniu z normami, jakie obowiązują w Stanach Zjednoczonych). To oznacza, że w wielu miejscach ekosystem wodny został całkowicie lub prawie całkowicie zniszczony.

Władze Texaco, niezadowolone z audytu, zamówiły konkurencyjny w firmie Fugro-McClelland. Jej ustalenia były podobne.

Pablo (2)

Pablo Fajardo wywołał w swoim życiu ileś rewolucji i prawie wszystkie wygrał. Jedne dotyczyły tylko jego samego, drugie najbliższych, trzecie tysięcy ludzi, wśród których żył. A jeszcze inne Ekwadoru, kontynentu i – bez przesady – świata.

– Nie nauczyłem się dobrze prowadzić samochodu.

Rozbraja wielkie słowa śmiechem, trywialną konstatacją, by za chwilę wrócić do swojej nieco misjonarskiej powagi.

W dziewięćdziesiątym czwartym, po siedmiu latach udręki, kończy liceum. Zapisuje się na korespondencyjny kurs, który ma mu dać papiery technika komputerowego. Komputery nudzą go, ale nie wie, co innego mógłby studiować. Przecież mieszka w Shushufindi, na końcu świata. Wie, że nie wolno mu wyjechać: poczucie obowiązku. Musi pomagać braciom, potrzebują go koledzy z pracy, jest nieformalnym przywódcą. Chodzi do dyrekcji wyklócać się o pieniądze, godziny pracy, środki ochronne.

Jest też jednym z liderów wspólnoty, która szykuje się do batalii z Texaco o odszkodowania za dewastację środowiska, zdrowia, życia tysięcy mieszkańców.

Jeździ po zapadłych wioskach autochtonów, migrantów. Słucha i dodaje otuchy.

Pracuje w biurze interwencyjnym miejscowej organizacji. Zbiera skargi ludzi na pracodawców, nadużycia władz, firmy naftowe niszczące środowisko i okoliczne wioski.

Zakłada szkołę wieczorową dla wszystkich chętnych, niezależnie od wieku. Postanawia, że wykorzeni analfabetyzm. Wiedza to narzędzie walki o prawa, a szkoła jest miejscem integracji. Na lekcjach Pabla miejscowi dostrzegają, że nie są sami, że dzielą los z innymi, że jest ktoś, kto się ich losem przejmuje.

Zapisuje się na studia korespondencyjne na uniwersytecie w Quito: prawa człowieka i ochrona środowiska. Teraz dużą część weekendów spędza na lekturach i pisaniu.

W nielicznych wolnych chwilach ugania się za Fanny Villares, lokalną działaczką praw człowieka. Zamieszkują razem, rok później rodzi się ich córka.

Za „podburzenie” robotników traci pracę przy usuwaniu odpadów toksycznych w firmie naftowej Petroecuador. Pracodawca oskarża go o działalność wywrotową.

Popada w nędzę. W biurze interwencyjnym zarabia ledwie pięćdziesiąt dolarów, w domu nie starcza na jedzenie. Pierwsze rodzinne napięcia i frustracje.

– W biedzie nie ma nic uszlachetniającego. Bieda to upokorzenie, nic więcej – wspomina

niechętnie, z nutą zawstydzenia.

Pomocną rękę wyciągają kapucyni i ośmioro przyjaciół – biednych jak on. Ze zrzutki fundują mu stypendium. Dzięki tym pieniądzom jest w stanie utrzymać rodzinę i podjąć studia prawnicze, także korespondencyjnie.

– Wstawałem o trzeciej. Czytałem mniej więcej do siódmej. Potem szedłem do biura interwencyjnego. Codzienna rutyna. W południe – radio: prowadziłem godzinny program, który musiałem po drodze przygotować. Komentowałem informacje dnia, zupełnie sam, bez niczyjej pomocy. Następnie znowu do biura, praca do wieczora. Kolejną godzinę zajmowało mi przygotowanie lekcji i dojazd do szkoły wieczorowej, w której prowadziłem zajęcia. Do domu wracałem o jedenastej. Na sen zostawały cztery godziny...

Tak wygląda sześć lat życia.

Ten wysiłek i poświęcenie mają pewien horyzont. Oto od niedawna w Stanach Zjednoczonych toczy się proces przeciwko Texaco za zniszczenia dokonane w ekwadorskiej Amazonii. Za bezprecedensowym pozwem stoją mieszkańcy Lago Agrio i okolic, skupieni we Froncie Obrony Amazonii. Mają reprezentujących ich amerykańskich prawników, ale potrzebują kogoś, kto jest jednym z nich, zna prawo i będzie ich głosem. Może nie do razu, w przyszłości.

Wybór, kto to ma być, jest bardziej niż oczywisty.

Precedens, czyli wielki biznes patrzy

W kwietniu dziewięćdziesiątego trzeciego na biurku mecenasa Cristobala Bonifaza z Amherst w stanie Massachusetts wylądował raport międzynarodowej organizacji pozarządowej Oxfam. Kancelaria Bonifaza podejmowała wcześniej sprawy o łamanie praw człowieka i niszczenie środowiska – doniesienia Oxfamu, który zajmuje się tym samym, nie dotarły tam przypadkowo. Był jeszcze jeden powód: rodzinne związki z Ekwadorem. Bonifaz pochodzi z zamożnej ekwadorskiej rodziny, a jeden z jego dziadków był prezydentem kraju.

Rzeczony raport opisywał dewastację środowiska w Lago Agrio i okolicach oraz liczne przypadki zachorowań i zgonów spowodowanych najprawdopodobniej substancjami toksycznymi. Wskazywał również winnego: firmę Texaco, która rok wcześniej wycofała się z Ekwadoru po wygaśnięciu kontraktu. Cały sprzęt, stacje i rurociągi przejął biznesowy partner – miejscowa kompania naftowa Petroecuador.

Ustalenia Oxfamu wstrząsnęły Bonifazem. Podejrzewał, że raport opisuje prawdziwe zdarzenia, a znając swój stary kraj, skorumpowany aparat władzy, neokolonialne praktyki wielkich firm, przypuszczał, że sprawy mogły wyglądać jeszcze gorzej. Zaczął dążyć. Zorganizował wyprawę prawników i lekarzy z Harvard School of Public Health do Lago Agrio.

Miejscowi pokazali członkom ekspedycji zanieczyszczone rzeki i strumienie bez ryb. Naftową tęczą na wodzie. Cuchnące jeziora pełne naftowego szlamu i innych odpadów. Zaprowadzili ich do chorych: lekarze mieli okazję ocenić, czy choroby mogą być skutkiem naftowych toksyn.

W listopadzie tego samego roku Bonifaz w imieniu poszkodowanych osadników i autochtonów złożył pozew w sądzie federalnym w Nowym Jorku. Domagał się od Texaco naprawienia szkód, między innymi oczyszczenia pozostawionych substancji toksycznych oraz rekompensaty za zniszczenia.

Prawnicy Texaco od początku trzymali się tezy, że koncern wydobywał ropę zgodnie z miejscowym prawem i ogólnie przyjętymi praktykami firm naftowych. To była opowieść dla sądu i opinii publicznej.

Główna batalia przed nowojorskim sądem miała jednak charakter nie merytoryczny, lecz formalny. Nie oceniano skali zaniedbań ani zniszczeń dokonanych przez koncern. Prawnicy Texaco podnosili, że sąd w Nowym Jorku nie ma uprawnień do wypowiedzania się w sprawie i że orzekać może tylko sąd w Lago Agrio, tam bowiem doszło do spornych zdarzeń.

Mecenas Bonifaz znał swój rodzinny kraj i wiedział, że przez ponad dwadzieścia lat Texaco rządziło nim, jak chciało. Że całą administrację i wymiar sprawiedliwości zżera korupcja, o czym wiedzą nawet małe dzieci. Nie chciał procesu w Ekwadorze, ponieważ nie wierzył w sprawiedliwy wyrok.

Pablo Fajardo uważa, że Texaco walczyło zaciekle o przeniesienie procesu do Lago Agrio z tego samego powodu, z jakiego Bonifaz tego nie chciał. Szefowie Texaco mieli pewność, że w Ekwadorze na jedno skinienie mają wszystko, czego zapragną. Przecież tak było zawsze. Przez ponad dwadzieścia lat władze państwowe Ekwadoru działały tak, jakby świadczyły usługi na rzecz koncernu. Wydobycie ropy, osiedla amerykańskich pracowników i kadry zarządzającej Texaco chroniła ekwadorska armia. Sędziowie byli do kupienia – taką przynajmniej mieli reputację.

Przed sądem w Nowym Jorku prawnicy Texaco używali, oczywiście, dokładnie przeciwnych argumentów na rzecz przeniesienia procesu. Wystawili sądom, sędziom, całemu ekwadorskiemu wymiarowi sprawiedliwości pomnik z komplementów, jak gdyby mądrość i uczciwość całej ludzkości skoncentrowały się w tym jednym miejscu na Ziemi. Ekwador „ma wolną od korupcji historię rozpraw sądowych przeciwko ponadnarodowym i innym firmom naftowym – przekonywał adwokat José María Pérez-Arteta. – W wielu sprawach dotyczących koncernów naftowych sądy w Ekwadorze orzekały i nadal orzekają w sposób niestronniczy i fair”.

Prawnicy Texaco obiecywali, że firma podda się w pełni jurysdykcji w Ekwadorze i ewentualnej karze.

Po dziewięciu latach procesowej szarpaniny nowojorski sędzia wydał orzeczenie po myśli Texaco. Decyzję uzasadnił tym, że sprawa ma niewiele wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi. Ale też zobowiązał koncern do uznania wyroku sądu w Ekwadorze i zapłacenia odszkodowań, jeśli takie zostaną orzeczone.

Proces miał się zacząć od nowa, tym razem w zapadłym miasteczku ekwadorskiej Amazonii. W Texaco rachowali, że poszkodowani odpuszczą z braku środków na dalszą kosztowną batalię przed sądem. Nic z tego.

Pablo Fajardo był niemal gotowy do pierwszej rundy pojedynku z amerykańskim Goliatem. Nie przypuszczał, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić.

„Oferujemy zdrowe i bezpieczne miejsce pracy. Chronimy zdrowie ludzi i środowisko naturalne. We wszystkich krajach, w których prowadzimy interesy, działamy według wysokich standardów, z poszanowaniem środowiska i bezpieczeństwa”.

Texaco, a właściwie ChevronTexaco, zainwestował miliony w kampanię mającą naprawić fatalną reputację koncernu. Gdy przed sądem w Lago Agrio ruszał proces, oskarżonym nie był już koncern Texaco, lecz ChevronTexaco, a potem już tylko Chevron. („Zdecydowali zapewne, żeby wymazać Texaco z nazwy, ponieważ brudu, jaki zostawił koncern, nie dało się sprać w żaden sposób” – słyszę od Pabla). W dwa tysiące pierwszym wielki rekin (Chevron) połknął nieco mniejszego (Texaco), a wraz z nim wszystkie jego aktywa, pasywa i grzechy.

Jednak pierwszym krokiem koncernu – mimo wcześniejszych deklaracji – była próba podważenia prawa sądu w Ekwadorze do rozpatrywania sprawy. „ChevronTexaco nie jest spadkobiercą Texaco Inc.” – twierdzili prawnicy firmy.

Stare przewiny miała zmyć kampania promocyjna. Ekologiczne postawy podbijały świat zachodni, w tym ojczyznę ChevronuTexaco – Stany Zjednoczone. Do dobrego tonu weszło wspieranie ochrony środowiska, mówienie o potrzebie zróżnicowania etnicznego i kulturowego, parytetach i akcji afirmatywnej, trąbienie o globalnym ociepleniu, nawet jeśli hojnie sponsoruje się polityków, którzy wszystkie te sprawy ignorują.

I nawet jeśli samemu dewastuje się środowisko, i przyczynia do ocieplenia klimatu.

Przykazania koncernu:

„Prowadzić interesy z odpowiedzialnością społeczną i w sposób etyczny...

przestrzegać praw człowieka...

chronić środowisko

wspierać wspólnoty, oferując pracę

uczyć się i szanować kultury, wśród których się pracuje...”.

(Wyobrażam sobie uśmiech Pabla...).

„Realizujemy nasze interesy w sposób odpowiedzialny i etyczny. Oferujemy równe możliwości naszym pracownikom bez względu na kolor skóry, rasę, płeć, wiek i wyznanie. Promujemy tolerancję, szacunek dla jednostki...

Nie dajemy i nie bierzemy łapówek. Jesteśmy światowym liderem, którego słowa pozostają w zgodzie z działaniami...”.

Rzadko zdarzają się zbrodnie doskonałe, tak samo jak doskonałe kampanie piarowe. Już w trakcie trwania procesu w Lago Agrio pewnemu lobbyście Chevronu wymknęło się nieostrożne zdanie: „Nie możemy pozwolić, żeby małe kraje pogrywały z wielkimi firmami takimi jak ta, firmami, które dokonują wielkich inwestycji na całym świecie”.

Przed sądem w Lago Agrio prawnicy Chevronu mieli zdusić w zarodku sam pomysł –

niebezpieczny dla swojego klienta i wszystkich koncernów naftowych na świecie – że wspólnota autochtonów ma prawo wystąpić na drogę sądową przeciwko firmie, oskarżyć ją o zniszczenie środowiska, domagać się odszkodowań. I być może wygrać?

To byłby precedens. Co zrobić, by do tego nie dopuścić?

Pablo (3)

– Zabili Wilsona, Pablo, zabili Wilsona...

W poniedziałek rano, dziewiątego sierpnia dwa tysiące czwartego – Pablo będzie pamiętał tę datę już zawsze – wszedł do autobusu w Shushufindi i jak co dzień pojechał do swojego biura w Lago Agrio.

Dwie godziny później zadzwonił jeden z braci z wiadomością o śmierci Wilsona.

Wilsona Fajardo, lat dwadzieścia osiem, zamordowali nieznani sprawcy. Pablo ledwo rozpoznał młodszego brata.

– Twarz i głowę miał pociętą maczetą.

Lekarze ustalili, że przed śmiercią Wilson Fajardo był bestialsko torturowany.

Pablo wrócił czym prędzej do Shushufindi. Zebrała się rodzina, przyjaciele, sąsiedzi. Wszyscy przerażeni, w szoku.

– Muszę być ostrożny w ocenach... Nie mówię o takich sprawach, gdy nie mam stuprocentowej pewności...

Pablo nie chce powiedzieć tego, co mówią wszyscy: zabójstwo młodszego brata zlecił nafciarze. Nie ma dowodów i Pablo wątpi, czy je kiedykolwiek zdobędzie.

Może mówić tylko o tym, co wie. A wie, że ludzie z wywiadu wojskowego przeprowadzili nieformalne śledztwo i wyszło im, że zabójcy szukali Pabla, nie Wilsona. Pomylili się, zabili nie tego Fajarda.

Inna hipoteza, jaka krąży wśród ludzi: zabili Wilsona, żeby zastraszyć Pabla. Zabójstwo Pabla odbiłoby się zbyt dużym echem.

Nikt tutaj nie wierzy, że Wilson zginął przypadkowo.

Śmierć Wilsona „stwarza pewne problemy”. To osobliwe, sztuczne, wyprane z emocji sformułowanie jest ucieczką. Samoobroną Pabla przed tym, żeby się nie rozpaść. „Pewne problemy” to świadomość, że młodszy brat zginął przez niego. Pablo, jako świeżo upieczony prawnik, był już wtedy asystentem adwokatów prowadzących sprawę przeciwko koncernowi w imieniu poszkodowanych. Pozew leżał od roku w sądzie w Lago Agrio, proces miał wejść w fazę wojny na ekspertyzy. Wilson zginął osiem dni przed pierwszą inspekcją największych zanieczyszczeń, jakie zostawili po sobie amerykańscy nafciarze.

Pablo broni się, żeby nie łączyć zdarzeń, które w głowie łączą się same.

Rok wcześniej nieznanymi sprawcy zabili czterema strzałami najbliższego przyjaciela Pabla, dwudziestosześcioletniego taksówkarza Freddiego Valverde. Policja nawet nie wszczęła śledztwa.

Siedem miesięcy przed zabójstwem Wilsona ktoś włamał się do biura Pabla: skradziono dokumenty potrzebne w procesie i jedyny egzemplarz brudnopisu pracy doktorskiej Pabla. Napisanie tej pracy zajęło mu pół roku.

Pablo nieraz widział, że chodzą za nim podejrzane typy, ale starał się nie przejmować. Zachowywał rozsądek, był ostrożny. Co więcej miałby zrobić?

Nie umie mówić o Wilsonie, mimo że minęło osiem lat. Za mało. Jakies wspomnienie, anegdota? Tylko przymiotniki: dobry, pracowity, uczciwy, dbający o innych. Normalny facet.

Pod szybą na stoliku leży zdjęcie, na którym stoją razem, Pablo i Wilson. Wilson pojechał z Pablem na uroczystość wręczenia starszemu bratu dyplomu ukończenia studiów prawniczych na uniwersytecie w mieście Loja. Jedyna pamiątka.

Po zabójstwie brata Pablo wysłał żonę i siedmioletnią córeczkę do teściów w miejscowości Sacha. Sam wynajmuje pokój nad sklepikiem, tuż obok mieszkania przyjaciela.

Jeździ taksówkami, nie jak zwykle autobusem lub rowerem.

Stara się nie zostawać sam w biurze.

Unika chodzenia po ulicach. Jeśli musi wyjść, robi to w towarzystwie innych.

Żyje życiem zwierzyny łownej.

Prześladowcy chcą być widoczni: obserwują go z samochodu, podjeżdżają na motocyklach pod jego nowe lokum, jakby chcieli powiedzieć: „Wiemy, gdzie się ukrywasz”.

Pewnej nocy sąsiad spostrzega przed mieszkaniem Pabla dwóch uzbrojonych mężczyzn. Szczęśliwie nie ma go w domu. Czekają do brzasku, ale Pablo się nie zjawia.

Po tamtym zdarzeniu załatwia sobie rewolwer. Nie umie się nim posługiwać, nigdy w życiu nie strzelał. Nosi go na wszelki wypadek. Nie ma pojęcia, co zrobi, gdy będzie musiał użyć broni.

– Każde „na razie”, „do zobaczenia” z bliskimi, przyjaciółmi, współpracownikami mogło być ostatnim. Tak wtedy myślałem...

Śledzenie ustaje w dniu, w którym policja znajduje ciała tych dwóch, co chodzili za Pablem.

– Czy zamordowano ich dlatego, że mogli ujawnić morderców? Może udałoby się dojść, kto zlecił zabójstwo mojego brata? Niestety, nie ma kogo spytać... Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

W czerwcu dwa tysiące piątego adwokat prowadzący sprawę w imieniu trzydziestu tysięcy poszkodowanych przez koncern wycofuje się z procesu. Ludzie chcą wierzyć, że nie pod presją, lecz z innego powodu. Ów adwokat, Ekwadorczyk, mieszka na stałe w Waszyngtonie. Podróżowanie z innego kontynentu tam i z powrotem, żeby prowadzić sprawę w Lago Agrio, jest uciążliwe dla wszystkich. Niepraktyczne.

Lecz oto również adwokatka z Quito, która miała przejąć sprawę, zapada na zdrowiu. („Jej organizm nie wytrzymał ciągłych podróży na trasie Quito – Lago Agrio – Quito, zmian wysokości i klimatu, być może również presji...”).

– Przyszła do mnie delegacja mieszkańców i powiedzieli: „Bądź naszym reprezentantem w sądzie”.

Pablo opowiadał tę historię wiele razy, lecz chyba dlatego, że ten fragment zawiera część jego credo, nadal powraca do niej z przejęciem. Jakby opowiadał po raz pierwszy.

– Poprosiłem o miesiąc do namysłu. Dali mi trzy dni.

Boi się. Dopiero co skończył korespondencyjne studia prawnicze. Ma wprowadzić pomocników w Quito, ma za sobą Wielkiego Steve’a (to jedna z najważniejszych postaci tej historii – jeszcze o nim opowiem), ale w sądzie będzie zdany na siebie. Wie, że brakuje mu doświadczenia, a w trakcie rozprawy, pod presją, łatwo o błąd niosący skutki dla trzydziestu tysięcy współziomków, którzy podpisali pozew przeciwko koncernowi. Wie też, że będzie miał vis-à-vis prawników Chevronu, każdego z dwudziesto-, trzydziestoletnim doświadczeniem, dziesiątki ekspertów i ekspertyz, miliony dolarów.

Tak Pablo rozmawia w tamtych dniach sam ze sobą.

– Dlaczego się zdecydowałeś?

– Uznałem, że mam jedną przewagę nad prawnikami Chevronu: jestem stąd, spędziłem tu większą część życia, jestem świadkiem działalności Texaco w tym regionie. Wiele negatywnych skutków działalności koncernu dotknęło mnie i ludzi, których znam. Prawnicy Chevronu dopiero musieli się wszystkiego dowiedzieć. Ja wiem wszystko o tym, co się tu stało. Oni musieli pomyśleć sto razy, żeby wymyślić kłamstwa, jakimi odpowiedzą na moje świadectwo.

– Kieruję się w życiu pewną zasadą. Nigdy nie patrzę na innego człowieka z góry tylko dlatego, że jest biedny, stary albo niewykształcony. Taka postawa ma pewną zaletę: nie czuję się również gorszy od innych. Nie czuję się gorszy od prawników Chevronu, mimo że mają większe doświadczenie i potęgę finansową koncernu za sobą.

– Po zabójstwie brata zaangażowałem się w sprawę jeszcze bardziej.

Dalsze pogróżki, teraz telefoniczne.

„Oczyścimy wkrótce ziemię z takich jak ty” – Pablo słyszy w słuchawce. Po chwili

anonim się rozłącza.

Pogróżka nawiązuje wprost do zdarzeń, które rozgrywają się właśnie wokół procesu. Wobec Chevronu padają żądania, żeby sfinansował oczyszczenie zbiorników z odpadami naftowymi. Anonimowy telefon brzmi jak odpowiedź na to żądanie.

Pogróżki otrzymują też inni.

Luis Yanza, miejscowy lider i rzecznik poszkodowanych, odbiera anonimowe telefony i listy. Padają w nich wulgarne wyzwiska, krwawe opisy tego, co zrobią z nim, jego żoną i dziećmi.

Nieznani sprawcy włamują się w Quito do biura prawników pracujących na rzecz poszkodowanych. Kradną dokumentację i komputery.

Ktoś napada na Guadalupe de Heredię, rzeczniczkę zespołu. Pewnego dnia, gdy jechała samochodem górską szosą, do jej auta zbliżył się wan z zaciemnionymi oknami, bez rejestracji, i próbował zepchnąć ją z drogi. Zamachowiec zrezygnował, gdy pojawiły się inne auta. Prawniczka i towarzysząca jej córka przeżyły szok.

Innym razem nieznani sprawcy mylą Heredię z jej przyjaciółką i dokonują napaści przed domem. Przyjaciółka zostaje brutalnie pobita. Agresorzy uciekają nieoznakowanym wanem, nie wiadomo, czy tym samym, który próbował zepchnąć Heredię z górskiej szosy.

Proces

Proces taki jak ten w Ekwadorze prowadzi jeden sędzia. Obsada podlega rotacji, co oznacza, że sędziowie zmieniają się co dwa lata. Nie ma ławy przysięgłych, jak w Stanach Zjednoczonych, wyrok wydaje jeden człowiek. Ważniejsze są dokumenty niż zeznania świadków i popisy oratorskie prawników, które w Stanach nadają procesom teatralności, charakteru telewizyjnego show. Niemniej tak bezprecedensowy proces musi stać się spektaklem, szczególnie wtedy, gdy część rozprawy odbywa się poza salą sądową. Najbardziej widowiskowe są inspekcje w terenie.

Texaco zostawiło po sobie trzysta siedemdziesiąt pięć ropodajnych studni, osiemnaście stacji separacyjnych i około dziewięciuset zbiorników z odpadami na wolnym powietrzu. Każda ze stron ma prawo wybrać miejsca inspekcji w taki sposób, by dowieść swoich racji. Poszkodowani wybierają ponad osiemdziesiąt, eksperci i prawnicy koncernu naftowego – trzydzieści sześć. W każdym wskazanym miejscu obecni są sędzia, adwokaci obu stron, eksperci. Ale nie tylko.

Inspekcje mają charakter publiczny. Na każdą z nich ciągnie spora grupa mieszkańców, czasem wręcz tłum, głównie poszkodowanych. Zgromadzeniu asystują policjanci. Przybywają kamerzyści telewizyjni, reporterzy z prasy i radia. Są też zwykli gapie.

Wielki, odległy świat, i ten z Quito, i ten z Nowego Jorku, przygląda się wydarzeniom w Lago Agrio.

Od początku temperatura jest wysoka, nie tylko dlatego, że to Amazonia. Pierwsza inspekcja zostaje nagle odwołana, bo oto gruchnęła wieść, że w jej trakcie Kofani zamierzają porwać prawników koncernu. Źródłem pogłoski są stacjonujący w regionie wojskowi. Dla znających lokalne realia plotka brzmi nedorzecznie. Kofani nie są ludem wojowników, jak na przykład Huaorani. To jedna z najbardziej pokojowych wspólnot autochtonicznych Amazonii, nieliczna, żyjąca w rozproszonych osadach wzdłuż rzeki Aguarico. W opinii miejscowych, którzy po latach opowiadają o rzekomym planie porwania z mieszaniną śmiechu i kpiny, wojskowi odegrali rolę kukiełek w cyrku nafciarzy. Nigdy nie przedstawili nawet poszlak, nie mówiąc o dowodach, że istniał plan porwania.

Poszkodowani nie mają wątpliwości, że chodziło o przewlekanie procesu.

Rok później major Arturo Velasco, który podpisał raport o rzekomym planie porwania,

wyjawił, że na dzień przed inspekcją przyszedł do niego przedstawiciel koncernu z ochroniarzem i poinformował, że ma wiadomość o planie porwania ludzi jego firmy. Ów oficiel nie był zainteresowany wzmocnieniem ochrony w trakcie inspekcji, ale stanowczo domagał się przesłania do sądu, do szóstej po południu tego samego dnia, ostrzeżenia o zagrożeniu czyhającym na inspektorów. Gdy major Velasco – według jego własnych zeznań – opierał się, usłyszał, że „mogą być kłopoty”. Wziął to do siebie. Uległ.

Przełożeni majora otwarcie sprzyjali nafciarzom. Prawnicy, doradcy, menadżerowie koncernu mieszkali w czasie procesu nie w miejscowych hotelach, lecz na terenie bazy wojskowej, w specjalnie wybudowanej przez firmę willi, którą mieli w przyszłości ofiarować oficerom na lokum wypoczynkowe.

Prawnicy koncernu, mówi Pablo, nagminnie stosowali strategię przewlekania procesu. – Chcieli nas zrujnować finansowo – dodaje. Zresztą wydatki koncernu na prawników to niewielki procent potencjalnego odszkodowania do zapłaty.

Jeden z doradców Pabla oszacował, ile koncern zyskiwał na przeciąganiu sprawy. Jeśli, na przykład, odszkodowanie wyniosłoby dziesięć miliardów dolarów, to na lokacie bankowej takiej sumy koncern mógłby zarobić, powiedzmy, około pięciuset milionów rocznie. Jeśli proces trwałby cztery lata, na przewlekaniu dałoby się zarobić nawet dwa miliardy, a jeśli osiem lat – cztery. Honoraria prawników, ekspertów to jakieś kilkadziesiąt milionów. Między zapadnięciem wyroku a jego egzekucją znowu upłynie trochę czasu.

Gra naprawdę warta zwłoki.

Sądowy dramat w amazońskiej scenerii za każdym razem wygląda podobnie. Tłum ludzi, kamery, flesze, reporterzy, policjanci, oczywiście sędzia, adwokaci stron i eksperci.

Pablo w kremowej koszuli i słomkowym sombrero. Mówi podniesionym głosem, pospiesznie, kipi z gniewu, niemal krzyczy, jakby chciał przekonać do swoich racji cały świat. Gestykuluje.

Adwokat reprezentujący koncern, Adolfo Callejas – około sześćdziesiątki, zielona sportowa koszula, druciane okulary, też słomkowe sombrero – jest przeciwieństwem Pabla. Mówi powoli, ze spokojem, jakby chodziło o formalność. Jakby miał wygraną w kieszeni. Pewny siebie, ale bez arogancji, bez agresji, nawet z nutą dostojeństwa.

Kamera amerykańskiego dokumentalisty uchwyciła taką oto potyczkę słowną w trakcie jednej z inspekcji (wszystko zgodnie z procedurą, w obecności sędziego i ekspertów):

– Wysoki Sądzie – mówi mecenas Callejas. – Mamy tu do czynienia z czymś zupełnie normalnym, gdy idzie o firmy naftowe, a co zostało zdemonizowane przez stronę

pozywającą. Technologie, jakie stosowano tu i nadal stosuje się przy wydobywaniu ropy, są znane na całym świecie.

– To całkowite kłamstwo, Wysoki Sądzie – odpowiada Pablo (*mówi szybko, nerwowo, niemal połyka słowa*). – Próbują oszukać opinię i sąd, robią wszystko, byśmy uwierzyli, że takie praktyki są powszechną normą. Ponad miliard galonów toksycznej wody wpuszczono do strumieni i rzek. Ludzie żądają całkowitego oczyszczenia miejsc zatrutych przez Texaco.

Callejas (*dostojnie*): – Tu nie chodzi, Wysoki Sądzie, o oczyszczenie środowiska, ani o lepszą jakość życia. Tu chodzi o dwa czeki. Jeden dla Frontu Obrony Amazonii, a drugi na wydatki procesowe, to znaczy na prawników.

Kolejna inspekcja, teraz przy stacji separacyjnej w miejscowości Guanta. Kolejny pojedynek na słowa.

Pablo trzyma w ręku mapę skażonego terenu. Pokazuje, jak Texaco krok po kroku zajmowało ziemie autochtonów.

– Historycznie rzecz ujmując, Wysoki Sądzie, lud Kofanów został w tym regionie najbardziej poszkodowany. Obszar ten (*pokazuje na mapie*), podobnie jak inne, które odwiedziliśmy podczas poprzednich inspekcji, był pradawną ziemią tego ludu. Co zdarzyło się potem? Wraz z wejściem koncernu Texaco, lud Kofanów musiał wycofać się, opuścić swoją ziemię, ponieważ osiedla, woda i żywność zostały zatrute. Można tutaj zaobserwować, podobnie jak przy stacji Sacha Sur, że standardową praktyką Texaco było odprowadzanie wody poprodukcyjnej i toksycznych odpadów do środowiska, do rzek. Wylewano je prosto do strumienia, który wpada do rzeki Pisurie, przepływającej przez terytorium wspólnoty Kofanów w Dureno, a następnie uchodzi do rzeki Aguarico, przepływającej przez terytoria innych wspólnot autochtonów.

Adolfo Callejas (*po chwili milczenia i nieco teatralnego suspensu*): – Przede wszystkim region ten jest w sensie prawnym i logicznym obszarem działalności przemysłu naftowego. Na tym terytorium w ogóle nie powinni mieszkać ludzie! Przeprowadzono tu w latach sześćdziesiątych odwierty, ponieważ rząd Ekwadoru podjął decyzję o poszukiwaniu tutaj i wydobywaniu ropy. To nie była decyzja Texaco, lecz suwerennego państwa ekwadorskiego, które reprezentuje wszystkich Ekwadorczyków, a nie tylko nielicznych.

Częścią wojny na dane i cyfry jest podważanie ekspertyz przeciwnika.

Pablo i jego zespół zarzucają ekspertyzom koncernu, że ich próbki ziemi i wody z premedytacją pobrano z najmniej skażonych rejonów.

Adwokaci Chevronu uderzają z kolei z innej, niespodziewanej strony. Domagają się od sądu w Quito – innego niż ten, który prowadzi sprawę w Lago Agrio – żeby zarządził kontrolę w laboratoriach, w których badane są próbki ziemi i wody przedstawiane na procesie przez prawników poszkodowanych. Pablo i jego zespół widzą w tym kolejną próbę wywarcia nacisku na sąd.

Doradca Pabla ze Stanów, Wielki Steve, wpada na ekstrawagancki pomysł. Wkracza do biura sędziego w Quito i – w obecności kamer telewizyjnych – prosi o rozwagę w podejmowaniu decyzji. Ostrzega przed próbami nacisków ze strony koncernu. Do adwokata nacierzy Wielki Steve wykrzykuje: „Jest pan skorumpowanym adwokatem Texaco!”. Sędzia staje w kłopotliwej sytuacji. Jeśli nakaże kontrolę w laboratoriach, będzie podejrzany o korupcję, w najlepszym razie o uleganie naciskom potężnego przedsiębiorstwa. Woli zachować twarz.

Kolejna scena z inspekcji w jednej z wiosek: eksperci wydobywają próbki ziemi z głębokości półtora–dwóch metrów (dokładnie tak samo, jak robił to Donald podczas mojej *toxic-tour*). Wyciągnięta z głębin ziemia jest przesycona czarną mazią, która wygląda jak smoła.

Pablo zwraca się do sędziego, tłum mieszkańców słucha.

– Wysoki Sądzie, tak jak mówiłem wcześniej, takie substancje toksyczne w ziemi można w tym rejonie napotkać wszędzie. Powiem więcej: obecności ropy nie widać na powierzchni. Została pogrzebana, była zakopywana przez dziesięciolecia i dalej przenika do strumienia, który przepływa dziesięć metrów stąd i zatruwa mieszkających tu ludzi. W konsekwencji dziesiątki mężczyzn i kobiet cierpią na raka i umierają, a oskarżeni nie chcą uznać tych substancji za toksyczne ani tego, że przez nie umierają ludzie.

Callejas replikuje:

– Właśnie byliśmy świadkami dramatycznego wystąpienia, w którym założono, że znaleziona substancja to ropa i że ma ona stempel Texaco. Ale ja nie zauważyłem tutaj żadnej marki. Oby wynaleziono kiedyś naukowe metody, które pozwolą ustalić, w jakim dokładnie okresie substancje te tutaj zgromadzono. Według ekspertów, z którymi rozmawiałem, dzisiejsze metody nie pozwalają ustalić daty. A zatem Wysoki Sądzie, wszystko to jest nieprawdą! Nie można zakładać, że skoro Texaco zbudowało tu stację produkcyjną, powinno już na wieki wieków odpowiadać za wszystko. A co z piętnastoletnim okresem działalności firmy Petroecuador?

Do dyskusji włącza się drugi adwokat koncernu, Diego Larrea.

– Od kiedy Petroecuador przejął instalacje Texaco, doszło do jedenastu wycieków. Mamy tu, Wysoki Sądzie, dokumenty tej firmy, których nie można ignorować (*Larrea*

pokazuje te dokumenty, wymachuje nimi). Wycieki, ogromne wycieki, które zanieczyściły te same rzeki! Prosimy o sprawiedliwość, o tę samą sprawiedliwość, o którą proszą mieszkańcy. Z całym szacunkiem dla Pabla Fajarda czy każdego innego adwokata pozywających: nie ma podstaw, żeby uczciwie twierdzić, że Texaco odpowiada za te wycieki!

Pablo nie ustępuje.

– Ludzie żądają całkowitego usunięcia zanieczyszczeń spowodowanych przez Texaco.

Callejas: – Wysoki Sądzie, wszystko, co powiedział mecenas Fajardo o Texaco, powinno się odnosić do całego konsorcjum Petroecuador-*Texaco*, ponieważ to ono eksploatowało to terytorium, a nie samo *Texaco*.

Pablo: – Ta stacja została zbudowana całkowicie przez *Texaco*, zanim powstało konsorcjum. To znaczy, że całkowitą odpowiedzialność za dewastację środowiska ponosi ten, kto zaprojektował, wybudował i rozpoczął wydobywanie ropy^[21].

Callejas: – Wysoki Sądzie, wyraziliśmy już niepokój z powodu łatwości, z jaką rzuca się tu oskarżenia, cyfry, nazwy, a jednocześnie niczego nie dowodzi.

Pablo: – Dzisiaj *Texaco* przedstawia siebie jako ofiarę. Tymczasem prawdziwymi ofiarami, Wysoki Sądzie, są setki kobiet i mężczyzn umierających na raka.

Po tej inspekcji Pablo rozmawia z miejscowymi. Mówi, że *Petroecuador* również wyrządził wiele szkód i tak jak *Texaco* powinien odpowiedzieć przed sądem. Zapowiada złożenie w przyszłości pozwu przeciwko ekwadorskiej firmie. Ludzie kiwają z aprobatą:

– Każdy niech odpowiada za swoje, najpierw niech odpowie *Texaco*. Chcą powiedzieć, że wszystkiemu winien *Petroecuador* i uwolnić się od odpowiedzialności. Nie pozwolimy na to.

W wyniku inspekcji dziewięćdziesięciu trzech skażonych miejsc w próbkach ziemi i wody wykryto piętnaście pierwiastków i związków chemicznych, których poziom przekraczał limity uznane za obojętne dla zdrowia. Bar, benzen, kadm, miedź, chrom, metylobenzen, etylobenzen, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, węglowodory ropopochodne, rtęć, naftalina, nikiel, ołów, stal chromowo-wanadowa, cynk. Każdy z tych pierwiastków i związków może mieć szkodliwy – i każdy nieco inny – wpływ na zdrowie, niektóre są rakotwórcze^[22].

Na przykład zwiększony poziom węglowodorów ropopochodnych (TPH) wykryto w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach miejsc poddanych inspekcjom. W niektórych poziom TPH przekraczał ekwadorskie normy dziesięciokrotnie, w innych – stukrotnie.

Nawet eksperci *Chevronu* przyznali, że poziom TPH w większości miejsc przekracza normy, choć – w ich opinii – przekroczenia są dużo mniejsze, niż twierdzą eksperci

poszkodowanych. Z danych zaprezentowanych przez ekspertów Chevronu wynika, że w dziewięćdziesięciu jeden procentach miejsc poddanych inspekcjom poziom TPH przekracza normy dopuszczalne w USA, a w siedemdziesięciu dziewięciu przekracza normy ekwadorskie. W niemal połowie miejsc, z których pobrano próbki, poziom TPH był pięciokrotnie wyższy, niż dopuszczają lokalne limity, i pięćdziesięciokrotnie wyższy od limitów obowiązujących w USA.

Kwestia próbek wybuchnie jeszcze raz – po wyroku sądu – niczym niezabezpieczony niewypał, który pozostawiono na dawnym polu walki i o nim zapomniano.

[21] Po powstaniu konsorcjum Texaco nadal odpowiadało za instalacje produkcyjne i wydobywanie ropy.

[22] Według United States Agency for Toxic Substances and Disease Registry.

Wykręty i przekręty

Szefostwo Texaco, jeszcze zanim firma została połknięta przez Chevrona, musiało mieć pełną świadomość, że dokonało spustoszeń w ekwadorskiej Amazonii. Spór sądowy dotyczy nie tego, czy dokonano zniszczeń, lecz czy zatruwając środowisko, koncern łamał prawo, a jeśli tak, to w jakim stopniu. Także czy szefostwo koncernu działało ze złą wolą, choć tu odpowiedź wydaje się jasna. Jakżeż potraktować karmienie miejscowej, niewykształconej ludności śmiertelnym w skutkach kłamstwem, że ropa leczy niektóre schorzenia i ma pozytywny wpływ na zdrowie ludzi?

Texaco ignorowało standardy obowiązujące w tamtym czasie w Stanach Zjednoczonych. Nawet jeśli koncern nie łamał w jakimś okresie bądź jakimś aspekcie lokalnego prawa, szefostwo firmy musiało zdawać sobie sprawę, że cenę za eksploatację ropy zapłacą miejscowi oraz środowisko naturalne.

Pośrednim przyznaniem się zarządu koncernu do dewastacji jest zgoda na przeprowadzenie oczyszczenia zbiorników z odpadami poprodukcyjnymi. Stało się to krótko po wygaśnięciu licencji Texaco na wydobycie ropy w Ekwadorze. Koncern oczyścił zbiorniki, ale wybiórczo, na arbitralnie podyktowanych warunkach. Nie oczyszczono rzek, strumieni i ziemi, ani nie próbowano doprowadzić ich do stanu względnie przypominającego ten sprzed eksploatacji ropy.

Szefowie Texaco zgodzili się oczyścić trzydzieści siedem i pół procent zbiorników, ponieważ taką część konsorcjum, wspólnego z firmą Petroecuador, stanowiło w tamtym czasie Texaco. Decyzja pomija dwie okoliczności: po pierwsze, że przez pierwsze lata wydobywania ropy konsorcjum nie istniało, Texaco działało samodzielnie, a po drugie, że nawet po powstaniu konsorcjum, zgodnie z obowiązującymi regulacjami i normami, odpowiedzialność za dewastację ponosi wykonawca eksploatacji i zarządca instalacji. Texaco.

Koncern ustalił, że oczyści zbiorniki z odpadami do poziomu obecności ropy w ziemi, który przekraczał pięciokrotnie ówczesne normy ekwadorskie i pięćdziesięciokrotnie obowiązujące w Stanach Zjednoczonych. Oczyszczanie kosztowało Texaco, według kontraktu podpisanego z rządem Ekwadoru, czterdzieści milionów dolarów.

W czasie mojej *toxic-tour* Donald Moncayo pokazał kilka ogromnych zbiorników, według Texaco – oczyszczonych. Przynajmniej w kilku miejscach, które odwiedziłem, wielkie

toksyczne stawy były tylko zasypane ziemią. Poprodukcyjne odpady nadal zatrują glebę i podziemne zasoby wody. Stwierdził to zresztą wiele lat wcześniej audytor Texaco: „Ogólnie, wycieki węglowodorów i chemikaliów nie zostały oczyszczone. Zamiast tego zasypano je piaskiem”.

W dziewięćdziesiątym ósmym rząd Ekwadoru uznał, że Texaco wypełniło umowę i uwolnił koncern od wszelkich roszczeń w przyszłości.

Pablo od początku podejrzewał, że doszło do przekupstwa. Jak to bowiem możliwe – zastanawia się na głos – że rząd Ekwadoru zadowolił się, po pierwsze, tylko częściowym oczyszczeniem zbiorników, po drugie, oczyszczeniem według norm narzuconych przez Texaco, po trzecie, oczyszczeniem w niektórych przypadkach fikcyjnym? I dlaczego zamknął furtkę do innych roszczeń i rewizji, gdyby okazało się, że Texaco nie wywiązało się z tej ułomnej umowy?

(Blisko dekadę później kilku urzędników administracji rządowej postawiono w stan oskarżenia pod zarzutem korupcji. Po pewnym czasie sprawę umorzono).

Doprawdy, nie trzeba być ekspertem, żeby zobaczyć i poczuć, że część rzekomo oczyszczonych zbiorników wydziela odór, od którego po kilku, kilkunastu minutach boli głowa i człowiek czuje się lekko oszołomiony.

Od początku sporu Chevron podważał główną tezę poszkodowanych, że zatrucie środowiska miało i ma nadal niszczące skutki dla zdrowia mieszkańców. Według statystyk koncernu, odsetek zachorowań na raka jest tutaj najniższy w kraju.

„Przytłaczające dowody naukowe złożone w sądzie w Ekwadorze ukazują, że twierdzenia o zanieczyszczeniu wody i zwiększonej liczbie zachorowań na raka są fałszywe – i że zarówno amerykańscy, jak i ekwadorscy prawnicy poszkodowanych wiedzą o tym, że są fałszywe” – można przeczytać na piarowej stronie Chevronu „The Amazon Post”. Dane Stowarzyszenia Poszkodowanych ukazują coś zupełnie innego: liczba zachorowań dzieci na białaczkę jest trzykrotnie wyższa niż w innych częściach kraju, wszelkie rodzaje nowotworów u dorosłych występują dwa i pół raza częściej.

Eksperci poszkodowanych dowodzą, że węglowodory i poprodukcyjne toksyny w wodzie pitnej występują w ilościach szkodliwych dla zdrowia. Chevron przedstawia inne badania, które wykazują, że woda w okolicznych studniach i strumieniach jest zdatna do picia.

(Donald komentuje zdroworozsądkowo: – Niech się napiją tej wody – i pokazuje na tęczę unoszącą się na powierzchni strumienia).

W filmie dokumentalnym *Crude* Joego Berlingera ekspertka naukowa Chevronu do spraw środowiska naturalnego Sara McMillan tak przedstawia stanowisko firmy:

– Chevron traktuje tego rodzaju podejrzenia o szkodliwości dla zdrowia i środowiska bardzo poważnie. Jedną z moich funkcji jest zbadanie oskarżeń i podejrzeń dotyczących

kwestii zdrowia. Zatrudniliśmy epidemiologów, niezależnych i naszych, specjalistów od zagrożeń dla zdrowia, żeby przeanalizowali dane. Ustaliliśmy, że nie ma absolutnie żadnych dowodów na wzrost śmiertelności z powodu nowotworów. To prawda, że tam jest wielu chorych ludzi, to bardzo biedny region. Nie ma jednak dowodów na wzrost zachorowań na raka i nie ma dowodów na to, że zachorowania mają związek z produkcją ropy.

– Jeśli chodzi o to, czy z tych zbiorników z toksycznymi odpadami wypływa woda, która wyrządza szkody środowisku, to przebadaliśmy każdy strumień w czasie każdej z inspekcji i okazało się, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent próbek spełnia normy wody pitnej, jakie obowiązują w Stanach Zjednoczonych i WTO^[23]. Nie wykryliśmy w tej wodzie koncentracji ciężkich metali ani węglowodorów, które byłyby niebezpieczne dla zdrowia czy środowiska.

– Wiemy, że wypryski na skórze są problemem w tym regionie. Uważamy, że powodem tego jest brak kanalizacji i oczyszczania odchodów. W wodzie znajduje się ogromna ilość bakterii fekalnych. To nie jest woda zdatna do picia ani kąpieli. W ogromnej części choroby skóry nie mają nic wspólnego z ropą, lecz ze złymi warunkami sanitarnymi.

– W USA zwykliśmy mówić: „Ile zanieczyszczeń jesteś w stanie oczyścić?”. Dzisiaj pytamy: „Ile zanieczyszczeń należałoby oczyścić, żeby było bezpiecznie dla zdrowia ludzi?”. Opinia publiczna musi określić, czy widzi coś w środowisku naturalnym, co zagraża zdrowiu. Ludzie są na co dzień narażeni na działanie węglowodorów, asfalt na drogach tuż za naszym oknem jest wykonany z węglowodorów, w tym ropy; na stacjach benzynowych, gdzie nalewamy paliwo do naszych samochodów... To nie znaczy, że te węglowodory wywołują u ludzi choroby.

Słuchając Sary McMillan, słuchacz i widz, który nie widział zatrutych stawów w środku selwy, naftowej tęczy na powierzchni rzek i strumieni, skażonej czarną mazią ziemi na głębokości dwóch metrów i nie ma eksperckiej wiedzy ani dostępu do badań, może mieć wątpliwości, kto tu ma rację. Albo zastanawiać się, czy przypadkiem poszkodowani nie przypisują koncernowi win za grzechy popełnione i niepopełnione, czy nie grzeszą ignorancją oraz „rozszerzającą” interpretacją skutków zanieczyszczenia środowiska.

[23] World Trade Organization; Światowa Organizacja Handlu.

Proces – ciąg dalszy

Inspekcje, a wraz z nimi proces, wloką się w nieskończoność. Pablo za radą ludzi ze swojego zespołu rezygnuje z dalszego sprawdzania kilkudziesięciu zanieczyszczonych miejsc. Argumentuje, że wyniki badań skażonej ziemi i wody powtarzają się; kolejne nie wnoszą wiele nowego, nie ma sensu przedłużać procesu.

Mecenas Callejas protestuje: skoro adwokaci drugiej strony wskazali tyle miejsc do zbadania, niech trzymają się pierwotnego wniosku. Callejas wie, że dla jego pracodawcy im dłużej, tym lepiej.

Sędzia podziela argumentację poszkodowanych. I tak ma ręce, a właściwie oczy, pełne roboty. Tak, tak – oczy. Ma do przeczytania tysiące stron raportów, analiz, badań. Skreśla z listy część planowanych inspekcji.

Co jednak zrobić wobec sprzeczności ekspertyz, dostarczanych przez każdą ze stron? Trzeba wybrać niezależnego eksperta, który przeprowadzi badania skażonej ziemi i wody, a następnie wyda opinię o skali skażeń środowiska oraz przedstawi zalecenia dla sądu. Pablo i Callejas proponują kandydatury, każdy inne. Konieczna jest zgoda, ale zwycięża – co oczywiste – impas. Decyzję musi podjąć sędzia.

Wybór pada na inżyniera geologa Richarda Cabrerę. Pablo jest spokojny o wyniki, wie, że skażenia wielokrotnie przekraczają dopuszczalne normy. Za to prawnicy koncernu mają się czym martwić. W czasie jednej z inspekcji Cabrery adwokat Chevronu Diego Larrea – co widać w filmie dokumentalnym *Crude* – próbuje wpłynąć na geologa. Sugeruje inne miejsce pobrania próbek ziemi do badań. Cabrera spokojnie słucha, dziękuje za uwagi i odpowiada, że będzie pracował według własnych kryteriów.

Raport Cabrery, liczący około czterech tysięcy stron, dostarczony sądowi w listopadzie dwa tysiące ósmego w kilku kartonowych pudłach, w świetle fleszy i w obecności kamer, niszczy reputację koncernu. Cabrera szacuje, że naprawienie szkód będzie kosztowało dwadzieścia siedem miliardów dolarów, i zaleca sądowi ustalenie takiej właśnie grzywny.

Adwokaci Chevronu natychmiast zarzucają Cabrerze niekompetencję i sympatyzowanie z autorami pozwu. Oskarżają: wyniki analiz zostały sfabrykowane, a zespół Pabla Fajarda był faktycznym autorem-duchem raportu Cabrery. Sugerują, że zapłacono łapówkę Cabrerze i jednemu z urzędników administracji sądowej.

Pablo i jego drużyna są przygotowani na atak. Batalia z koncernem toczy się nie tylko

w sądzie, lecz również w przestrzeni publicznej, w telewizji, gazetach, internecie. Wstępne rezultaty raportu Cabrery Wielki Steve oddaje do oceny dużej firmie konsultingowej Stratus ze stanu Colorado w USA. Firma specjalizuje się w ekspertyzach dotyczących środowiska naturalnego i niejednokrotnie otrzymywała zamówienia od rządu Stanów Zjednoczonych. Stratus wydaje pozytywną opinię o raporcie Cabrery. Potwierdza, że metody zastosowane przez ekwadorskiego geologa są normą w innych tego rodzaju badaniach.

Szefowie Chevronu, którzy liczyli, że instytucje państwowe w Ekwadorze zadziałają tak jak zawsze do tej pory, to znaczy na korzyść koncernu, zaczynają żałować, że ich poprzednicy z Texaco zaciekle walczyli o przeniesienie procesu z Nowego Jorku do Lago Agrio.

Utrącić sędziego

W biurze zespołu Pabla Fajarda w Quito jest osobny pokój, w którym na półkach, od podłogi niemal po sufit, zalegają opasłe segregatory z dokumentami. W sumie ponad dwieście tysięcy stron.

– To jedna ze strategii Chevronu: zalać sąd tonami papierów, dokumentów, opinii, ekspertyz – mówi Pablo.

W każdej najdrobniejszej sprawie Chevron produkował kilkunasto-, kilkudziesięciostronicowe pisma do sądu, zapytania, polemiki, często pozbawione merytorycznego sensu. Na każde takie pismo należy odpowiedzieć – i to bez zwłoki, bo inaczej oskarżają sędziego o stronniczość.

Każdy sędzia zajmujący się sprawą – a sędziowie zmieniają się co dwa lata – musi zacząć pracę od przeczytania owych tysięcy stron. Sędzia w Lago Agrio jest sam, nie ma zespołu, nawet jednego asystenta, któremu mógłby powierzyć choćby częściowo lekturę i polegać na streszczeniach. Nie ma też człowieka, któremu mógłby zlecić odpisywanie na kolejne pisma produkowane przez zespół prawników Chevronu. Przynajmniej teoretycznie nie powinien wydać wyroku bez znajomości całej tej dokumentacji.

Gdy dzwonię do jednego z byłych sędziów, Juana Nuñeza, przeprosza kilka razy, że naprawdę nie może się spotkać, a właściwie prosi uprzejmie, bym nie nalegał. Rozumie, że przyjechałem z daleka, śle wyrazy szacunku, ale nie. Jego głos jest zmęczony, pozbawiony energii.

– Chciałbym zapomnieć o całej tej sprawie – mówi.

Nie musiałem długo rozpytywać, żeby dowiedzieć się, dlaczego sędzia Núñez pragnie zapomnieć.

W dwa tysiące dziewiątym Chevron opublikował w internecie cztery nagrania wideo zrobione z kamer ukrytych w zegarku i długopisie szpiegowskim. Na dwóch z nich ekwadorski przedsiębiorca Diego Borja, autor nagrań, rozmawia z – jak się dowiadujemy – członkiem partii rządzącej Alianza Pais. Ów Borja liczy na kontrakty rządowe na oczyszczanie zatrutych toksycznymi substancjami terenów Amazonii, o ile tylko sąd w Lago Agrio nałoży na Chevron wysokie odszkodowanie. Z rozmowy daje się wyczytać sugestia, że aby dostać taki kontrakt, trzeba zapłacić łapówki; jedną z nich sędziemu

Nuñezowi.

Na dwóch innych nagraniach, każde po około trzydzieści minut, Borja w towarzystwie Wayne'a Hansena, który przedstawia się jako amerykański przedsiębiorca, rozmawiają z sędzią Nuñezem. Nie pada sugestia, że chodzi o propozycję korupcyjną. Rozmówcy uporczywie dopytują sędziego, kiedy zapadnie wyrok, jaka kwota odszkodowania może wchodzić w grę, kto dostanie pieniądze z odszkodowania, jak zostaną podzielone i kto o tym zadecyduje. Biznesmanów interesują kontrakty rządowe na oczyszczanie terenów zatrutych odpadami toksycznymi. Dowiadują się od sędziego, że to nie jego gestia, o tym zadecyduje rząd. Bezskutecznie próbują dowiedzieć się zawczasu, jaki będzie wyrok. Gdy Hansen sugeruje sędziemu, że Chevron jest winny i domaga się potwierdzenia, sędzia Nuñez odpowiada: „O tym się pan dopiero przekonaj. Chcecie się dowiedzieć, czy będzie winny, czy nie. Mówię wam, że nie mogę tego powiedzieć. Jestem sędzią i ogłoszę to w orzeczeniu, nie teraz [...]. Nie przyszedłem tutaj powiedzieć wam, jaki będzie wyrok...”.

Gdy sędzia Nuñez kończy spotkanie i zbiera się do wyjścia, jeden z mężczyzn (z nagrania jasno nie wynika który) rzuca ponownie: „Chevron jest winny”, po czym słychać słowa sędziego Nuñeza: „*Si, señor*”. Nie jest jasne, czy to odpowiedź na pytanie, czy próba zakończenia spotkania, czy może słowa wypowiedziane do kogoś innego. (Do takiej samej konkluzji dochodzą po wysłuchaniu nagrań reporterzy „New York Timesa”, „Los Angeles Timesa” i „Financial Timesa”). Nagrania są pełne szumów, zanikania głosu, częściowo niewyraźne.

Opublikowaniu nagrań w internecie towarzyszy kampania oczerniająca sędziego Nuñeza. Chevron składa doniesienie do prokuratury o tym, że doszło do nieprawidłowości w procesie w Lago Agrio. Domaga się anulowania wszystkiego, co ustalono w okresie, w którym sądowi przewodniczył Nuñez.

Sędzia zapewnia publicznie, że jest niewinny i że nie składano mu propozycji korupcyjnej. Nie wytrzymuje jednak presji, oszczerstw, plotek i składa dymisję.

Dopiero po pewnym czasie udaje się ustalić, że rzekomy członek partii rządzącej z nagrania nie figuruje w żadnych rejestrach partyjnych. Okazuje się sprzedawcą samochodów w Quito, który dorywczo zajmuje się także cateringiem.

Z kolei Borja, autor nagrań, to... partner biznesowy Chevronu.

Teraz zespół Pabla przypuścił kontratak: to Chevron, widząc, że sędzia Nuñez nie jest uległy wobec koncernu i działa według własnych kryteriów, wysłał Borję i Hansena z ukrytymi kamerami, żeby sprowokować sędziego do niewłaściwego zachowania.

Chevron zaprzeczył. Prawnicy firmy przyznali, że Borja wykonywał kiedyś usługi dla koncernu, ale to przeszłość. Główny prawnik Chevronu, Charles James, mówił „New York Timesowi”: „Chciałbym wierzyć, że [Borja] przyniósł nam [nagrania wideo] z szacunku dla

naszej firmy i z obawy o to, co się może wydarzyć...”.

Zespół Pabla ustalił, że Borja robił interesy z Chevronem od roku dwa tysiące trzeciego, a także w trakcie dokonywania potajemnych nagrań i jeszcze potem. Nadzorował między innymi prace laboratoryjne nad próbkami. W sierpniu, czyli trzy miesiące po nagraniu, firma Borjy, Interintelg, wystawiła Chevronowi rachunek za usługi świadczone w tymże miesiącu. Okazało się również, że jego firma w Quito mieściła się w tym samym budynku, w którym znajdowały się biuro prawników Chevronu i laboratoria badające próbki na użytek procesu w Lago Agrio. W laboratorium pracowała żona Borjy, Sara Portilla.

To nie był koniec rewelacji. Tuż przed czwartym, ostatnim nagraniem Borja poleciał do San Francisco na spotkanie z wysokimi przedstawicielami Chevronu. Jego treść nie jest znana, co budzi oczywiście mnóstwo domysłów.

Dwa dni po ostatnim nagraniu Borja z żoną wyjechali do Stanów Zjednoczonych i osiedli w miasteczku San Ramon w Kalifornii. Tam znajduje się główna kwatera Chevronu. (Borja przeniósł się potem do Houston w Teksasie).

Prawnicy koncernu twierdzili publicznie i przed sądem w Lago Agrio, że za dostarczenie zrobionych z ukrycia nagrań Borja nie dostał żadnego wynagrodzenia. Gdy nie dało się ukryć, że jakieś pieniądze Borja od koncernu jednak dostał, twierdzili, że był to rodzaj „stypendium” i pomocy o charakterze „humanitarnym”. Pomoc ta obejmowała między innymi następujące apanaże: stypendium miesięczne, wahające się od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów, wynajem mieszkania, zakup sprzętu domowego (meble, sprzęt AGD), bilety lotnicze pierwszej klasy, telefon komórkowy, opłacenie podatków Borjy i jego żony, opłacenie prawników w sprawach imigracyjnych i podatkowych.

Według samego Borjy, do jesieni dwa tysiące dziesiątego Chevron wydał na niego – plus minus – ponad dwa miliony dolarów. Zatrudnił również jego żonę, niegdyś laborantkę w Quito.

(„Nie dajemy i nie bierzemy łapówek. Jesteśmy światowym liderem, którego słowa pozostają w zgodzie z działaniami...” – przypomina się folder piarowy koncernu).

Powody hojności Chevronu ujawniają taśmy i zeznania bliskiego przyjaciela Borjy, Santiaga Escobara. Gdy zrobiło się głośno o sprawie, Escobar skontaktował się z zespołem Pabla Fajarda. Ujawnił, że wiele razy rozmawiał z Borją o sprawie. Potwierdził, że sędzia Núñez jest niewinny, a Borja próbował zastawić na niego pułapkę. „Prowadził operację dla Chevronu” – zeznał pod przysięgą Escobar, a celem było „wywrócenie” całego procesu.

Dlaczego wierzyć tym zeznaniom? Bo niektóre rozmowy prowadzone z Borją na Skypie Escobar nagrał. W jednej z nich Borja mówi, że jeśli on i jego żona nie dostaną od Chevronu tego, czego żądają, to „przejdzie na drugą stronę”. Stwierdza, że Hansen –

drugi prowokator – wie niewiele, dlatego Chevron już mu nie płaci, za to on, Borja, wie bardzo dużo. Nagrania to, według słów Borjy, zaledwie trzydzieści procent tej wiedzy, ma jeszcze e-maile.

– Myślisz, że bez tego skoczyłbym do wody. Zabrałem wszystko, mam wszystko w moim iPhone, chłopie! – mówi Borja do Escobara.

– A te papiery gdzie są? – dopytuje Escobar. – Musisz mieć wszystko zakopane, stary.

– Oczywiście, że mam. I mam też jedną kopię w Ekwadorze w... I jedną tutaj. Mam korespondencję, gdzie są rzeczy, których nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić...

– Na przykład?

– Rzeczy, które mogą ich... Nie mogę tutaj o tym mówić, stary, obawiam się. Ale to są rzeczy, które mogą sprawić, że Amazończycy wygrają, ot tak! (*strzela palcami*)... Mam ostateczne dowody, zdjęcia, jak od środka administrowali sprawami...

Razem

Donald zabrał mnie na spotkanie wspólnoty mieszkańców Lago Agrio. Świetlica, *casa comunal*, w której odbywają się takie zebrania, znajduje się poza miejską częścią, na obrzeżach, ni to pole, ni to dżungla, trochę tego i trochę tego. Nie ma tu żadnego adresu. Żeby trafić, trzeba być stąd. Po co adres, wszyscy przecież wiedzą, gdzie jest *casa comunal*.

Świetlica wygląda jak gigantyczna szopa, tyle że w środku nie ma narzędzi, maszyn, lecz pusta przestrzeń, kilkadziesiąt plastikowych krzeseł, stolik „prezydialny”.

Jest upalna niedziela, ludzie schodzą się przez dobrą godzinę. Wolny dzień – zaleta, bo mają czas; ale i wada, bo każdy woli z rodziną, brzuchem do góry, no i rozgrywane są mecze piłkarskie miejscowej ligi.

Przyjeżdża doña Mariana Jiménez, od której usłyszałem jedną z pierwszych relacji o tym, jak eksploatacja złóż ropy zatruła życie mieszkańców. Doña Mariana przedstawia mnie sąsiadom i sąsiadkom. Ludzie wydają się wdzięczni, że ktoś z daleka interesuje się ich losem, mimo że większość z pewnością nie czyta gazet, a co starsi prawdopodobnie w ogóle nie czytają. Zbiera się w końcu dwadzieścia jeden osób, tyle trzeba do quorum (jedenastu mężczyzn i dziesięć kobiet), plus Donald i jako gość Luis Yanza, polityczny lider wszystkich wspólnot poszkodowanych przez koncern.

Po spotkaniu nikt nie oczekuje niczego przełomowego. To raczej sposób na integrację, podtrzymywanie nastroju, że jesteśmy razem, trochę obywatelska szkoła ludzi, którzy nie mieli przywileju edukacji i dopiero teraz – niezależnie od wieku – uczą się rozmawiać, formułować argumenty, wspólnie podejmować decyzje.

Do prezydium ludzie wybierają młodego chłopaka, José. Ma może dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Proponuje, żeby jako drugą osobę wybrać kobietę, bo „przecież jesteśmy za parytetami”. Donald popiera sugestię i dodaje, że „jesteśmy tu trochę zbyt maczystowscy i warto to zmienić”. Ludzie wybierają dońę Marianę. Ten demokratyczny, równościowy rytuał, niekoniecznie istotny dla prowadzenia akurat tego spotkania, tworzy nastrój wspólnoty, zmienia chemię zebrania. Nieco ospali na początku ludzie ożywiają się, wciągają do debaty, jak gdyby poczuli, że coś od nich zależy.

Dyskusja toczy się wokół pytań: o co walczymy? co jest sednem naszej zbiorowej walki? Luis Yanza tłumaczy, że pieniądze z odszkodowania nie są celem samym w sobie. Mają

posłużyć jako środek do oczyszczenia zdewastowanego środowiska, przede wszystkim źródeł wody. To są ogromne koszty i mnóstwo pracy wielu ludzi.

Nie wszyscy to rozumieją i na pewno nie w taki sposób. Niektóre wypowiedzi nie są klarowne. Odnoszę wrażenie, że część zebranych liczy na gotówkę, która pozwoli im zyskać środki na leczenie. Albo po prostu na codzienne wydatki. Luis Yanza potwierdza moje przypuszczenia. Powtarza: walczymy o odszkodowanie, żeby oczyścić środowisko, a to zmieni jakość naszego życia.

Po spotkaniu, gdy rozmawiamy, Luis przyznaje, że jeśli pojawiłyby się pieniądze z odszkodowania, z niektórymi mieszkańcami będzie kłopot. Będzie im trudno wytłumaczyć, że te pieniądze choć dla nich – bo to oni wystąpili z pozwem zbiorowym przeciwko koncernowi – nie będą gotówką, jaką dostaną do kieszeni. Ale tłumaczyć trzeba, choćby miało to trwać w nieskończoność.

Widząc, że wygrana w procesie nie jest pewna, koncern zaczął oskarżać poszkodowanych. W amerykańskich sądach złożył kilkanaście skarg zbiorowych przeciwko mieszkańcom Lago Agrio i okolic. Powołuje się w nich na federalny Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act, który służy do walki z przestępczością zorganizowaną. Według interpretacji, jaką zasugerowali prawnicy koncernu, mieszkańcy ekwadorskiej Amazonii utworzyli organizację przestępczą, której celem jest wymuszanie odszkodowania, a Chevron padł jej ofiarą.

Dla mieszkańców nie było to coś całkowicie nowego. Jeszcze na początku procesu liderzy wspólnot poszkodowanych, w tym Pablo Fajardo, Luis Yanza i inni, zostali oskarżeni o sabotaż i terroryzm. Prokurator z Shushufindi – mało kto tutaj wątpi, że pod presją nafciarzy – rozpoczął postępowanie pod takimi zarzutami, lecz nie odważył się (bądź nie zdążył?) wydać nakazów aresztowania.

Klimat polityczny w Ekwadorze zaczął się zmieniać. Dla poszkodowanych przez koncern zmiana była obietnicą, powiewem nadziei. Dla Chevronu – zapowiedzią kłopotów, ale i dobrą wymówką propagandową: wreszcie znalazło się wytłumaczenie, dlaczego sprawy idą nie po myśli szefów koncernu. Również mocnym argumentem w rozmowach z administracją w Waszyngtonie, którą ludzie koncernu będą namawiać do podjęcia kroków przeciwko małemu, nieposłusznemu krajowi.

Polityka

W styczniu dwa tysiące siódmego prezydentem Ekwadoru został Rafael Correa. Jeden z polityków ludowej, egalitarnej fali w Ameryce Łacińskiej – obok Hugona Chaveza, Evo Moralesa, małżeństwa Nestora i Cristiny Kirchnerów, Inacia Luiza da Silvy, zwanego Lula. Wyrósł na gruzach skompromitowanych korupcją i egoizmem tradycyjnych partii politycznych.

Ekwador był krajem rozdieranym przez grupy interesów, monopole i sitwy, które kasę państwową traktowały jako łatwy łup. Dyktatura wojskowa skończyła się tu dawno – w siedemdziesiątym ósmym – ale ludzie armii nadal kontrolowali całe gałęzie gospodarki: budownictwo, elektrownie wodne, przemysł odzieżowy, linie lotnicze. Wpływową grupą byli (i są nadal) bankierzy z drugiego największego miasta kraju – Guayaquil. Te grupy, sitwy i mafie negocjowały z państwem ustawy specjalne, służące wyłącznie ich interesom, których pilnowali ministrowie – przedstawiciele sitw w rządach. Na przykład minister zdrowia czuwał, by jego sitwa miała monopol na dostarczanie leków szpitalom.

Ekwadorski świat polityczny kręcił się według takich reguł. Partie były wyrazicielkami interesów poszczególnych grup, a nie idei i programów liberalnych, socjaldemokratycznych czy innych.

W takiej to mętnej wodzie ekwadorskiej polityki pływał przez ponad dwadzieścia lat koncern Texaco. Czy jego nabywca, Chevron, miał powody do obaw, skoro wszystko tu zawsze dawało się załatwić?

W latach dziewięćdziesiątych odsetek biednych w Ekwadorze rósł tak szybko, że pod koniec tamtej dekady do biedoty zaliczano dwie trzecie społeczeństwa. Coś takiego jak polityka społeczna nie istniało. Ludzie wyszli na ulice.

Seria buntów, na czele których stanęli autochtoni z różnych ludów zamieszkujących Ekwador, obaliła bezkrwawo sześć (!) kolejnych rządów. Dopiero Rafaela Corree zbuntowani uznali za swojego, pomimo – a może właśnie dlatego – że był człowiekiem trochę znikąd.

Correa nie współtworzył ruchów protestu. W czasie, w którym fale buntów zmiatały kolejne rządy, studiował ekonomię w Belgii i w USA – w Chicago. Studia w Chicago były źródłem żartów Hugona Chaveza: – Correa to mój „Chicago Boy” – przewrotna aluzja do „Chicago Boys” Milтона Friedmana, których skrajnie wolnorynkowe idee Chavez i Correa

przebili osinowym kołkiem. O sobie Correa mówi: lewicowy chrześcijanin.

Kandydatem ruchów protestu – które tworzyli autochtoni, nauczyciele, studenci, feministki, ekolodzy – stał się po zaledwie studniowej obecności na scenie publicznej jako minister gospodarki i finansów. Jako minister Correa sceptycznie oceniał pomysł zawarcia traktatu o wolnym handlu z USA. Mówił, że trzeba uniezależnić się od wielkiego sąsiada, renegecować kontrakty z firmami naftowymi. Zerkał z sympatią w stronę nowych liderów regionu: Chaveza, Moralesa... A wreszcie ustąpił z rządu. Uważano, że to ówczesny prezydent zmusił go do odejścia pod presją Waszyngtonu. Odejście dało mu legitymację, by stać się kandydatem zbuntowanych.

Correa sporo w Ekwadorze zmienił. Pierwszy i najważniejszy sukces: masowy udział obywateli w polityce. Doprowadził do uznania Ekwadoru za państwo wielonarodowe, czego od dziesięcioleci domagali się autochtoni, zamieszkujący Amerykę od czasów przedkolonialnych. Sukcesem rządów Correi są inwestycje społeczne, jakich nigdy tu nie było, głównie w edukację i służbę zdrowia – przyznają to nawet niektórzy krytycy. Reformę edukacji chwalił nawet „Economist”, niechętnie nastawiony do egalitarnej polityki liderów takich jak Correa, Chavez, Morales, Kirchnerowie.

Ale Correa objawił z czasem apetyty autorytarne. Zaczął odsuwać ze swojego otoczenia ludzi mających inne zdanie, zamykać usta krytykom. Jak powiedział mi jeden z dawnych przyjaciół prezydenta, zaczął żyć „iluzją, że ucieleśnia wolę ludu”.

Zmieniał się również stosunek Correi do eksploatacji bogactw naturalnych, ochrony środowiska, praw autochtonów. Bogactwa naturalne Ekwadoru – ropa, a także złoto, srebro, uran – są przedmiotem pożądania firm ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii, Chin. Większość bogactw znajduje się na terenach, do których prawo zbiorowej własności mają ludy autochtoniczne. W Ekwadorze jednak wszystko, co znajduje się pod ziemią, należy nie do właściciela ziemi, lecz do państwa. I na to autochtoni nie godzą się, chcą wpływu na decyzje, czy wydobywać – na przykład – ropę na obszarze należącym do ich wspólnot. Correa nie zgadza się na ich niezgodę.

W Quito słyszałem opinie, że „posługuje się antykolonialną retoryką, gdy jest to użyteczne dla zdobycia głosów, ale w praktyce widzi dobry interes w przyznawaniu koncesji zagranicznym koncernom naftowym i górniczym”. Paradoksalnie, jak mówił jeden z moich interlokutorów, Stany Zjednoczone, gdzie studiował ekonomię, są dla niego pozytywnym punktem odniesienia. Nieraz powtarza: „W USA zrobiono by coś tak a tak...” albo „W USA to nie do pomyślenia...”.

Rozbrat oryginalnego programu Correi – ochrona środowiska, ograniczenie działalności koncernów wydobywczych, respekt dla wspólnot autochtonicznych – z praktyką rządzenia

był wielokrotnie źródłem konfliktów. Zarazem ten sam Correa wypromował pomysł, z którego autochtoni powinni być zadowoleni. Oto ogłosił, że Ekwador nie będzie wydobywał ropy w Parku Narodowym Yasuni – znajduje się tam jedna czwarta ekwadorskich zasobów – jeśli świat zapłaci połowę spodziewanych z jej eksploatacji zysków: ponad trzy i pół miliarda dolarów do dwa tysiące dwudziestego czwartego roku. O Yasuni naukowcy mówią, że to najbardziej zróżnicowana pod względem fauny i flory część Amazonii i całej Ziemi. Tysiące nienazwanych gatunków roślin, owadów, zwierząt... Skoro produkowany tu tlen jest rezerwuarem dla całej planety, niech świat dołoży się do jego utrzymania – oto rozumowanie wspierające pomysł. ONZ utworzył fundusz, na który pieniądze mogą wpłacać firmy, instytucje, państwa, osoby prywatne. Nie wiadomo, co zrobi Correa lub jego następcy, jeśli świat nie zbierze sugerowanej sumy. Oddadzą Yasuni nafciarzom? Chevronowi?

Autochtoni obawiają się, że będzie dużo słów, a idea upadnie. Firmy naftowe – jak usłyszałem od autochtonki zaangażowanej w obronę praw swojej wspólnoty – już teraz są obecne na obrzeżach Yasuni, a ich działalność niszczy ekosystem każdego dnia.

Na razie jednak, w dwa tysiące siódmym, Correa jest nadzieją. Pablo i ludzie z jego zespołu cieszą się ze zmian politycznych w kraju, ale oczekiwanie, że nowy prezydent stanie się ich sojusznikiem w walce z Chevronem, traktują sceptycznie. Dyskurs Correi jest „antyimperialistyczny” i „antykolonialny”. W praktyce oznacza to, że Correa sprzeciwia się wywożeniu przez koncerny naftowe zbyt dużej części zysków za granicę i zostawianie ochłapów na miejscu. Będzie negocjował na nowo kontrakty z nafciarzami, ale czy przejmie się krzywdami ludności Amazonii i dokonanymi przed laty zniszczeniami środowiska? Jest politykiem, a ludzie tutaj politykom nie ufają.

Orędownikiem dotarcia do Correi, zaproszenia go do Lago Agrio, uczynienia zeń wielkiego alianta przeciwko Chevronowi, jest amerykański doradca Pabla, Wielki Steve. Powtarza: Correa u władzy to wielki, historyczny przełom, trzeba do niego dotrzeć.

Udaje się. Dwudziestego szóstego kwietnia dwa tysiące siódmego Correa z Pablem Fajardem i Luisem Yanzą przylatują rządowym helikopterem do Lago Agrio. Prezydent wizytuje region, ogląda zbiorniki z odpadami. Wącha wodę ze studni, mówi: „To benzyna”. Rozmawia z poszkodowanymi.

Przy jednym ze zbiorników z toksycznymi odpadami w symbolicznym geście Correa obejmuje schorowanego starca, Manuela Salinasa, którego ziemię zatrwały odpady poprodukcyjne i zamieniły jego życie w koszmar. Wieśniak płacze, żaden władca Ekwadoru nigdy nie zainteresował się losem miejscowych.

Ludzie Chevronu zarzucą później Correi, że jest stronnicy. „A jaki ma być? Przecież

nafciarze zniszczyli kawał kraju, którym rządzi”, słyszę od kogoś z zespołu Pabla.

Chevron z kolei stuka do drzwi w Waszyngtonie.

W lipcu dwa tysiące ósmego „Newsweek” donosi: „Chevron naciska na administrację Busha, żeby podjęła nadzwyczajne kroki i wycofała specjalne przywileje handlowe dla Ekwadoru, jeśli lewicowy rząd tego kraju nie anuluje procesu. Rzeczniczka amerykańskiego Urzędu do spraw Handlu Susan Schwab potwierdziła, że jej biuro rozpatruje prośbę. Mecenas Steven Donziger [Wielki Steve], który organizuje opozycję w Waszyngtonie przeciwko Chevronowi, mówi, że koncern »próbuje zmusić kraj do kapitulacji«. I dodaje: »To najbrutalniejsza forma polityki siły«”.

Spór zyskuje wymiar niemal międzynarodowego konfliktu, a także silny rys ideologiczny: oto lewacki, antyamerykański rząd ściga niesprawiedliwie amerykańską firmę, która przyczyniła się do rozwoju biednego, zacofanego kraju. To narracja Chevronu i środków przekazu stojących po stronie wielkiego biznesu.

Koncernowi spieszy na odsiecz „Wall Street Journal”, sugerując, że skoro Texaco (połknięte później przez Chevron) zaprzestało eksploatacji w dziewięćdziesiątym roku (prawda), to obecne zanieczyszczenia są skutkiem działania innych firm naftowych, między innymi firmy Petroecuador. Artykuł zatytułowany *Amazoński szwindel* roi się od sugestii, że poszkodowani chcą wymusić od Chevronu odszkodowanie. Cristobal Bonifaz nie jest tu adwokatem specjalizującym się w prawach człowieka, lecz „adwokatem specjalizującym się w prawach człowieka” – w cudzysłowie. Według tej samej zasady, cudzysłowem opatrzone sformułowanie „toksyczne odpady”, jak gdyby ich toksyczność nie była pewna, a jedynie ktoś o wątpliwej reputacji tak twierdził. Informacja o tym, że populacja Kofanów jest obecnie trzykrotnie większa niż pół wieku temu, ma sugerować, że Texaco wcale nie wyrządziło autochtonom krzywdy.

Z „Newsweeka”:

W sztabie Chevronu są tacy ludzie jak były lider senackiej większości Trent Lott, były senator demokratów John Breaux i Wayne Berman, czołowy *fund-raiser* kampanii Johna McCaina – wszyscy mają dostęp do najwyższych decydentów w Waszyngtonie. (Starszy dyrektor Chevronu spotkał się w sprawie z zastępcą sekretarza stanu Johnem Negrofonte). Chevron utrzymuje, że jest ofiarą „skorumpowanego” wymiaru sprawiedliwości w Ekwadorze, a tymczasem pozywający cieszą się wsparciem lewicowego prezydenta Rafaela Correi – sojusznika Hugona Chaveza. Koncern twierdzi, że przegrana może ustanowić niebezpieczny precedens dla innych amerykańskich firm ponadnarodowych. „Kluczową kwestią tutaj jest to, że Ekwador znęca się nad amerykańską firmą – powiedział proszący o zachowanie anonimowości lobbysta Chevronu w rozmowach

z urzędnikami amerykańskimi. – Nie możemy pozwolić, żeby małe kraje pogrywały sobie z wielkimi firmami jak ta, które robią wielkie inwestycje na całym świecie”.

Lobbing Chevronu robi w Waszyngtonie sporo szumu, jednak administracja George’a W. Busha nie podejmuje pożądaných przez zarząd koncernu kroków. Bush zbiera się do odejścia z Białego Domu, a potencjalni sojusznicy firmy są zajęci wyborami i przedłużeniem panowania republikanów.

W Chevronie mają kolejny powód do zmartwienia: nic nie zapowiada, że zwycięzca wyborów, będzie przychylny prośbom albo uległy naciskom. Kandydat demokratów wypowiedział się przez swojego rzecznika, że „sprawa należy do ekwadorskiego wymiaru sprawiedliwości”. A do tego jest kolegą Wielkiego Steve’a, grali razem w drużynie koszykówki wydziału prawa Uniwersytetu Harvarda. Ten kolega to Barack Obama, który jeszcze jako senator usłyszał od starego znajomego ze studiów opowieść o dramacie Lago Agrio i dewastacjach, jakie poczyniło tam Texaco.

Donziger

Postawił całą karierę na ten proces. Na początku, oczywiście, nie przypuszczał, że będzie trwał niemal dwie dekady. Gdy w dziewięćdziesiątym trzecim rozpoczynała się pierwsza rozprawa, ta w Nowym Jorku, był złotodziobem, absolwentem prawa na Harvardzie od zaledwie dwóch lat. Wiedziony idealizmem, wierzył, że to będzie historyczny proces: pierwszy w dziejach, w którym mały kraj stawia czoło wielkiemu ponadnarodowemu koncernowi.

Wielki Steve, o którym wspominałem kilka razy, to Steven Donziger. Postać na fabularną opowieść literacką lub filmową o wzlocie i wysokiej cenie, jaką płaci się za wierność wyborom i przekonaniom. Niektórzy moi rozmówcy dodaliby, że trochę też o prawniczym gwiazdorstwie, nawet narcyzmie. Szczypta jednego i drugiego towarzyszy niemal zawsze idealistom, nadając im człowieczych rysów.

Donziger był od początku procesu opoką trzydziestu tysięcy poszkodowanych. Motorem strategii politycznej i piarowej. Architektem oskarżenia. Doradcą Pabla Fajarda i jego zespołu. A do tego wielkim narratorem.

Donośny, sugestywny głos, którego chce się słuchać, masywna sylwetka wypełniająca ekran (podobnie jak cała osobowość zdolna wypełnić pokój, przytłoczyć wszystkich obecnych – dodaliby niektórzy rozmówcy), sceniczna gestykulacja. Żar. Oto parę pierwszych wrażeń z obcowania z nim za pośrednictwem filmowych zdjęć.

Dramatyczny zwrot w życiu Donziguera dokonał się, gdy adwokaci Chevronu rozpętali przeciwko niemu nagonkę. Za pomocą prawniczych trików i z udziałem pewnego nowojorskiego sędziego zszargali mu reputację, przynajmniej we własnym kraju.

Od kiedy Chevron zatruł mu życie i wytoczył procesy w Stanach, między innymi o próbę wymuszenia zysków, Wielki Steve zniknął z przestrzeni publicznej, schował się za podwójną gardą. Zamilkł. Żyje życiem człowieka, którego każde słowo może być użyte w złej wierze przeciwko niemu samemu. W internecie nieznani sprawcy toczą przeciw niemu kampanię nienawiści. Chodzą za nim i jeżdżą nieznajomi faceci, których po pewnym czasie zaczął już rozpoznawać. Niejeden raz kładł się spać z dręczącym pytaniem, co też na niego wymyślą następnego dnia, gdy wstanie.

Jego portret zaczynam szkicować w oparciu o nagrania filmowe, publikacje prasowe, a przede wszystkim opowieści ludzi, którzy mówią o nim z podziwem i estymą. Jeszcze

nie wiem, że uda mi się porozmawiać z nim przez telefon, a potem przekonać do dwóch spotkań w Londynie, gdzie poszukiwał finansowego wsparcia dla kontynuowania procesu.

Donziger, mimo że jako cudzoziemiec na drugim planie, jest jednym z głównych bohaterów dramatu o mieszkańcach Amazonii i Chevronie. Prawdopodobnie, że bez niego nie byłoby „historycznej rozprawy” i całej tej opowieści.

Chronologicznie:

Rok dziewięćdziesiąty trzeci. Młody prawnik John Bonifaz przedstawia swojego kolegę ze studiów Stevena Donziguera ojcu, uznanemu adwokatowi z Massachusetts, który zajmuje się prawami człowieka. Ojciec to Cristobal Bonifaz, inicjator procesu przeciwko nacierzom. Przeczytał właśnie raport o dewastacji Amazonii, jaką zostawił po sobie koncern Texaco, i organizuje wyprawę prawników, lekarzy, działaczy do Lago Agrio. Zaprasza do udziału w niej kolegę syna. Wszystko to dzieje się, zanim ruszył pierwszy proces przeciwko Texaco, w Nowym Jorku.

Donziger ma już wtedy za sobą pierwsze latynoamerykańskie przygody. W latach osiemdziesiątych, zanim skończył prawo na Harvardzie, jeździł jako reporter agencji UPI do Ameryki Środkowej. Pasją dziennikarską zaraził się od matki, redaktorki lokalnej gazety w Jacksonville na Florydzie. W Salwadorze, Hondurasie, Gwatemali ojczyzna Donziguera prowadziła brudne wojny z ruchami ludowego oporu, szkoliła szwadrony śmierci, wspierała okrutników w mundurach. Duże pieniądze i geopolityka. Wojna z komunizmem. W Nikaragui, którą młodziutki Steven poznał najlepiej, administracja Reagana próbowała obalić rewolucyjny rząd sandinistów. Amerykanie finansowali pravicową partyzantkę *contras*, która dopuszczała się zbrodni na ludności cywilnej, popierając rewolucję społeczną.

– Zobaczyłem skutki amerykańskiej polityki zagranicznej w Ameryce Środkowej. Byłem świadkiem okrucieństw, zniszczeń... – opowiada w czasie naszej pierwszej rozmowy telefonicznej.

Reporterskie podróże ukształtowały poglądy Donziguera na to, co robi jego kraj „na własnym podwórku”, jak w czasach zimnej wojny nazywano Amerykę Łacińską. Dowiedział się, poczuł na własnej skórze, na czym polegają abstrakcyjne pojęcia, na przykład „walka o wpływy”, jak w praktyce wygląda obrona „amerykańskiego stylu życia” i „demokracji” z dala od sielskich przedmieść wielkich metropolii. Oraz kto i jaką cenę za to płaci. Młody prawnik po Harvardzie, który widział krzywdy wyrządzone małym społeczeństwom przez swój kraj, jest idealnym kandydatem do zespołu mającego ocenić, co zdarzyło się w ekwadorskiej Amazonii.

Donziger, tak jak Bonifaz, wcale nie chce, żeby proces przeniesiono z Nowego Jorku do

Lago Agrio. Uważa, że przez ponad dwadzieścia lat Texaco trzęsło Ekwadorem, miało wszystko i każdego na zawołanie, na telefon, do dyskusji było tylko za ile. Tę batalię Donziger, będący członkiem teamu Bonifaza – jak wiemy – przegrywa, ale sprawy nie porzuca. Osobiście zyskuje nawet na znaczeniu: Bonifaz, mający swoje lata, usuwa się w cień, Donziger staje się architektem pozwu w Lago Agrio. Formalnie będzie doradcą Pabla Fajarda, Luisa Yanzy i innych. Nie ma prawa reprezentować poszkodowanych przed ekwadorskim wymiarem sprawiedliwości. Faktycznie będzie mózgiem prawnej i medialnej batalii.

Gdy nowy proces startuje w Lago Agrio, Wielki Steve staje się człowiekiem w podróży. Żyje rozdarty między Quito, Lago Agrio i dwupokojowym mieszkaniem na Upper West Side na Manhattanie. Jednego dnia spływa potem w dżdżystej Amazonii, następnego ubrany w zimowy płaszcz wyprowadza na spacer psa w zaśnieżonym Nowym Jorku. Do tego jeszcze latający dom: samolot, i godziny spędzone na lotniskach, w drodze na lotniska i w drodze z lotnisk.

Tak wygląda dziesięć lat życia.

W filmie dokumentalnym *Crude* opowiadającym historię działalności Texaco w Lago Agrio i dzieje procesu przeciwko firmie, jest taka scena:

W pokojowym hotelu w Houston w Texasie Donziger instruuje Emergilda Criolla z ludu Kofanów, jak przemawiać na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy Chevronu. To Donziger wymyślił, żeby przywieźć dwójkę autochtonów na to zebranie i zmusić udziałowców koncernu do wysłuchania człowieka z ludu, któremu firma wyrządziła krzywdy. Jak reżyser z aktorami na deskach teatru bądź planie filmowym Donziger ćwiczy napisany przez siebie scenariusz. „Texaco spędziło na mojej ziemi dwadzieścia osiem lat. Proszę, żebyście pozwolili mi spędzić trzy minuty na waszej...” – sugeruje Emergildowi, jak zacząć przemówienie.

W innej scenie, w samochodzie, z Luisem Yanzą i Guadalupe de Heredią, Donziger peroruje, jakie kroki należy podjąć w najbliższym czasie. W jego słowach daje się wyczuć nutę krytyki pod adresem ekwadorskich przyjaciół, że działają bez planu. Ci na to podnoszą głos i wytykają Stevenowi, że plan to, według niego, spisanie harmonogramu na kartce. Ich zdaniem to żaden plan. Donziger pyta po chwili kokieteryjnie (wiedząc, że filmuje ich kamera), czy ma choć odrobinę racji. Guadalupe de Heredia, odpowiada również kokieteryjnie, że miałby, gdyby mówił innym tonem i nieco ciszej.

Apodyktyczny ton, przytłaczająca osobowość Donzigera to nawet dla niektórych, którzy poszliby za nim w ogień – jak mówią – „pewien problem”. Wielki Steve wypełnia sobą całą przestrzeń, niewiele jej zostawiając dla innych. Pablo Fajardo, gdy przytaczam mu te

serdeczne w gruncie rzeczy krytyki, staje murem za przyjacielem. Ma dla Stevena, jak o nim mówi, same superlatywy. Uczciwy. Pełen poświęcenia. Zaangażowany. Bezinteresowny. Wielkie Serce. Wielki Człowiek. Każdy miewa chwile słabości, kiedy jest zmęczony, zdenerwowany. Malowanie obrazu Stevena na podstawie takich sytuacji, mówi Pablo, wyrwane z kontekstu, jest nieuczciwe.

Donziger nieraz widział, że chodzą i jeżdżą za nim podejrzani osobnicy. Bagatelizował to do dnia, w którym zamordowano brata Pabla. Tak jak wielu miejscowych liderów zaczął się obawiać o swoje bezpieczeństwo.

Nie wyjechał. To znaczy: wyjeżdżał do Stanów, kiedy wymagała tego praca, a za chwilę znowu był na miejscu, w Lago Agrio.

To Donziger sprawił, że proces nie zakończył się przedwcześnie z powodu braku środków.

Każda ze stron musiała zainwestować fortunę. Lata pracy prawników, personelu biurowego, utrzymanie lokali w Quito i Lago Agrio, ekspertyzy i praca ekspertów, badanie próbek, podróże między Ekwadorem i Stanami Zjednoczonymi, wszystko to kosztuje miliony dolarów rocznie. Jedna z najbogatszych firm na świecie, której dochody roczne przekraczają roczny PKB Ekwadoru, miała naprzeciwko siebie ludzi mieszkających w nędznych, drewnianych chatkach, z nielicznymi wyjątkami – niewykształconych, bez doświadczenia i bez środków. Jakżeż ci ludzie mieliby opłacić swoich prawników i ekspertów? Jak owi prawnicy, nawet jeśli są oddanymi sprawie idealistami, mieliby przeżyć tyle lat bez wynagrodzenia?

Donziger zadbał o środki, które umożliwiły długoletnią batalię. Zawarł umowę z kancelarią prawną z Filadelfii Kohn, Swift & Graf, która udzielała wsparcia merytorycznego i ekonomicznego. W zamian miała dostać pokaźny procent wygranego odszkodowania. Gdyby jednak proces zakończył się porażką, kancelaria straciłaby bezpowrotnie miliony dolarów. Z upływem czasu obawa o możliwe straty wzięła górę. Nie widząc końca ciągnącej się latami rozprawy, prawnicy z Filadelfii coraz rzadziej przysyłali pieniądze do Lago Agrio, wypłaty docierały spóźnione albo nie docierały wcale.

W tej sytuacji Donziger, mający, jak się okazało, talent fund-raisera, zaoferował amerykańskim funduszom hedgingowym inwestycję wysokiego ryzyka w opłacenie kosztów procesu. Ofertę przyjęły fundusz Burford Capital i kancelaria prawna Patton Boggs z Waszyngtonu. Ekipa prawna poszkodowanych dzięki temu nie złożyła broni, za to prawnicy Chevronu dostali w prezencie nową amunicję propagandową. Łatwiej im było teraz przedstawiać proces jako walkę dużych amerykańskich firm, wykorzystujących lokalną ludność Amazonii, o własne – możliwe, że nawet kilkusetmilionowe – zyski.

Robili to zresztą od początku. W czasie jednej z publicznych inspekcji zdewastowanych

terenów Amazonii mecenas Callejas perorował, że „smutno jest patrzeć, jak ludzie z zagranicy, sponsorzy, którzy finansują ten proces, wykorzystują ludzi, wykorzystują moich rodaków”. Ci sponsorzy żyją wygodnie na Manhattanie, w Nowym Jorku! Mam tu ze sobą artykuł – przemawiał dalej Callejas – który właśnie ukazał się pierwszego listopada dwa tysiące szóstego roku w magazynie „American Lawyer”. Piszę się w nim: „Steven Donziger, niezależny profesjonalista, który działa ze swojego apartamentu na Upper West Side w północnej części Manhattanu... jest w dużej części finansowany z hojnych kieszeni [kancelarii prawnej] Kohn, Swift and Graf, która specjalizuje się w pozwach zbiorowych”. „Oni wezmą procent od sumy odszkodowania, jakie dostaną pozwani – mówił Callejas. – Nie kłamiemy, Wysoki Sądzie, gdy mówimy, że sprawa ta jest biznesem. Jest sponsorowana dla zysku!”.

Cios za cios. W działalności piarowej Donzigerowi nie brakuje inwencji. Dzięki kontaktom i talentom perswazyjnym wciągnął w kampanię solidarności gwiazdy kultury pop. Wiedział, że „historyczna rozprawa” wykracza poza salę sądową zapadłego miasteczka w Amazonii. Szukał ambasadorów sprawy w Europie, Stanach Zjednoczonych, i znalazł ich. Lago Agrio i okoliczne wioski autochtonów odwiedziły Trudie Styler, żona Stinga, i hollywoodzka aktorka Daryl Hannah. Sting nagłaśniał sprawę w czasie koncertów, a jego fundacja do spółki z UNICEF dostarczyła czterem tysiącom mieszkańców amazońskich wiosek zbiorniki na deszczówkę z filtrami oczyszczającymi.

Too good to be true, mówią Amerykanie. Wszystko szło Donzigerowi doskonale, aż w końcu zdarzyła się wpadka. Właściwie więcej – trzęsienie ziemi, niemal katastrofa. Zgubił go piarowy talent? Zbytńia jak na prawnika gadatliwość? To znaczy: wypowiedanie na głos myśli, które nie wszyscy natychmiast powinni poznać? Namówił reżysera dokumentalistę Joe Berlingera do zrobienia filmu o Lago Agrio, Texaco, całym procesie i walce mieszkańców przeciwko naftowemu gigantowi. Znowu wydawało się, że wszystko poszło na medal. Film *Crude* zebrał na różnych festiwalach ponad dwadzieścia nagród.

Lecz oto któryś z prawników Chevronu dostrzega, że wersja kinowa różni się minimalnie, wręcz niezauważalnie, od wersji, która ukazała się na płycie DVD. Różnica dotyczyła szczegółu tak drobnego, że pozornie nic nieznaczącego. W wersji kinowej, w scenie przedstawiającej konsultacje prawników z autochtonami, pojawia się w tle osoba hiszpańskiego badacza (jego postać wróci jeszcze raz w tej historii). W wersji filmu na DVD człowiek ów zniknął, rozplynął się. Rutynowy *editing*, zwyczajna korekta? Prawnicy Chevronu zaczęli drażnić. Co się stało? Czy w niewinnej poprawce montażowej tkwi poważniejsza przyczyna? Czy reżyser dokonał jej na prośbę pozywających? Jeśli tak, to dlaczego?

Pytania uruchomiły lawinę, a ta zeszła na Wielkiego Steve’a, zamieniając kawał jego

życia, przynajmniej amerykańską część, w koszmar.

Prawników najlepiej wykańczają inni prawnicy. Główny adwokat Chevronu Randy Mastro z kancelarii Gibson, Dunn & Crutcher poprosił sąd w Nowym Jorku, żeby nakazał autorowi dokumentu *Crude* udostępnienie całego wyjściowego materiału filmowego. Mastro posłużył się rzadko stosowanymi przepisami, które umożliwiają Amerykanom pozwanym za granicą na prowadzenie poszukiwań w Stanach Zjednoczonych, jeśli te mogą mieć wpływ na proces. Mastro podejrzewał, że filmowiec towarzyszący Donzigerowi i ekwadorskim prawnikom nagrywał sytuacje również nieformalnie, *off the record*, jak mówi się w dziennikarskim slangu, i że nagrania szczerych, pozbawionych samokontroli rozmów mogą zawierać materiał, który pozwoli dowieść, że Chevron nie może liczyć na uczciwy proces w Lago Agrio. (Tę część historii, z perspektywy prawników Chevronu, szczegółowo opisał „New Yorker”; streszczam ją tutaj za amerykańskim tygodnikiem).

Autor filmu, Joe Berlinger, początkowo odmówił udostępnienia materiałów. Powoływał się na prawo twórcy do ochrony źródeł informacji, a wsparły go stowarzyszenia dziennikarskie i niektóre wpływowe media głównego nurtu. Adwokat Chevronu zdołał jednak przekonać sędziego federalnego Lewisa Kaplana (byłego prawnika wielkich firm, którego kolejne decyzje ukażą nieskrywaną sympatię dla interesów koncernu), że film *Crude* nie jest dziełem dziennikarskim ani artystycznym, lecz propagandowym. A ponadto – że Berlinger nakręcił je na prośbę Donziguera, czyli nie jest niezależnym twórcą. Według takiej interpretacji zdarzeń, autora filmu nie chronią przywileje dziennikarza bądź twórcy. Berlinger złamał się, to znaczy uznał, że nie ma wyjścia: sześćset godzin nagrań, zrobionych w ciągu trzech lat, znalazło się w rękach prawników koncernu.

To był – z punktu widzenia Chevronu – strzał w dziesiątkę. Bingo, poker! W jednej ze scen, nie do publikacji w filmie, Donziger mówi z lekceważeniem o naukowych wynikach badań zanieczyszczonej wody. „To jest Ekwador, OK? Koniec końców, jeśli zbierze się tysiąc ludzi przed budynkiem sądu, dostaniesz to, czego chcesz”. W innej scenie, w czasie kolacji w knajpie – jest na niej Donziger z kilkoma współpracownikami – ktoś rzuca, że miejscowi nienawidzą Chevronu tak bardzo, że sędzia, który orzeknie na korzyść koncernu, może zostać zamordowany. Donziger komentuje, że nie, że z całą pewnością nikt by się na takiego sędziego nie zamachnął, jednak to, że sędzia może żywić takie obawy, dobrze służy sprawie poszkodowanych.

W innej scenie szczery, głośno myślący Donziger rozwodzi się o skorumpowanym wymiarze sprawiedliwości w Ekwadorze, o podatności sędziów na pokusy i naciski politycznych decydentów, dużych pieniędzy, ulicy. Donziger mówi o tym wszystkim w obawie o wynik procesu w Lago Agrio, o ludzi, których nadzieje mogą zostać

zawiedzione, i o to, że nafciarze mogą przekupić sędzię. Taki jest kontekst i intencja słów. W nowojorskim sądzie daje się jednak przedstawić te słowa na wspak, wbrew intencji, z jaką zostały wypowiedziane.

Prawnicy Chevronu, jak dowiódł potem Donziger, manipulowali wycinkami nagrań. Na przykład, gdy ludzie z zespołu Pabla Fajarda, z Donzigerem w roli wodzireja, rozważali zmobilizowanie marszu mieszkańców, używając słowa „armia”, prawnicy koncernu sugerowali chęć organizowania grup zbrojnych, które otoczą sąd w Lago Agrio i będą poddawać sędzię społecznej presji. Gdy śmiejąc się i przekrzykując, Donziger, Fajardo i inni żartowali o sprowadzeniu broni z Iranu, adwokaci koncernu próbowali wywrzeć wrażenie na sędzi Kaplanie, że to nie były żarty, lecz poważne rozmowy o uzbrajaniu ludności.

Po obejrzeniu tak wyselekcjonowanych nagrań sędzia Kaplan nazywa Donziguera „generałem politycznej i medialnej ofensywy”, a Mastro rzuca oskarżenie o przestępcze spiskowanie i wykorzystywanie korupcyjnego systemu w Ekwadorze dla wymuszenia wielomiliardowego odszkodowania.

A lawina dopiero się rozpędzała.

Mastro przekonał sędzię Kaplana, że osobiste materiały Donziguera mogą rzucić jeszcze więcej światła na sprawę. Klient i adwokat mają wprawdzie prawo do tajemnicy, lecz Donziger nie działał w Ekwadorze jako prawnik, raczej jako doradca, strateg, człowiek od piaru – perswadował Mastro. Skutecznie. Tym razem sędzia Kaplan nakazał Donzigerowi udostępnić tysiące stron dokumentów, które nazbierały się przez niemal dwie dekady obu procesów – w Stanach i w Ekwadorze. Adwokaci Chevronu uzyskali dostęp do prywatnych komputerów Donziguera, osobistego dziennika pisanego latami, w którym snuł rozważania na wszelkie tematy, oczywiście o procesie, o sobie, swoich aspiracjach i kalkulacjach. Mógł odmówić wydania dokumentów, zapisków, ale niechybnie zostałby skazany za lekceważenie nakazu sądu. Prawnicy Chevronu dostaliby bezcenną broń propagandową: mogliby przedstawiać Donziguera jako „kryminalistę”, człowieka, który stawia się ponad prawem, a przede wszystkim prawomocnie skazanego. A toby, w przekonaniu jego samego, zaszkodziło sprawie.

Postawiony pod ścianą Donziger zgodził się, żeby go rozebrano do naga.

Wyrządzili mu krzywdę, zrobili kiepski show, mówi o prawnikach koncernu Pablo Fajardo. Na żadnym naszym spotkaniu, ciągnie, nie było nic sekretnego, jesteśmy w pełni transparentni. Całe moje życie jest w internecie, nie mam nic do ukrycia. Powycinali z nagrań fragmenty rozmów, wyjęli je z kontekstu, zmanipulowali sens – każdego można zniszczyć w taki sposób. Gdybyśmy mieli coś do ukrycia, nie wpuścilibyśmy Joe

Berlingera z kamerą, żeby filmował, jak „spiskujemy”. Sędzia Kaplan? Główny aktor w cyrku Chevronu. Są drużyny piłkarskie, które nie potrafią pokonać przeciwnika i zaczynają faulować rywali tak, żeby zniesiono ich z boiska, niezdolnych do dalszej gry. W taki sposób gra Chevron, mówi Pablo.

Zaprzyiężonego Donziguera prawnicy koncernu przesłuchiwali przez dwa tygodnie. Zadając pytania, żądali, by ograniczał się do odpowiedzi tak-tak, nie-nie, czego Donziger systematycznie odmawiał.

Udzielenie prawnikom Chevronu dostępu do tak delikatnych dokumentów strony przeciwnej było – jak uważają prawnicy niezwiązani ze sporem – decyzją skrajną. Coś takiego zdarza się niezwykle rzadko. Podobnie przesłuchiwanie Donziguera pod przysięgą – narusza bowiem objęty ochroną prawa obszar relacji klient–adwokat. Sędzia Kaplan ponownie dał jasny sygnał, czyją trzyma stronę.

W tej historii nie chodzi o potyczki prawników, mówił przy różnych okazjach Donziger, przypominając obrońcom Chevronu i sędziemu Kaplanowi, o co toczy się gra. Tu chodzi o ludzi w Ekwadorze i cierpienia, jakich doznali od amerykańskiej kompanii naftowej, która lekceważyła prawo i broni nieuczciwie zdobytych zysków.

Gdy przesłuchania Wielkiego Steve’a zakończyły się, adwokaci Chevronu natychmiast złożyli przeciwko niemu pozew w sądzie federalnym w Nowym Jorku. Oskarżyli o udział w spisku w celu wymuszenia miliardów dolarów oraz o współpracę ze skorumpowanymi elementami wymiaru sprawiedliwości w Ekwadorze. Donziger poprosił o wykluczenie z ewentualnego procesu sędziego Kaplana, uważał bowiem, że ten wielokrotnie zademonstrował stronnictwo na korzyść Chevronu. Prośbę odrzucono.

Był początek lutego dwa tysiące jedenastego. W Chevronie nie spodziewali się, że zaczynający się miesiąc nie będzie tak dobry jak jego pierwszy dzień.

Szpieg w dżungli

Jeszcze zanim prawnicy koncernu rozebrali Donzigera, w Chevronie musieli dostrzec, że proces w Lago Agrio zmierza w złą stronę. Gdyby nie to, nie byłoby desperackiej próby podejścia amerykańskiej reporterki i nie byłoby potem jej opowieści niszczącej dla reputacji koncernu.

Mary Cuddehe pracowała nad reportażem w meksykańskim Cancún, gdy zadzwonił znajomy z propozycją zarobienia niezłej forsy za przeprowadzenie śledztwa w ekwadorskiej Amazonii. Propozycja brzmiała tajemniczo i atrakcyjnie, Cuddehe zgodziła się wysłuchać, o co chodzi. Pojechała w tym celu do Bogoty. Tam w luksusowym hotelu, w zacisznej i zamożnej części miasta, spotkała niejakiego Sama, również Amerykanina, który przedstawił się jako człowiek prywatnej firmy Kroll, zajmującej się doradztwem i szpiegostwem gospodarczym. Ów Sam dobrze wiedział, jak rozmawiać z Cuddehe, był kiedyś dziennikarzem, ale uwikłał się w politykę i nie miał powrotu do zawodu. Podjął pracę dla Krolla.

Pokazał Cuddehe fragmenty filmu dokumentalnego *Crude*, opowiedział o procesie w Lago Agrio, a następnie przystąpił do rzeczy: miała pojechać do ekwadorskiej Amazonii jako szpieg Krolla udający reporterkę i zbadać pewną kwestię.

W dwa tysiące siódmym przeprowadzono ankietę – około tysiąc wywiadów – wśród mieszkańców Lago Agrio i okolic, poszkodowanych przez koncern. Autorem ankiety był hiszpański badacz zajmujący się prawami człowieka, zdrowiem i ekologią Carlos Beristain. Z ankiety wynikało, że w Lago Agrio i okolicach liczba zachorowań na nowotwory dramatycznie wzrosła, a ustalenia te wspierały racje oskarżających koncern. Prawnicy Chevronu zażądali ujawnienia nazwisk wszystkich, z którymi przeprowadzono wywiady, a także współpracowników Beristaina, biorących udział w badaniu. Podejrzewali, że niektóre rozmowy zostały spreparowane. Sąd nie przychylił się do żądania, co wśród prawników koncernu umocniło podejrzenia.

Cuddehe miała ustalić, czy poszkodowani z Lago Agrio, którzy pozwali koncern o gigantyczne odszkodowanie, byli w zмовie z Beristainem. Gdyby udało się zdobyć dowody, że tak, pomogłoby to koncernowi podważyć część argumentacji oskarżenia.

(To właśnie Beristain pojawia się w tle kinowej wersji filmu *Crude*, nie ma go natomiast w wersji wydanej na płycie DVD. *Editing* wzbudził podejrzenia prawników koncernu,

dlatego zażądali udostępnienia roboczych materiałów nakręconych do filmu).

Za pracę trwającą około sześciu tygodni Kroll miał zapłacić Cuddehe dwadzieścia tysięcy dolarów i pokryć wszystkie wydatki w czasie podróży. „Część mnie chciała powiedzieć tak. Ekscytująca była możliwość sześciotygodniowej przygody w dżungli i ciekawiła sama sprawa. Czy rzeczywiście raport o zdrowiu został spreparowany? Czy pozywający zmówili się z Beristainem? A może to Chevron popadł w desperację, paranoję i chciał pogrążyć przeciwników?”.

Zanim Cuddehe udzieliła odpowiedzi, zadała sobie jeszcze jedno pytanie: dlaczego ja? Nie miała przygotowania medycznego ani prawnego. Nie знаła Ekwadoru ani Amazonii. Wiedziała, że Krolla stać na wynajęcie najlepszych i najdroższych ekspertów. Kroll ma wielkie pieniądze i wpływy, większe czasem niż wpływy potężnych rządów. Na przykład, agenci Krolla byli w stanie wytropić ojca, który uprowadził zamożnej matce syna, wywiózł na Bliski Wschód, a potem osiadł na Kubie. Potrafili wynegocjować z rządem w Hawanie (to doprawdy nie jest proste dla zachodniej firmy!) zatrzymanie ojca-porywacza. Cuddehe zrozumiała, że chodziło o kogoś dokładnie takiego, jak ona – o osobę niekoniecznie kompetentną, za to niebudzącą podejrzeń. O jeszcze jedną uśmiechniętą dziennikarkę z Zachodu, która szuka ciekawego tematu i przed którą miejscowi chętnie się otworzą.

„Pomimo ciekawości, wiedziałam, że muszę powiedzieć nie. Jeśli kiedykolwiek odpowiem sobie na pytania, zrobię to jako dziennikarka, a nie korporacyjny szpieg”.

Historię opisała w prestiżowym amerykańskim magazynie „The Atlantic” (dzięki niej zrozumiałem początkową nieufność Donziger).

Wyrok

Pablo Fajardo jadł lunch w skromnej restauracji hostelu „D’Mario” w centrum Lago Agrio, kiedy usłyszał telefon. Dzwonił dziennikarz, nazwiska Pablo nie pamięta, który prosił o skomentowanie wyroku.

– Jakiego wyroku? – spytał Pablo.

Koniec procesu przeciwko Chevronowi kolejni sędziowie zapowiadali nieraz. Sędzia Núñez, zanim uległ czarnej kampanii piarowej koncernu, planował ogłosić wyrok w październiku dwa tysiące dziewiętego. Podobnie jak Núñez, pod presją koncernu ustąpili dwaj inni sędziowie. Kiedy więc tamtego popołudnia zadzwonił dziennikarz, Pablo nie wiedział w pierwszej chwili, o co chodzi.

– Jakiego wyroku?

Czternastego lutego dwa tysiące jedenastego sędzia Nicolás Zambrano orzekł, że w trakcie eksploatacji ropy w prowincji Sucumbíos (Lago Agrio i okolice) od roku sześćdziesiątego siódmego do dziewięćdziesiątego koncern Texaco dopuścił się ogromnych zniszczeń środowiska naturalnego i jego późniejszy nabywca – Chevron – musi zapłacić odszkodowanie. Ostatecznie jego wysokość ma wynieść osiemnaście miliardów dolarów, jednak w oryginalnym orzeczeniu sędziego jest mowa o połowie tej kwoty. Sędzia nakazał firmie złożenie publicznych przeprosin za dokonane szkody i wyrządzone ludności krzywdy o charakterze moralnym. Gdyby w ciągu dwóch tygodni koncern nie zechciał przeprosić, kwota miała automatycznie ulec podwojeniu.

Wysokość odszkodowania opiera się na szacunkowych obliczeniach kosztów oczyszczania środowiska. Jest mniejsza od sumy rekomendowanej w raporcie o szkodach Richarda Cabrery (dwadzieścia siedem miliardów dolarów). Sędzia Zambrano postanowił nie brać pod uwagę rekomendacji tego eksperta ze względu na oskarżenia, jakimi zarzucili go prawnicy Chevronu. Mimo to odszkodowanie, jakie nałożył na Chevron sędzia Zambrano z Lago Agrio, jest światowym rekordem w procesach o zniszczenie środowiska naturalnego.

Sędzia Zambrano, po pięćdziesiątce, łysina à la porucznik Kojak, zgadza się porozmawiać w swoim gabinecie w budynku sądu. To najdziwniejszy gmach Temidy, jaki widziałem: wciśnięty między jakieś sklepy i biura, w miejscu przypominającym tandetne centrum

handlowe. Nie ma żadnej informacji, że oto tu znajduje się najważniejsza z władz.

Sędzia słucha z uwagą pytań o proces, o brudne triki koncernu, które zniszczyły kilku jego poprzedników, o klimat polityczny w kraju, o podstawy wyroku, wysokość odszkodowania, egzekucję. Uśmiecha się i przeprasza, że na żadne z pytań nie może odpowiedzieć.

Czy dlatego, że wciąż obawia się prawników Chevronu? Że na podstawie nieostroźnie wypowiedzianego zdania, wyrwanego z kontekstu, rozpętają przeciwko niemu kampanię?

Ciepły uśmiech. Ani słowa *on the record*.

Jakiś czas później wpadnie mi w ręce zapis nagrania rozmowy telefonicznej, będącej zapewne próbą nacisku na sędziego, być może wstępem do propozycji korupcyjnej.

Człowiek, który przedstawił się jako adwokat Chevronu, Andrés Rivero, usilnie namawiał sędziego Zambrana do osobistego spotkania, choćby nawet za pięć minut w jego domu. Wyjaśniał, że skontaktowanie się z nim zasugerował mu Alberto Guerra, inny sędzia prowadzący wcześniej proces. Guerra – rzucił mimochodem Rivero – „jest teraz z nami w Stanach Zjednoczonych”. W rozmowie pojawia się zagadkowe zdanie, mające sprowokować sędziego: „Wiem, że miał już pan z nami stosunki”.

Sędzia Zambrano nie dał się wciągnąć w rozmowę. Powiedział, że nie wie, z kim rozmawia, i zanim zgodzi się na spotkanie, musi zweryfikować tożsamość telefonującego.

O ile udało mi się ustalić, do kolejnej rozmowy nigdy nie doszło. Naciski na sędziego Zambrano spełzły na niczym.

W chwili ogłoszenia wyroku nikt nie wiedział, czy miejscowi dostaną z zasądzonego odszkodowania choćby jednego dolara. Chevron nie zamierzał się poddać. „Sędziowie w porozumieniu z prawnikami pozywających, przekupnie, stworzyli niesprawiedliwość, zamiast ją naprawić” – oświadczył wiceprezes koncernu R. Hewitt Pate.

Chevron nie prowadzi biznesu w Ekwadorze od dawna, nie ma aktywów ani sprzętu, który można by „zaaresztować” w ramach egzekucji wyroku. Ekwadorski wymiar sprawiedliwości i poszkodowani podjęli więc próbę wykonania wyroku za granicą – Chevron prowadzi interesy w kilkudziesięciu krajach na całym świecie. Taka egzekucja wymaga osobnego procesu „wykonawczego” w każdym z krajów, w którym chciano by zająć konta, sprzęt, ładunki należące do koncernu. Poszkodowani muszą zwrócić się do wymiaru sprawiedliwości danego państwa i czekać na wynik. Pablo Fajardo uważa, że w jednych krajach potrwa to miesiące, w innych – pięć lat albo więcej.

Prawnicy Chevronu jeszcze raz ruszyli po pomoc do sędziego Kaplana. Ten wydał orzeczenie zabraniające Donzigerowi i jego ekwadorskim współpracownikom podejmowania prób egzekwowania wyroku z Lago Agrio w Stanach Zjednoczonych

i gdziekolwiek indziej na świecie. Sędzia Kaplan – jak doniósł „New Yorker” – uzasadnił tę decyzję słowami: „Nie sądzę, by na tej sali sądowej znajdował się ktoś, kto zajeżdżając na stację benzynową, żeby napełnić bak, chciałby się przekonać, że nie ma tam paliwa, bo ci ludzie zajęli je w Singapurze czy gdzieś indziej”.

(Czy sąd nowojorski może zakazać podejmowania prób egzekucji wyroku w Kanadzie, Brazylii, Panamie, Argentynie, Kolumbii?).

Donziger złożył apelację. Sąd drugiej instancji, któremu wydanie orzeczenia w tego typu sprawach zajmuje zwykle wiele miesięcy, potrzebował zaledwie kilku dni, żeby obalić werdykt Kaplana.

Dziesięć miesięcy po wyroku w Lago Agrio wyszło na jaw, że Chevron w tajemnicy przed ekwadorskim sądem wysyłał tak zwane brudne próbki ziemi do laboratorium NewFields w Atlancie.

Praktyka była następująca: eksperci Chevronu dokonywali samodzielnych inspekcji, bez udziału sędziego i przedstawiciela poszkodowanych. Działo się to zwykle na kilka dni przed tymi oficjalnymi. Pobierali próbki z zaplanowanych miejsc inspekcji oraz z innych, odległych o dwadzieścia–trzydzieści kilometrów od dawnych szybów, stacji separacyjnych i zbiorników z odpadami. Próbki pobrane z oddalonych terenów były wielokrotnie mniej zanieczyszczone. To je prezentowano sądowi, by dowieść, że skażenie ziemi jest dużo mniejsze, niż twierdzą mieszkańcy.

Tajemnica wypłynęła w trakcie jednego z dwudziestu pięciu odpryskowych procesów w Stanach Zjednoczonych, jakie toczyły się bądź nadal toczą. Sędzia federalny nakazał Chevronowi ujawnienie dokumentów, w których natrafiono na informacje o pokątnym wysyłaniu brudnych próbek do nieautoryzowanego laboratorium. Dodatkowym potwierdzeniem są zaprzysiężone zeznania Santiaga Escobara, któremu Borja ujawnił, że wie o nagminnym podmianianiu tak zwanych brudnych próbek na czyste. Celem było „wyprowadzenie śledztwa w pole” i „dostarczenie [sądowi] wyników innych niż rzeczywiste”.

Pablo Fajardo oświadczył publicznie, że Chevron dokonał podwójnego oszustwa. Oszukał sąd w Lago Agrio, ukrywając „przerażającą skalę zatrucia” ziemi i wody. I oszukał amerykańskich naukowców, którzy poświadczyli nazwiskami, że wyniki badań przedstawione przez koncern są prawidłowe, *ergo* poziom skażeń jest dopuszczalny i nie grozi zdrowiu mieszkańców. Fajado wezwał prokuratorów generalnych Stanów Zjednoczonych i Ekwadoru do podjęcia wspólnego śledztwa przeciwko Chevronowi. Oszustwo bowiem popełniono w Ekwadorze, a część jego planu realizowano na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Procesy odpryskowe „historycznej rozprawy” w Lago Agrio toczą się i będą jeszcze toczyć przez następne lata. Podobnie jak procesy w sprawie egzekucji odszkodowania w różnych krajach, gdzie Chevron prowadzi działalność gospodarczą: w Kanadzie, Brazylii, Panamie, Argentynie, Kolumbii... W jednym z procesów w Stanach Zjednoczonych Chevron żąda od Donzigera odszkodowania w wysokości pięćdziesięciu siedmiu miliardów dolarów – to trzykrotna wysokość kary zasądzonej przeciwko koncernowi w Lago Agrio i prawdopodobnie najwyższe odszkodowanie, jakiego zażądano od osoby fizycznej w historii sądownictwa w USA.

Najcelniejszy strzał Pabla Fajarda

Donald przywozi mnie na motocyklu do biura Pabla w Lago Agrio. Sam bym tu raczej nie trafił, Lago Agrio jest małe, ale poza kilkoma głównymi ulicami domy, domki, osiedla rozrzucone są na bezkształtnej przestrzeni, bez logiki i planu. Niełatwo skojarzyć miejsca, które widziało się raz czy dwa, a jeszcze trudniej wytłumaczyć obcemu dojazd.

Biurem Pabla jest parterowy dom na niewielkiej parceli, ogrodzony, z żelazną furtką zamykaną na klucz. Jest nieoznaczony. To znaczy, nie ma na furtce informacji ani szyldu, że to tutaj znajduje się biuro tego sławnego adwokata, chłopaka z ludu, który rzucił na kolana potężny koncern naftowy.

W przedpokoju Pablo postawił rower. Jak jest w Lago Agrio, zazwyczaj we wtorek, środę, czwartek, jeździ do pracy i z pracy na rowerze. W Quito, od piątku do poniedziałku, nie ma roweru, zresztą zakorkowana w godzinach szczytu stolica to nie jest miasto dla cyklistów. Obok roweru dwie hantle. Pablo dba o kondycję i muskulaturę, co widzę dopiero teraz, kiedy ma na sobie żółtą koszulkę polo z krótkimi rękawami i małym wyszywanym napisem ECUADOR. Bez ruchu i dbałości o kondycję nie przetrwałby tych wszystkich lat. Zresztą lubi sport, zawsze znajdował chwilę, żeby pokopać piłkę.

To nasze trzecie, ostatnie spotkanie, i niemal koniec podróży.

Od kilku lat jest przedstawiany jako Dawid walczący z Goliatem. Prawnik z Amazonii, bez doświadczenia, z rodziny analfabetów, który pokonał batalion najsprytniejszych, najlepiej opłacanych adwokatów na świecie. I choć odpowiadał na wszystkie pytania o siebie, teraz mówi, że nie czuje się komfortowo w roli bohatera. Co mu przeszkadza? Ludzie w Ameryce, Europie, mówi Pablo, lubią mieć bohatera, najlepiej kogoś słabego, kto niespodziewanie pokonuje większego, potężniejszego, kogoś, kto na starcie nie ma szans, a jednak na końcu wygrywa. To bardzo amerykańskie, hollywoodzkie. Jesteście indywidualistami. Dla nas ważniejsza jest wspólnota, działanie kolektywne. Bohaterem zbiorowym jest tutaj trzydzieści tysięcy ludzi, którzy złożyli pozew i podjęli walkę o swoje prawa. Pablo Fajardo jest tylko jednym z trzydziestu tysięcy.

Słucham. Przyjmuję do wiadomości.

Nic nie poradzę, że nie umiem inaczej opowiadać historii – tej i każdej innej. Opowieści nie żyją, póki ktoś ich nie opowie. A nie potrafimy opowiadać bez bohatera. Bez Pabla Fajarda i Stevena Donziguera nie ma opowieści o historycznej rozprawie w Lago Agrio.

Postanawiam zrobić ukłon w stronę Pabla. Wpadam na pomysł, żeby zacząć opowieść nie od niego, pojedynczego bohatera, a od umierającej przyrody i najbardziej poszkodowanych, często anonimowych ludzi, którzy cierpieli i nadal cierpią. Także tych, którzy odeszli. („Pierwsze zaczęły umierać zwierzęta...”).

Szukając sam dla siebie puenty tego, co usłyszałem i zobaczyłem, przytaczam słowa, które lubi powtarzać w wywiadach Wielki Steve, a także miejscowy towarzysz Pabla, Luis Yanza: w zmaganiach z Chevronem skumulowało się symbolicznie pięćset lat historii, pięćset lat wyzysku czasów kolonialnych i późniejszych – aż do dziś.

Pablo przez chwilę milczy. Tak i nie, jest sceptyczny. Obawia się, że wydzwięk takiej puenty ktoś może odczytać opacznie. Jak gdyby chodziło tu o zemstę, odegranie się. A przecież, mówi, nie chcemy się mścić, chodzi nam o sprawiedliwość, poszanowanie naszych praw, nic więcej. Zgoda, mówi dalej, ta historia ogniskuje różne kwestie: wykluczenie, ucisk, upokorzenie ludzi. Oby było więcej takich procesów jak ten. Obyśmy umieli współżyć jako obywatele, władze państwowe i wielki biznes, szanując się wzajemnie.

Rozmowę przerywa don José Fajardo, ojciec Pabla. Poorana zmarszczkami, ogorzała od słońca twarz, biała sportowa koszula z podwiniętymi rękawami, dżinsy. W ręku słomkowe sombrero, ruchy powolne. Ciepłe powitanie. Ma jakieś dolegliwości, przyszedł do biura, żeby syn pomógł mu zaaranżować wizytę u lekarza.

Chwilę później dzwoni piętnastoletnia córka.

– Tak, kochanie...?

„Misjonarz” i „bohater” z Lago Agrio ma na głowie codzienne życie bliskich.

Ostatnich kilka uwag przed pożegnaniem i *adios*. Pytam, czy jest świadomy, że wiktoria w Lago Agrio ma znaczenie – przepraszam za duże słowa – światowe, globalne. Że nie chodzi tylko – znowu przepraszam, teraz za bagatelizowanie – o jedno Lago Agrio, choć o nie oczywiście też, ani tylko o Ekwador, choć o Ekwador także, ani o nieprzyzwoicie bogaty Chevron, choć o Chevron jak najbardziej również tutaj chodzi.

– Jesteśmy świadomi, że to walka nie tylko z Chevronem. Również z całym systemem firm ponadnarodowych, które do tej pory cieszyły się bezkarnością.

Pablo mówi, że odpowiedzialne firmy nie mają się czego obawiać. Natomiast te, które dopuszczają się nadużyć, dostrzegły w Lago Agrio niebezpieczny precedens. Mocno wierzy, że „ten sukces może zmienić reguły gry na świecie”.

– Jeszcze nie tak dawno było nie do pomyślenia, żeby ludzie z małego kraju, z Amazonii, mogli zmusić potężny koncern do zapłaty za zbrodnie przeciwko ludziom i środowisku.

Pablo Fajardo trafił celniej, niż mierzył. Bo jeśli sądy w Kanadzie, Brazylii, Kolumbii,

Argentynie, Panamie będą przychylnie werdyktowi sądu z Lago Agrio i poszkodowani z ekwadorskiej Amazonii wyegzekwują choćby część odszkodowania, będzie to znaczyło, że moc, która jakiś czas temu opuściła granice państw, może – przynajmniej czasem, przynajmniej częściowo – do nich powrócić.

Skutki tego powrotu są nieprzewidywalne.

Źródła cytatów

Śmierć w Amazonii

- s. 11–12: Edinaldo Souza, *Ambientalistas são mortos em tocaia*, „Diário do Pará”, 25 maja 2011;
- s. 13: Felipe Milanez, *Zé Cláudio e a Majestade*, http://www.vice.com/pt_br/read/ze-claudio-e-a-majestade;
- s. 15: Felipe Milanez, *Vida longa à Sua Majestade. Uma crônica de mortes anunciadas*, „VICE”, 2011;
- s. 21–22: Adam Hochschild, *Duch Króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce*, tłum. Piotr Tarczyński, Świat Książki, Warszawa 2012, s. 203–204;
- s. 27–32: Artur Domośławski, *Lista zapowiedzianych śmierci*, „Duży Format”, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 22 sierpnia 2005;
- s. 33–34: Felipe Milanez, *A vida pela floresta*, „Vida Simples”, 25 sierpnia 2011;
- s. 40–43: Artur Domośławski, *Bezkarne strzelby*, „Gazeta Wyborcza”, 21 sierpnia 1999;
- s. 48–49: relacja Marii do Espírito Santo w materiałach archiwalnych Pastoralnej Komisji do spraw Ziemi w Marabie;
- s. 80–81: drewno.pl/artykuly/8568,gibson-zaplaci-350-tys-usd-za-ugode-w-sprawie-drewna-tropikalnego.html (dostęp: 29 lipca 2013);
- s. 91–92: Marques Casara, *Irmã Dorothy*, „Instituto Observatório Social”, luty 2011;
- s. 101–102: Ryszard Kapuściński, *Dlaczego zginął Karl von Spreti*, Książka i Wiedza, Warszawa 1970, s. 12–13;
- s. 113–114: Zygmunt Bauman, *Nowoczesność i Zagłada*, tłum. Franciszek Jaszuski, Fundacja Kulturalna Masada, Warszawa 1992, s. 48, 49 i 50;
- s. 115–116: Sven Lindqvist, *Terra Nullius. Podróż przez ziemię niczyją*, tłum. Irena Kowadło-Przedmojska, W.A.B., Warszawa 2010, s. 14–15 i 15;
- s. 118: Sven Lindqvist, *Wytepić całe to bydło*, tłum. Milena Haykowska, W.A.B., Warszawa 2009, s. 11;
- s. 122–123: Chagas Filho, Michel Garcia, *Marabá festeja 100 anos de crescimento*, „Diário do Pará”, 5 kwietnia 2013.

Złote góry

- s. 127: William H. Prescott, *Podbój Peru*, tłum. Franciszek Bartkowiak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 208;
- s. 147: Jane Perlez, Lowell Bergman, *Tangled Strands in Fight Over Peru Gold Mine*, „The New York Times”, 25 października 2005;
- s. 171–172: Zbigniew Herbert, *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*, Instytut Literacki, Paryż 1983;
- s. 175–176: *Destapamos la operación „El Diablo”*, „La República”, 3 grudnia 2006;
- s. 176–178: César Romero, *Los indicios apuntan a Forza y Forza trabaja para Yanacocha*, wywiad z Markiem Araną, „La República”, 4 grudnia 2006;
- s. 178–179: Edmundo Cruz, César Romero, *Evidencias vinculan a empresa Forza con Operación „El Diablo”*, „La República”, 6 grudnia 2006;
- s. 179–180: César Romero, *Las intrigas de César Cáceres*, „La República”, 7 grudnia 2006;
- s. 180: *Poder en la sombra*, „La República”, 7 grudnia 2006;
- s. 180: Ángel Páez, Wilson Castro, *„Forza” no ha sido exculpada*, „La República”, 8 grudnia 2006;
- s. 180–181: Edmundo Cruz, César Romero, *Correos reveladores: Forza S.A. pagaba los pasajes de los espías*, „La República”, 9 grudnia 2006;
- s. 181–182: Wilson Castro, *La desigual información del caso Arana*, „La República”, 9 grudnia 2006;
- s. 185: Zbigniew Herbert, *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*, Instytut Literacki, Paryż 1983;
- s. 196–197: *¡Aquí está el informe!*, IDL-Reporteros, 18 stycznia 2012;
- s. 199: Robert E. Moran, *El proyecto minero Conga, Perú: comentarios al Estudio del Impacto Ambiental (EIA) y temas relacionados*, dokument przygotowany dla Environmental Defender Law Center;
- s. 203: Marco Arana, *De izquierdas, derechas y ecologismo libertario y desarrollo*, „El Comercio”, 27 marca 2013;
- s. 213: Jorge Pereyra, *Detienen a trabajador de Yanacocha acusado de asesinar a líder ambientalista*, aguamina.blogspot.com/2012/09/detienen-trabajador-de-yanacocha.html (dostęp: 29 lipca 2013);
- s. 218–219: William H. Prescott, *Podbój Peru*, dz. cyt., s. 208, 210, 242, 249;
- s. 219–220: Jean Ziegler, *Nienawiść do Zachodu*, tłum. Ewa Cylwik, Książka i Prasa, Warszawa 2010, s. 40.

Dymiąca selwa, tęczowa rzeka

- s. 229: relacja Nicolasa Soto, *Texaco Tóxico*, kwiecień 2011, Asociación de Afectados por Texaco;
- s. 230–232: relacje rodzin chorych i zmarłych pochodzą z opracowania *La vergüenza de llamarse Texaco. Informe urgente de Chevron Texaco*, Oil Watch, 2005;
- s. 234–235: John Perkins, *Hitman. Wyznania ekonomisty od brudnej roboty*, tłum. Eryk Czajkowski, Studio EMKA, Warszawa 2006, s. 182 i 182–183;
- s. 236–237: Judith Kimerling i inni, *Amazon Crude*, Natural Resources Defence Council, [New York] 1991, s. 77 i 79;
- s. 239: Mario Vargas Llosa, *Marzenie Celta*, tłum. Marzena Chrobak, Znak, Kraków 2011, s. 237;
- s. 241: Judith Kimerling i inni, *Amazon Crude*, dz. cyt., s. 81;
- s. 271–275: wypowiedzi Adolfa Callejasa, Pabla Fajarda i Diega Larrei w trakcie inspekcji terenowych pochodzą z filmu dokumentalnego Joego Berlingera, *Crude. The Real Price of Oil*, Crude Productions 2009;
- s. 279–281: wypowiedzi Sary McMillan pochodzą z filmu *Crude*, dz. cyt.;
- s. 297: Bret Stephens, *Amazonian Swindle*, „The Wall Street Journal”, 30 października 2007;
- s. 297–298: Michael Isikoff, *Chevron Hires Lobbyists to Squeeze Ecuador in Toxic-Dumping Case*, „Newsweek”, 29 lipca 2008;
- s. 312–313: Mary Cuddehe, *A Spy in the Jungle*, „The Atlantic”, sierpień 2010;
- s. 316: Patrick Radden Keefe, *Reversal of Fortune*, „New Yorker”, 9 stycznia 2012.

W serii STREFA REPORTAŻU

ukazały się:



MAGDALENA GROCHOWSKA

ĆWICZENIA Z NIEMOŻLIWEGO

Zieja, Miłosz, Baczyński, Iwaszkiewicz, Hasior...

O tych, którzy sięgają po zabronione.



 WYDAWNICTWO LITERACKIE

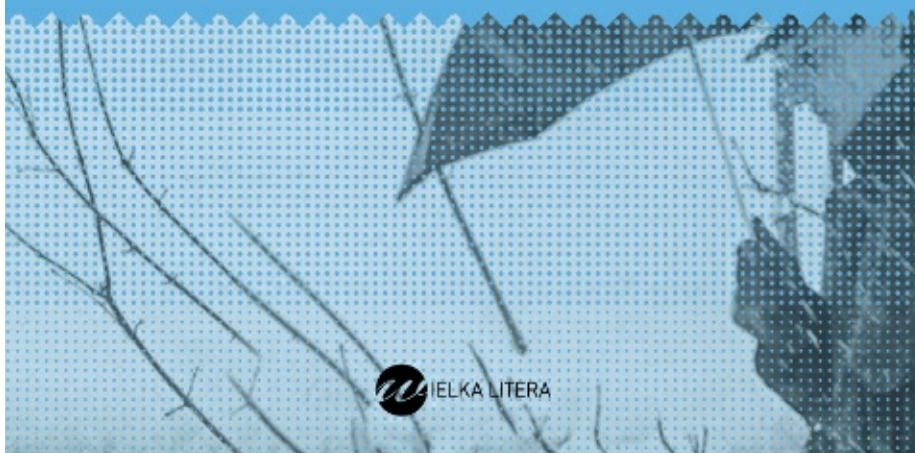


STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA REPORTAŻU · STREFA RE

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

B

Opowieści z planety prowincja



 WIELKA LITERA




ADAM LESZCZYŃSKI

ZBAWCY MÓRZ

oraz inne afrykańskie historie



 MIEJSKA LITERA



STREFA REPORTAŻU • STREFA REPORTAŻU

JON LEE ANDERSON

PARTYZANCI

Walka w imię sprawiedliwości, pieniędzy i boga



Śmierć w amazonii

Spis treści

Karta tytułowa

Dziewczynka z okładki

Mapa

ŚMIERĆ W AMAZONII

1. BOHATEROWIE Z LASU

Zbrodnia

Marabá

Trzy podboje Amazonii

José Cláudio i Maria

W cieniu pogrózek. Poprzednicy

Ostatni etap

2. ZWYCZAJNY BIZNES

3. SYNDYKAT ZBRODNI

Postscriptum

ZŁOTE GÓRY

Marco, czyli proboszcz zostaje buntownikiem

Dziela i rząda, czyli nieznani sprawcy zaprowadzają postęp

Cajamarca się burzy, czyli jak wyhodować sobie wroga

Przyjaciele na całe życie, czyli jak się zdobywa dostęp do surowców

Święte wzgórze Quilish, czyli lud walczy o swoje

Marco – ciąg dalszy, czyli podręcznik oszczerstw i pogróżek

Dlaczego zginął Edmundo B Herrera, czyli o tym, że nie łapią ręki, tylko ślepy miecz

Operacja „Diabeł”, czyli kto prześladowa działaczy

Dlaczego zginął Edmundo Berra – ciąg dalszy, czyli że może uda się złapać rękę

Koncern, czyli kto?

Marco i Mirtha – ciąg dalszy, czyli mamy was na oku

Zaginiony raport, czyli krótka opowieść o republice bananowej

Eksperci i „eksperci”, czyli jak sformułować opinię publiczną

Przemilczeć, zastraszyć, czyli ten sam teatr i te same dekoracje

Koncern milczy, czyli pułapki wazenia prawdy obiektywnej

Biją Marca, straszą Mirthę, czyli kinowy sequel w realu

Porwanie Inki, czyli historia, która nigdy się nie kończy
DYMIĄCA SELWA, TĘCZOWA RZEKA

Doña Mariana i inni

Misjonarze i nacierze

Pablo

Jedziemy na inspekcję

Pablo (2)

Precedens, czyli wielki biznes patrzy

Wykręty i przekręty

Proces – ciąg dalszy

Utrącić sędzięgo

Razem

Szpieg w dżungli

Najcelniejszy strzał Pabla Fajarda

Źródła cytatów

Projekt graficzny serii
Przemek Dębowski

Zdjęcie na okładce
Mitchell Anderson

Redakcja
Jan Jaroszuk

Korekta
Elżbieta Jaroszuk


Mapy
Krzysztof Rychter

Copyright © Artur Domosławski, 2013
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa



www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-64142-14-7



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl



ARTUR DOMOSŁAWSKI

ŚMIERĆ W AMAZONII

Nowe eldorado i jego ofiary



 WIELKA LITERA